

Lewica:
PiS chce ją zabić, PO ośmieszyć

Józef Hen:
Główni i okolice

Puszcza Białowieńska:
Obóz przejściowy

Prof. Jan Widacki:
Poczet oprawców polskich

Zdrada Anglii i Francji

PAPIEROWE SOJUSZE





W KINACH OD
8 WRZEŚNIA

reżyseria Rajko Grlić

KONSTYTUCJA

Historia miłości, nienawiści
i TOLERANCJI

AURORA

CYTATY

ABP WOJCIECH POLAK, PRYMAS POLSKI

Mamy szanować ład konstytucyjny (...), a nie nadwyręzać go czy wręcz omijać.

Częstochowa

ABP ALFONS NOSSOL, TEOLOG I EKUMENISTA

Domaganie się reparacji może spowodować np. domaganie się oddania tzw. Ziemi Odzyskanych.
„Tygodnik Powszechny”

RYSZARD PIEŃKOWSKI, TWÓRCA I PREZES GRUPY INFOR PL

Cale życie pracowałem dużo. Z niskich pobudek – bo chciałem zarobić więcej.
„Dziennik Gazeta Prawna”

MACIEJ STUHR, AKTOR

Statystyka była przeciwko mnie – większości aktorów się nie udaje.
„Charaktery”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Mierni i podli

Między groteską a beczelnymi kłamstwami – tak rozciągało się świętowanie Porozumień Sierpniowych. Stara i nowa Solidarność skupiły się na roztrząsaniu, kto 30 lat temu był agentem. Z wzajemnych oskarżeń wynika, że prawie każdy. Żle oceniam większość z tych ludzi. Bo czymkolwiek by się zajęli, prawie zawsze było to ze szkodą dla instytucji, do których trafiali po protekcji. W żadnym kraju nie porobiliby takich karier jak w Polsce. Obecne kłótnie potwierdzają tylko, jak bardzo byli i są mierni i obłudni. Nie brakuje im tupetu w sięganiu po kolejne przywileje. Po rady nadzorcze, doradztwa i odznaczenia. Ciągłe chcą więcej i więcej władzy i przywilejów. Od lat żerują na majątku państwowym, choć każda większa firma prywatna też daje zarobić takim słupom ochronnym. Zawsze przecież mogą biznesowi otworzyć jakieś drzwi. Bo przecież wszędzie jest jakiś Misiewicz. I będzie można się powołać na solidarność.

Kochają to słowo klucz, a może bardziej wytrych. Tylko co ono znaczy w ich ustach? I z kim są solidarni? Nie z tymi przecież, których dawno zostawili z problemami, starą biedą i kredytami na przeżycie. Ci zostawieni to ciągle większość Polaków. I ta większość uważa, że sprawiedliwego państwa to my ciągle nie mamy. Nie zmienia tego nawet 500+, które co najwyżej może być początkiem przywracania ludziom elementarnej godności. Nie sądzę, by w przyszłości po władzę w Polsce sięgnęły partie, które ten proces chciałyby zatrzymać.

Pisowska wersja Sierpnia eliminuje z ówczesnych porozumień drugą stronę. A przecież z kimś te dokumenty podpisywano. Ku radości większości Polaków. Także tego miliona członków PZPR, którzy wstąpili do Solidarności.

Jeśli władzę bierze się w wyniku porozumień, to zemsta na drugiej stronie jest wyjątkowo obrzydliwa. Obniżanie emerytur służb mundurowych przy zastosowaniu odpowiedzialności zbiorowej jest podłością, która obciąża każdego polityka głosującego za tymi ustawami. Podejmując te decyzje, politycy PO i PiS, prezydent Duda i premier Szydło stali się oprawcami. Każda kolejna ofiara doprowadzona do samobójstwa to krew na ich rękach. Wszystkie krzywdy i niesprawiedliwości, jakie dotyczą ludzi, którym nie można postawić żadnych zarzutów, obciążają tych polityków. Jesteście podli. Ale nie bezkarni. Zostaniecie rozliczeni.

FAUL

Do szkoły pod górę

Tak ponurego początku roku szkolnego nie było od dawna. Przeróżający jest kontrast między bardzo z siebie zadowolonymi minister Anną Zalewską i wiceminister Marzeną Machałek a stanem szkolnictwa! Z czego się panie cieszyć? Z tego, że 10 tys. nauczycieli już straciło pracę, a 23 tys. ma ograniczone etaty, a może z tego, że w kilkuset szkołach rok szkolny zaczął się bez podręczników, a w szkołach branżowych w ogóle nie ma dla uczniów książek?

W interesie 5 mln uczniów protestują: ZNP, Koalicja „NIE dla chaosu w szkole”, nauczyciele, samorządy i rodzice.

BĄKOWSKI



W NUMERZE

HISTORIA

8 Sojuszniczy cios nożem w plecy
Zdrada Anglii i Francji

PUBLICYSTYKA

14 Robert Walenciak
Lewica: jest źle, więc będzie lepiej

KRAJ

16 Do zobaczenia w wolnej puszczy!

Obóz otwarty dla wszystkich

26 Niewygodni z „Pekinu”

Walka o gdyńskie Wzgórze Dreszera

40 Góralu, czy ci nie żal?

Ekonomia nad Morskim Okiem

46 Normalnie bym poleciał

– rozmowa z gen. Gromosławem Czempieńskim

OPINIE

22 Stanisław Obirek
Twarze Kościoła

ZAGRANICA

30 Dobra passa Portugalczyków

Gospodarka wychodzi na prostą

42 Krym – śpiący pies

– rozmowa ze Stephenem F. Cohenem

44 Hawana ciągle pod górę

Nowe problemy Kuby

KULTURA

32 Głowacki i okolice

– rozmowa z Józefem Henem

36 Culturalia

38 Utwór na orkiestrę i smartfony

– rozmowa z Jerzym Kornowiczem

66 Ucieleśnienie

OBSERWACJE

52 Kulangsu – zabytek globalizacji

54 Daliśmy się złapać w sieć.

Internetową

Głos licealisty

NOWE TECHNOLOGIE

56 Zatrzymać mordercze roboty

Czy wygramy ze sztuczną inteligencją?

NAUKA

58 Jurni i mobilni

Każdy ma coś z neandertalczyka

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański

Mierni i podli

20 Jan Widacki

Poczet oprawców polskich

29 Roman Kurkiewicz

Cisza przed bitwami

41 Tomasz Jastrun

Las Birnam ruszył

45 Edward Mikołajczyk

Pon jest taki, a ja taki

51 Ludwik Stomma

Krewni i przyjaciele

16
KRAJ



DO ZOBACZENIA W WOLNEJ PUSZCZY!
Obóz otwarty dla wszystkich



30
ZAGRANICA

DOBRA PASSA PORTUGALCZYKÓW
Gospodarka wychodzi na prostą



52
OBSERWACJE

KULANGSU – ZABYTEK GLOBALIZACJI

Projekt: Iza Mierzejewska

Fot. Wikimedia



✉ Powstańcom cześć

Chylę czoła przed bohaterstwem powstańców i męczeństwem ludności cywilnej, w tym dużej liczby dzieci. Uczestnik powstania, późniejszy profesor Jan Ciechanowski, w „Zakłamaney historii powstania” pisze: „Takiej katastrofy nie przeżyła żadna europejska stolica od najazdu Hunów na Rzym. Został rozbity ośrodek życia narodowego, politycznego, społecznego i kulturalnego”. Zarówno w tej książce, jak i w „Powołaniu i przeznaczeniu. Wspomnieniach oficera Komendy Głównej AK” Kazimierza Iranka-Osmeckiego zostały przedstawione opinie świadczące o infantylizmie dowódców, którzy podjęli decyzję o wywołaniu powstania. Zapadła ona mimo stanowiska naczelnego wodza gen. Kazimierza Sosnkowskiego, przekazanego emisariuszom z Polski wiosną 1944 r., że nie mogą liczyć na żadną pomoc, chyba że pomoże Departament Opatrzności Bożej. A łuny palącego się miasta widać było z odległości 100 km, co pamiętam, bo mieszkalam wtedy z rodzicami w wsi w tzw. Generalnej Guberni.

Anna Janicka, Warszawa

✉ Brak wizji i programu

Zawsze z uwagą czytam felietony prof. Jana Widackiego, więc nie mogłem pominąć „Sezonu ogórkowego” (PRZEGLĄD nr 34). Felieton ma to do siebie, że nie stroniąc od złośliwości, wyraża osobiste poglądy autora. Pozwolę więc sobie, jedyny raz, na odrobinę złośliwości.

Panie Profesorze, czy jesteśmy już tacy starzy, że 50-letni faceci, od lat – jak pan Siemoniak – unurzani w polityce,



Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

SAHRA WAGENKNECHT

Polityka wobec Turcji nauczka dla Niemców

WARSZAWSKA PRAGA

Ostatnie takie zakłady

POLSKA KOLONIA W PARAGWAJU

są dla pana „nowymi twarzami”? Czy już straciło ostrość „mędrca szkiełko i oko”, że wiara w siłę sprawczą polityków PO każe panu lansować młodego wiekiem, lecz obciążonego nieudolnymi rządami Borysa Budkę? Czy sądzi pan, że obciążony tyloma obowiązkami Borys Budka da radę udźwignąć nałożony przez pana dodatkowy ciężar? Czy nie widzi pan, że wiceprzewodniczący skompromitowanej partii, nijaki były szef resortu nie przyciągnie nowych i nie pociągnie za sobą obecnych wyborców?

Czy nową twarzą ma być 45-letni, zużyty na ministerialnych posadach – fakt, że wszechstronnie wykształcony – Rafał Trzaskowski?

A czymże ci panowie wyróżnili się w działającym tylko teoretycznie gabinecie cieni? Sądzi pan, że będziemy głosować na tych ludzi dlatego, że są znani? Że wymieniane na prawo i lewo nazwiska zastąpią brak wizji i programu? Że nikt ich nie skojarzy z tym, co zostało gremialnie odrzucone?

Chyba nie docenia pan wyborców.

Robert Koza

ZDJĘCIE TYGODNIA



FOT. WAPFEAST NEWS

Bez fałszywego wstydu – kreacja Ronald Fragi podczas Tygodnia Mody w São Paulo.



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Z jakiego dowcipu najbardziej się państwo śmiali w te wakacje?

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ,
satyryk

Ten, który mnie najbardziej rozba-
wił, trwa chyba z pięć minut. Ale jest
jeden aktualny, który mnie nie tak
dawno rozśmieszył: Rok 2025, idą
skini ulicą i śpiewają: „A na drzewach
zamiast liści będą wisieć komuniści”.
Na balkonie Ministerstwa Środowiska
stoi Szyszko i mówi do swoich kum-
pli: „Ciekaw jestem, gdzie oni, k... te
drzewa znajdują”.

ARTUR ANDRUS,
artysta kabaretowy

Od dłuższego czasu bardziej od
samego dowcipu interesuje mnie to,
co się może z nim stać, kiedy ktoś go
nieumiejętnie opowiada. Mistrzynią
w paleniu dowcipów była Marysia
Czubaszek. Dowcip o tym, jak jed-
na pchła pyta drugą, gdzie była na
wakacjach, a ta odpowiada, że „na
Krecie”, Marysia opowiedziała w ten
sposób: „Rozmawiają ze sobą dwie
pchły i jedna pyta drugą, gdzie była
na wakacjach, a ona na to: »na Ro-
dos«”. Miałem też koleżankę w radiu,
która choć sama jest blondynką, lubi-

ła opowiadać o nich dowcipy. I kiedyś
próbowała mi opowiedzieć następu-
jący: „Jak blondynki robią dżem?
Obierają pączki”. A ona podchodzi
do mnie i pyta: „Wiesz, jak blondynki
obierają pączki?”. Te dowcipy może
są śmieszne same w sobie, ale jeśli
ktoś je tak opowie, jest to o klasę wy-
żej. A zwłaszcza reakcja, kiedy ktoś
zaczyna panicznie szukać w zakamar-
kach swojego mózgu: co tu jest nie
tak, przecież jeszcze przed chwilą to
był śmieszny dowcip, kiedy go sły-
szałem!

GRZEGORZ CHLASTA,
Radio dla Ciebie

Poczucie humoru się zmienia...
Niedawno gościł w RDC przewodnik
warszawski. Mówił, że „Król Karol
Gustaw chciał przenieść kolumnę
Zygmunta, bo nie podobał mu się
napis na niej”. Zapytałem wówczas:
„Czy chodziło o napis z Bierutem?!”.
Wydawało mi się, że takie surreali-
styczne pomieszanie czasów jest
zabawne. Jak się okazało, niesłusz-
nie; ktoś w internecie to wychwy-
cił, a ktoś inny, wstrząśnięty moją

niewiedzą, opatrzył dramatycznym
pytaniem: „Po co nam historia po-
wszechna?!”. Najbardziej ubawiła
mnie jednak w wakacje pewna sen-
timentalna anegdota. Wybrałem się
na wycieczkę po Warszawie „ogór-
kiem”. Kiedy przejeżdżaliśmy koło
klubu SPATiF-u, przewodnik przypo-
mniał postać Ludwika Benoit. Wybit-
ny aktor wchodzi po spektaklu do re-
stauracji, widzi kompletnie pijanego
klienta przewieszonego bezwładnie
przez kontuar i mówi charaktery-
stycznym, niskim głosem: „Barman!
To samo proszę”.

KRZYSZTOF RATAJEK,
czytelnik PRZEGŁADU

Podczas demonstracji we Wrocła-
wiu w sprawie wolnych sądów stał
starszy pan z transparentem: „Dzia-
dek na spacerze”.

FRANCISZEK SOBIERAJ,
czytelnik PRZEGŁADU

Borys Budka i Kamila Gasiuk-Piho-
wicz są nadzieją na odsunięcie PiS od
władzy.

Not. Michał Sobczyk

Bohdan Piętko

Współczesna polska publicystyka historyczna wykreowała określenie „cios nożem w plecy” wobec agresji ZSRR z 17 września 1939 r. Tych ciosów nożem w plecy Polska otrzymała jednak we wrześniu 1939 r. więcej. 1 września 1939 r. taki cios zadała Rzeczypospolitej Słowacja, umożliwiając wojskom hitlerowskim zaatakowanie Polski ze swojego terytorium oraz biorąc udział w tej agresji. 12 września 1939 r. cios nożem w plecy zadali natomiast nacjonaliści ukraińscy, wszczynając w porozumieniu z Berlinem działania, które przeszły do historii pod nazwą dywersji OUN na Kresach Wschodnich.

Na miano ciosu nożem w plecy zasługuje także postawa sojuszników Polski, czyli niewywiązanie się przez Francję i Wielką Brytanię ze zobowiązań sojuszniczych. Ten cios nożem w plecy był chronologicznie pierwszy i stanowił ogromny szok dla Polaków, których ówczesna propaganda państwowa utwierdzała w wierze w trwałość i niezawodność sojuszy. Przypominam o nim nie po to, żeby deprecjonować znaczenie innych przyczyn klęski wrześniowej – w tym działań podjętych przez ZSRR – ale dlatego, że postawa Francji i Wielkiej Brytanii wobec samotnie walczącej z najazdem niemieckim Polski zasługuje na uwagę również w kontekście współczesnej polskiej polityki prozachodniej.

ODSUNĄĆ AGRESJĘ NIEMIECKĄ OD ZACHODU

II Rzeczpospolita od początku lat 20. XX w. była związana sojuszem polityczno-wojskowym z Francją – najsilniejszym wówczas militarnie mocarstwem Europy Zachodniej. Polsko-francuska umowa sojusznicza została podpisana 19 lutego 1921 r. w Paryżu. Dopiero 19 maja 1939 r. – w sytuacji jawnego już zagrożenia napaścią Niemiec hitlerowskich na Polskę – Francja zgodziła się na odnowienie i uściślenie konwencji wojskowej do umowy sojuszniczej. Nadający tej konwencji klauzulę ważności protokół polityczny dyplomacja francuska podpisała pod naciskiem Wielkiej Brytanii



Manifestacja poparcia przed ambasadą brytyjską w dniu przystąpienia Zjednoczonego Królestwa do wojny. Na balkonie minister Józef Beck i ambasador Howard Kennard.

SOJUSZNICZY CIOS NOŻEM W PLECY

Polityka Francji i Wielkiej Brytanii zmierzała do odsunięcia agresji hitlerowskiej od Europy Zachodniej

4 września 1939 r. Najważniejszym zobowiązaniem, jakie przyjęła na siebie Francja, było rozpoczęcie ofensywy przeciw Niemcom w 15. dniu po ogłoszeniu mobilizacji powszechnej.

Drugim sojusznikiem II RP w 1939 r. stała się Wielka Brytania, która w reakcji na całkowitą likwidację Czechosłowacji przez Niemcy (14-15 marca 1939 r.) udzieliła Polsce 31 marca jednostronnej gwarancji niepodległości (ale nie integralności terytorialnej), obiecując pomoc wojskową w wypadku zagrożenia. Następstwem tego kroku było podpisanie 6 kwietnia 1939 r. w Londynie przez ministrów spraw zagranicznych Józefa Becka i lorda Halifaxa układu o dwustronnych gwarancjach polsko-brytyjskich, który stał się podstawą rokowań w sprawie zawarcia formalnego układu sojuszniczego między Polską a Wielką Brytanią. Na sfinalizowanie go Londyn zdecydował się dopiero 25 sierpnia 1939 r., obawiając się, że po podpisaniu w Moskwie 23 sierpnia paktu Ribbentrop-Mołotow Polska może pójść na ustępstwa wobec Niemiec.

Układy Polski z Wielką Brytanią spowodowały wypowiedzenie przez Hitlera 28 kwietnia 1939 r. polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy z 26 stycznia 1934 r. Droga do wojny została otwarta, ale do wojny ze wschodnim sąsiadem Niemiec. Do tego właśnie zmierzała polityka francuska i brytyjska – do odsunięcia agresji hitlerowskiej od Europy Zachodniej.

Celem gwarancji sojusznicznych udzielonych Polsce przez Paryż i Londyn w 1939 r. nie była jej obrona przed Niemcami. W sytuacji załamania się polityki monachijskiej Francja i Wielka Brytania nie chciały jedynie dopuścić do tego, by Polska poszła na polityczne ustępstwa

wobec Niemiec, co spowodowało by skierowanie agresji niemieckiej na Zachód.

OD EUFORII DO EWAKUACJI

O tym, że gwarancje francuskie i brytyjskie są niepewne, polskie społeczeństwo nie wiedziało. Ówczesna elita władzy chciała wierzyć w niezawodność tych sojuszy mimo niechęci Paryża i Londynu do przyjęcia konkretnych zobowiązań natury wojskowej na wypadek wybuchu wojny. Wiarę tę krzewiła wszelkimi

można było przeczytać artykuły o następujących tytułach: „Nadzwyczajne posiedzenie parlamentu angielskiego”, „Francja pod znakiem mobilizacji”, „Anglia gotowa do starcia – tłumy modlą się w świątyniach”, „Nie oddamy niczego – walczymy o wolność ludzkości!”, „Ani rząd, ani naród brytyjski nie zgodzi się na rozwiązanie po linii Monachium”, „Berlin w nastroju ciężkiej depresji”, „Mocna decyzja i nieugiętość cechują Francję”, „Szwecja i Dania sympatyzują z Polską”¹. O rzekomym ogłoszeniu mobilizacji przez

W 1939 r. alianci mogli odnieść szybkie zwycięstwo nad szczupłymi siłami niemieckimi na froncie zachodnim.

środkami w społeczeństwie, przygotowując je psychologicznie do wielkiego zwycięstwa razem z mocarstwami zachodnimi nad III Rzeszą.

29 sierpnia 1939 r. na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”

Francję pisała też 28 sierpnia 1939 r. prostanacyjna „Gazeta Polska”².

Dzisiaj powiedzielibyśmy, że były to fake newsy. Francja i Wielka Brytania nie tylko nie ogłosiły mobilizacji, ale jeszcze zmusiły władze



Polsko-brytyjskie rozmowy sztabowe, lipiec 1939 r. Widocznymi: marsz. Edward Rydz-Śmigły (z lewej) i gen. Edmund Ironside.

► polskie do odwołania 30 sierpnia ogłoszonej dzień wcześniej mobilizacji powszechnej. Stało się tak dlatego, że wbrew temu, co twierdził „IKC”, Paryż i Londyn do końca grały z Niemcami, licząc na powrót do polityki monachijskiej. Polska ponownie ogłosiła mobilizację wieczorem 31 sierpnia. Opóźnienie mobilizacji spowodowało trudny do opanowa-

nia chaos. 1 września polskie jednostki liniowe osiągnęły 70% gotowości bojowej, a wiele oddziałów nie dotarło do miejsc zgromadzenia z powodu ataków lotnictwa niemieckiego na linie kolejowe.

30 sierpnia 1939 r. „IKC” pisał m.in. o „katastrofalnej pozycji wyjściowej Niemiec w razie wywołania pożogi wojennej” oraz cytował

list premiera Francji Édouarda Daladiera do Hitlera, w którym napisał on, że „Francja wiernie wypełni swoje zobowiązania” wobec Polski. W centrum uwagi „IKC” znalazł się też gen. Maurice Gamelin – szef sztabu francuskiego, który kilka miesięcy później będzie odpowiedzialny za klęskę Francji w 1940 r. Wedle charakterystyki „IKC” był to „spokojny, pełen rozważań oficer arystokrata (...) i jeden z najbardziej utalentowanych wychowanków światowej sławy Akademii Wojskowej w Saint-Cyr”³.

31 sierpnia „IKC” opatrzył pierwszą stronę krzyżującym tytułem: „Chamberlain oświadcza: Nie ustąpimy ani na krok!”. Zamieścił też zdjęcie imponującego działu polskiej artylerii zmotoryzowanej (*sic!*) z podpisem: „Lawiną żelaza przyjmujemy wroga”. A na ósmej stronie dał najbardziej krzepiące tytuły: „Niemiecki żołnierz nie chce się bić z Polską i ucieka przez granicę” oraz „Pierwsza godzina wojny będzie hasłem do rewolucji w III Rzeszy”⁴.

Szczytem polskiej euforii był 3 września 1939 r., chociaż tego dnia wojska niemieckie zajęły już Górny Śląsk i Pomorze oraz przerwały front na południowym zachodzie i północy, a Luftwaffe od trzech dni dosłownie pustoszyła kraj. Ale właśnie 3 września Francja i Wielka Brytania wypowiedziały wojnę Niemcom. Nikt się nie zastanawiał nad tym, dlaczego dopiero tego dnia. Manifestacja radości przed ambasadami Francji i Wielkiej Brytanii „wyszturzyła z serca, z wolnej woli Warszawy (...). Od skrzyżowania z Alejami Jerozolimskimi po przecięcie z ul. Chmielną kolebał się potężny tłum. Nie policzyć ile tysięcy”, donosił „Kurier Poranny”. Wedle relacji tej gazety parkan otaczający budynek ambasady brytyjskiej przy ul. Smolnej został oblepiony ludźmi. Nie było końca owacjom, gdy na balkonie ambasady pojawili się ambasador brytyjski Howard W. Kennard i minister Beck, który stwierdził: „Anglia nie zawiedzie się na Polsce, tak jak i Polska nie zawiedzie się na Anglii. Jeśli ktoś będzie miał rozczarowanie, to na pewno nie my”. Równie spontaniczna manifestacja odbyła się pod ambasadą Francji, która została zasypana kwiatami. Francuski ambasador Léon Noël oświadczył: „Nie jesteście już osamotnieni, lecz macie za sobą Francję oraz Imperium Brytyj-



skie wraz z ich niewyczerpanymi zasobami ludzkimi i materialnymi oraz całą ich potęgą”⁵.

Tego też dnia płk Zygmunt Wenda, szef sztabu sanacyjnego Obozu Zjednoczenia Narodowego, przyjął przedstawicieli opozycji, którzy w obliczu wojny zaproponowali poszerzenie bazy politycznej rządu. Pogardliwie oświadczył im, że nikt nie będzie się dzielił zwycięstwem nad Niemcami.

Jednak następnego dnia – 4 września – kiedy szczyt euforii warszawskiej ulicy jeszcze nie opadł, rozpoczęła się ewakuacja ze stolicy prezydenta Ignacego Mościckiego i rządu gen. Felicjana Sławoja-Skłodkowskiego, a 6 września naczelnego wodza marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego. 8 września do przedmieść Warszawy dotarł niemiecki XVI Korpus Pancerny.

ULOTKI ZAMIAST BOMB

5 września 1939 r. popołudniówka „Czas-7 Wieczór” pisała o 30 polskich samolotach, które rzekomo

Zachodni alianci nie szczędzili Polsce gołosłownych zapewnień i słów otuchy.

zbombardowały Berlin. Przy czym „wszyscy lotnicy powrócili do swoich baz”⁶. Tego samego 5 września „Express Poranny” pisał o rzekomym zbombardowaniu portów niemieckich przez lotnictwo brytyjskie oraz o wkroczeniu polskiej kawalerii do Prus Wschodnich⁷. 6 września „Goniec Warszawski” na pierwszej stronie dał tytuł: „Francuzi przeszli linię Zygfrйда. Westerplatte, Gdynia, Hel – bronią się! Największy pancernik niemiecki zatopiony”. A na kolejnej stronie entuzjazmował się: „Przygnębienie w Berlinie” i „Niemcy w potrzasku”⁸. 13 września – a więc w dniu, w którym wojska niemieckie zamknęły pierścień okrążenia wokół Warszawy – „Express Poranny” informował o załamaniu się ofensywy niemieckiej na Polskę, powstaniach w zajętych przez Niemców miastach i zwycięskich atakach sprzymierzonych na froncie zachodnim⁹.

Niestety, rzeczywistość była inna. Zamiast bomb brytyjskie samoloty zrzucały na Hamburg ulotki, z których Niemcy mogli się dowiedzieć, że „każda niemiecka ambicja może



W czasie rozmowy z Adolfem Hitlerem (5 stycznia 1939 r.) płk Józef Beck jeszcze się łudził, że nie dojdzie do wojny z III Rzeszą.

być spełniona w drodze przyjaznej negocjacji (...). Wy, naród niemiecki, jeżeli tylko chcecie, możecie nalegać na pokój w każdym czasie. My również pragniemy pokoju i jesteśmy

gotowi do jego zawarcia z każdym miłującym pokój rządem niemieckim”¹⁰. Z zacytowanej treści otwarcie wyciera duch polityki monachijskiej. Mimo wypowiedzenia Niemcom wojny Londyn i Paryż wciąż miały nadzieję na udobruchanie Hitlera nowym Monachium. Tym razem z Polską w roli dania głównego. Dlatego właśnie RAF we wrześniu 1939 r. bombardował Niemcy ulotkami.

9 września gen. Tadeusz Kutrzeba na czele Armii „Poznań” i części Armii „Pomorze” rozpoczął kontrofensywę pod Łodzią, która przeszła do

częściowej ofensywy trzy armie francuskie rozpoczęły 7 września działania pozorowane na przedpolu linii Zygfrйда. Na froncie długości ok. 30 km weszły one na terytorium niemieckie na głębokość 1-8 km, zajmując ok. 20 miejscowości. 12 września – w kluczowym momencie bitwy nad Bzurą – gen. Gamelin polecił wstrzymać *offensive pour la Pologne*, która kosztowała armię francuską 1575 zabitych i rannych, przy stratach niemieckich wynoszących 196 zabitych, 356 rannych i 144 zaginionych¹¹. Tego samego dnia Międzysojusznicza Najwyższa Rada Wojenna z udziałem premierów Chamberlaina i Daladiera podjęła w Abbeville decyzję o zaprzestaniu wszelkich działań ofensywnych na froncie zachodnim. Oznaczało to złamanie zobowiązań sojuszniczych wobec Polski.

„Ofensywa na rzecz Polski – za-uważał prof. Marian Zgórniak – od początku była traktowana jako dzia-

Zamiast bomb brytyjskie samoloty zrzucały na Hamburg ulotki.

historii pod nazwą bitwy nad Bzurą. Polska kontrofensywa miałaby szanse powodzenia, gdyby w tym czasie Francja podjęła działania odciążające. Taka częściowa ofensywa była przewidziana przez polsko-francuską konwencję wojskową jeszcze przed ofensywą generalną, którą armia francuska miała rozpocząć 15 dni po rozpoczęciu mobilizacji. Zamiast

łanie pozorne, wynikające z czysto formalnego obowiązku uczynienia jakiegoś gestu wobec i tak skazanego na zagładę sprzymierzeńca”¹².

Dopiero mając pewność, że nie dojdzie do generalnej ofensywy francuskiej, 17 września 1939 r. Stalin zdecydował się na zrealizowanie zobowiązań wynikających z tajnego protokołu do paktu Ribbentrop-Mołotow. ►

► Do tego czasu nie chciał bowiem ryzykować ewentualnej wojny z mocarstwami zachodnimi. Warto przypomnieć, że treść tego tajnego protokołu była znana rządowi USA już 24 sierpnia 1939 r.¹³ Natychmiast powiadomił on o niej rząd brytyjski, a ten z kolei francuski. Oba te rządy nie poinformowały jednak o tym polskiego sojusznika.

4 MAJA – WYROK NA POLSKĘ

Los Polski został przesądzony znacznie wcześniej. 4 maja 1939 r. zakończyły się trwające miesiąc brytyjsko-francuskie rozmowy sztabowe. W ich trakcie sztabowcy brytyjscy wykluczyli możliwość udzielenia Polsce pomocy wojskowej, cynicznie zakładając, że pomocy takiej udzieli jej wojska radzieckie. Cynizm i perfidia takiego rozumowania polegały na tym, że zarówno w Londynie, jak i w Warszawie z góry wykluczano możliwość politycznego zbliżenia pomiędzy Polską i ZSRR. Sztaby mocarstw zachodnich jednomyślnie zgodziły się również, że sojusz Francji i Wielkiej Brytanii z Polską i Rumunią przedstawia małą wartość strategiczną ze względu na niewielkie potencjały wojskowe tych sojuszników. W końcowym stanowisku konferencji sztabów sprzymierzonych stwierdzono, że „los Polski zależeć będzie od ostatecznego wyniku wojny, a ten, na odwrót, zależeć będzie od naszej zdolności zadania ewentualnej klęski Niemcom, a nie od naszej zdolności zmniejszenia nacisku na Polskę na początku”. Alianci

Nikt się nie zastanawiał, dlaczego dopiero 3 września Francja i Wielka Brytania wypowiedziały wojnę Niemcom.

zachodni zakładali unikanie wcześniejszej, totalnej konfrontacji z Niemcami, aby zyskać czas na rozbudowę własnych sił zbrojnych. Decyzja podjęta 4 maja 1939 r. przez sztaby generalne Francji i Wielkiej Brytanii o nieudzieleniu Polsce pomocy wojskowej podczas wojny z Niemcami miała kłauzulę tajności¹⁴.

Konsekwencją tej tajnej decyzji była postawa gen. Gamelina podczas rokowań z misją wojskową gen. Tadeusza Kasprzyckiego w Paryżu (14-19 maja 1939 r.) oraz brytyjskiej misji wojskowej podczas rokowań

W dniu napaści Niemiec na Polskę brytyjskie wieczorne wydania gazet szeroko informowały o wybuchu wojny.



z polskim Sztabem Głównym w Warszawie (20-30 maja 1939 r.). Obaj alianci unikali przyjmowania konkretnych zobowiązań co do zaangażowania rodzajów i ilości swoich wojsk po stronie Polski na wypadek wybuchu wojny z Niemcami. Przyjmowane ustalenia w sprawie pomocy wojskowej miały charakter ogólnikowy. W martwym punkcie utknęły też starania Polski o uzyskanie we Francji i w Wielkiej Brytanii znaczących pożyczek na zakup uzbrojenia.

dziemy do was przez Morze Czarne”, minister Beck uznał za poważne, co jest o tyle zdumiewające, że sam był wojskowym (pułkownikiem dyplomowanym artylerii)¹⁵. Składając te i inne zapewnienia, Ironside wiedział, że są fałszywe. W swoim dzienniku zanotował bowiem: „Francuzi okłamują Polaków, mówiąc, że zamierzają przystąpić do ataku. Taka koncepcja w ogóle nie istnieje”¹⁶.

Po powrocie Ironside’a do Londynu obradujący pod jego przewodnictwem brytyjski komitet szefów sztabów stanowczo wypowiedział się przeciw udzielaniu Polsce pomocy przez siły lądowe i morskie. Półtora miesiąca później ten sam gen. Ironside informował ambasadora Edwarda Raczyńskiego, że Wielka Brytania nie podejmie działań zbrojnych na rzecz Polski, i razem z gen. Gamelinem stał się czołowym strategiem tzw. dziwnej wojny na froncie zachodnim (1939-1940).

W czasie kiedy gen. Ironside bał w Warszawie o desancie z Egiptu przez Morze Czarne, rząd brytyjski toczył tajne rozmowy z Niemcami na temat powrotu do polityki monarchijskiej. Ze strony niemieckiej prowadził je Helmuth Wohlthat – bliski współpracownik Hermanna Göring-

ga, a ze strony brytyjskiej doradca premiera Chamberlaina – Horace Wilson¹⁷. Tzw. misja Wohlthata przekonała Hitlera, że Wielka Brytania i Francja nie udzielą Polsce pomocy. Dlatego skierowanie 80% sił Wehrmachtu przeciw Polsce wcale nie było ze strony Hitlera przejawem hazardu.

NIE BYŁO ALTERNATYWY

Mimo krytyki, jakiej poddawana jest polityka zagraniczna obozu sanacyjnego w przededniu wojny, należy stwierdzić, że w 1939 r. nie było dla Polski innej alternatywy niż pisany palcem na wodzie sojusz z Francją i Wielką Brytanią lub sojusz z ZSRR oznaczający *de facto* przyjęcie w 1939 r. politycznego *status quo* z 1945 r. Popularyzowane przez niektórych popularnych publicystów (Rafał A. Ziembiewicz, Piotr Zychowicz) wizje spełnienia przez Polskę żądań niemieckich odnośnie do Gdańska i korytarza oraz zawarcia sojuszu z Niemcami hitlerowskimi należy uznać za niepoważne. Gdyby Polska w 1939 r. rozpoczęła II wojnę światową jako satelita III Rzeszy, to w 1945 r. nie miałaby nie tylko ziem wschodnich, ale i zachodnich, a może nawet nie byłoby jej wcale.

Sojusz z mocarstwami zachodnimi nie był rozwiązaniem złym, pod warunkiem że wypełniłyby one swoje zobowiązania wobec Polski. Polska była przygotowana na wsparcie ofensywy francuskiej. W Wielkopolsce przygotowano całą sieć lotnisk, gdzie wahałoby się lądować bombowce francuskie, bombardujące Niemcy.

Niemiecki generał Alfred Jodl podczas procesu norymberskiego oświadczył, że alianci mogli w 1939 r. odnieść szybkie zwycięstwo nad szczupłymi siłami niemieckimi na froncie zachodnim. „W roku 1939 byliśmy oczywiście w stanie zniszczyć samotną Polskę, ale nigdy nie było w naszych możliwościach (...) odparcie koncentrycznego ataku sojuszników. I jeżeli nie przegraliśmy już w 1939 r., to tylko dlatego, że w czasie kampanii polskiej mniej więcej 110 francuskich i brytyjskich dywizji zachowało się kompletnie biernie, mając za przeciwnika jedynie 23 niemieckie dywizje”¹⁸.

Późniejszy marszałek Alphonse Juin tak scharakteryzował postawę

Francji: „Można było wejść jak w masło w pozycje niemieckie, można było rozstrzygnąć wojnę w 1939 r. Trochę zdecydowania i charakteru. (...) Co za hańba, co za wstyd, co za głupota zarazem. To idealna sytuacja, wręcz modelowa, w której można było pobić przeciwnika, wychodząc na jego odsonięte tyły. Przy tym zdrada wiernego przyjaciela”¹⁹.

Niestety, charakteru zabrakło wówczas politykom zachodnim, tkwiącym nadal w bagnie polityki monachijskiej.

Bohdan Piętko

¹ „Ilustrowany Kurier Codzienny” nr 238, Kraków, 29.08.1939.

² *Stan mobilizacji we Francji*, „Gazeta Polska” nr 239, Warszawa, 28.08.1939.

³ „Ilustrowany Kurier Codzienny” nr 239, Kraków, 30.08.1939.

⁴ „Ilustrowany Kurier Codzienny” nr 240, Kraków, 31.08.1939.

⁵ J. Drużycki, *Anglia i Francja wypowiedziały wojnę [Warszawa od ka do jot]*, www.salon24, 4.09.2009.

⁶ *30 samolotów polskich zbombardowało Berlin. Wszyscy lotnicy powrócili do swych baz*, „Czas-7 Wieczór”, 5.09.1939.

⁷ *Niemcy wzięci w dwa ognie. Porty niemieckie zbombardowane przez lotników angielskich. Kawaleria polska wkroczyła do Prus Wschodnich. Wojska francuskie rozpoczęły akcje na lądzie, morzu i powietrzu*, „Express Poranny” nr 245, 5.09.1939.

⁸ „Goniec Warszawski” nr 248, 6.09.1939.

⁹ *Ofensywa niemiecka na Polskę – załamana. Powstania w okupowanych miastach Polski. Zwycięskie ataki sprzymierzonych na froncie zachodnim; Wspólny atak przeciwniemiecki na obu frontach*, „Express Poranny” nr 253, 13.09.1939.

¹⁰ T. Osuch, *II wojna światowa. Alianci bronili Polski... ulotkami*, www.wiadomosci24.pl, 1.09.2010.

¹¹ M. Zgórnjak, *Europa w przededniu wojny. Sytuacja militarna w latach 1938-1939*, Kraków 1993, s. 482.

¹² Tamże, s. 466.

¹³ Hans von Herwarth, *Między Hitlerem a Stalinem. Wspomnienia dyplomaty i oficera niemieckiego 1931-1945*, Warszawa 1992, s. 260.

¹⁴ J. Karski, *Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919-1945. Od Wersalu do Jaltę*, Warszawa 1992, s. 281; L. Wyszczański, *O czym nie wiedzieli Beck i Rydz-Śmigły*, Warszawa 1989, s. 78-81.

¹⁵ L. Wyszczański, *O czym nie wiedzieli...*, s. 122-131.

¹⁶ J. Karski, *Wielkie mocarstwa wobec Polski...*, s. 281.

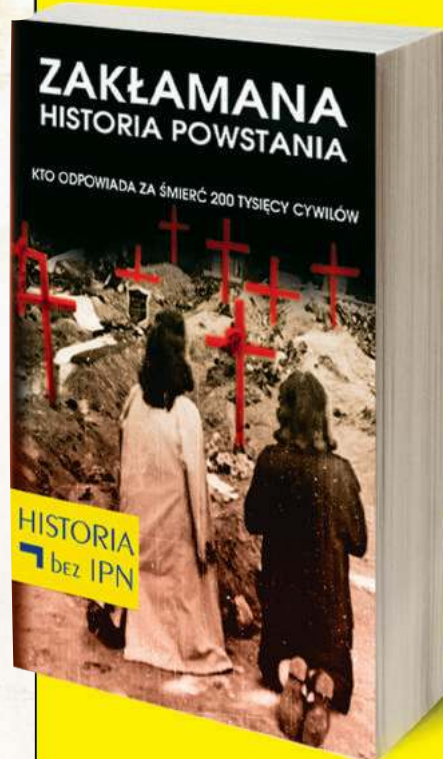
¹⁷ H. Batowski, *Między dwiema wojnami 1919-1939. Zarys historii dyplomatycznej*, Kraków 2001, s. 360-361; L. Wyszczański, *O czym nie wiedzieli...*, s. 118-119.

¹⁸ Cyt. za: 12 września 1939 r. *Tajna konferencja w Abbeville*, www.nowahistoria.interia.pl, 12.09.2015.

¹⁹ Dz.cyt.

HISTORIA
bez IPN

Gen. Władysław Anders:
„Powstanie było zbrodnią,
a jego dowódcy powinni
stanąć przed sądem”.



POLECAMY

KSIAŻKĘ MOŻNA KUPIĆ:

- wpłacając 41 zł na konto wydawcy PRZEGLĄDU: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona
- w Księgarni Historycznej w Warszawie, al. Solidarności 105, tel.: (22) 652 19 59, 607 833 337
- w Główniej Księgarni Naukowej im. Bolesława Prusa w Warszawie, ul. Krakowskie Przedmieście 7, tel.: (22) 826 18 35
- przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Więcej informacji:

tel.: (22) 635 84 10 wew. 111,
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

CZYTELNIKU,
kupując nasze książki,
wspierasz „PRZEGLĄD”

Robert Walenciak

LEWICA: JEST ŻŁE,

Dlaczego Sojusz dostojnie obumiera, a Razem nie może wyjść poza przystawowy plac Zbawiciela?

Lewica w Polsce ma się najgorzej w swojej historii. W sondażach, regularnie publikowanych, SLD z reguły jest poniżej pięcioprocentowego progu, a Razem – poniżej 3%. W sumie – niespełna 8% poparcia! Gorzej było tylko w XIX w.! Ale w tym tunelu widać światło i nie są to reflektory nadjeżdżającego pociągu.

Dlaczego poparcie dla lewicy jest tak niskie? Wedle popularnej tezy dlatego, że tzw. socjał zabrało lewicy PiS, kwestie jedności z Euro-

osoba ma od 25 do 34 lat, 63% jej sympatyków ma wyższe wykształcenie. Ponad połowę sympatyków Razem stanowią mieszkańcy miast powyżej 100 tys. ludności.

cji prześmiewczo-deprecjonującej symetrii. Że lewica nie odróżnia Balcerowicza od Kaczyńskiego, że prowadzi politykę równych odległości od PiS i od PO, co jest rodzajem aberracji...

Zachowanie wyborców było więc racjonalne – jeżeli nasza partia numer 1 milczy lub zachowuje się dziwnie, stawiamy na partię numer 2.

Przełomem były lipcowe protesty, kiedy na ulice, w obronie niezależności sądów, wyszły tłumy. Pisałem już o tym dwa tygodnie temu, nie chcę zatem się powtarzać – ludzie wyszli nie dla PO, ale w obronie sądów. W obronie demokracji.

Te protesty złamały dwie narracje. Po pierwsze, platformerską, mediów głównego nurtu. Wyraźnie było już widać, że protestujący są niechętni Platformie, że Grzegorz Schetyna nie jest ich liderem. Toteż dziś nawet „Newsweek” pisze, że opozycja (wciąż bezprzymiotnikowa) jest w uwiądzie.

Ale przede wszystkim protesty i ich skala złamały narrację pisowską. Do tego czasu partia Kaczyńskiego mogła powtarzać, że demonstrowa państwo Platformy i wprowadza

Wyborcy Sojuszu starzeją się. Najwięcej zwolenników jest w grupie 55+, najmniej w przedziale 18-24 lata.

pą – Platforma, z kolei obrona praw mniejszości mało interesuje Polaków. Pewnie jest w tym wszystkim sporo racji, choć pamiętajmy o jednym – zabiera silniejszy słabszemu. I jeszcze kilkanaście lat temu to SLD zabierał wyborców (i polityków) innym partiom. Problem więc nie w tym, że zabierają, ale w tym, że idzie im tak łatwo...

Skalę tego szabru pokazuje niedawne badanie CBOS „Elektorat lewicy od roku 2005”. Jak wynika z sondażu, 38% elektoratu lewicowego zagłosowałoby w 2017 r. na PO, 19% na SLD, po 8% na PiS i Nowoczesną, 7% na Kukiz'15, a 5% na PSL. Okazuje się, że dwa razy więcej wyborców lewicowych wybiera PO niż SLD! A Sojusz jest w stanie zagospodarować ledwie co piątego sympatyka lewicy... Ten trend, dodajmy, się pogłębia – CBOS zauważa, że przed wyborami w roku 2005 tylko 7% identyfikujących się z lewicą chciało głosować na PO, w 2007 r. już 28%, w 2015 r. 34%, a w obecnym badaniu, w roku 2017, aż 38%!

Co gorsza, wyborcy Sojuszu się starzeją. Najwięcej zwolenników partia ma w grupie 55+. Najmniej zaś wśród najmłodszych, w przedziale wiekowym 18-24 lata.

A partia Razem, nowy lewicowy głos? Dla niej również sondaż CBOS nie jest łaskawy. Po pierwsze, ma ona mniej potencjalnych wyborców niż SLD. A po drugie, jest wciąż zamkniętą grupą – jak podaje CBOS, w jej elektoracie co trzecia

No dobrze, a dlaczego tak się dzieje? Dlaczego Sojusz dostojnie obumiera, a Razem nie może wyjść poza przystawowy plac Zbawiciela? I czy tak musi być?

Na ten stan rzeczy wyraźnie wpłynęły wydarzenia z ostatnich miesięcy – polityka PiS i związane z nią protesty. I, co nie mniej istotne, relacje medialne. PiS, przejmując państwo i jego instytucje, wciąż powtarzało, że nie walczy z demokracją, nie wprowadza autorytaryzmu, ale likwiduje w ten sposób państwo PO, nieuczciwe i kastowe. Tym samym wskazało Platformę jako głównego przeciwnika. Postawiło więc lewicę w trudnej sytuacji – bo jak miała się zachować? Bronić PO, i to pod jej skrzydłami?

Zanim elity zaczną oskarżać „szarego człowieka”, że sprzedał się za 500 zł, zapytamy elit, dlaczego sprzedały go za swoje przywileje.

Media, także te przychylne Platformie, nie miały zatem dla lewicy litości. Oskarżały ją o stanie z bronią u nogi, o sprzyjanie Kaczyńskiemu (choćby nieświadome). Używały też charakterystycznych określeń. Że PO, PSL i Nowoczesna to „opozycja”, SLD i Razem to zaś „lewica”. Takı przekaz sugerował, że partie lewicowe nie są opozycją (czyżby współzadziżyły?). A opozycja jest jedna, bezprzymiotnikowa. Dołożono do tego określenie (w inten-

nowe, sprawiedliwsze, dla wszystkich. To była skuteczna metoda – Polacy rzeczywiście nie chcieli już państwa PO. Ale lipiec pokazał, że nie chcą też państwa PiS, autorytarnego, prawicowego.

Ta sytuacja otworzyła lewicy drogę do powrotu. Czy ją wykorzysta?

Wiatr w żagle na pewno złapały partia Razem i środowiska z nią związane. Opublikowany parę tygo-

WIĘC BĘDZIE LEPIEJ

dni temu „List otwarty do środowisk lewicowych” jest jakąś próbą organizowania się, przyjęcia pewnych wspólnych elementów działania. Tak, by wyjść poza krąg wojny PiS kontra PO.

autorytaryzm będzie karmił liberalną opozycję, a jej opór będzie wzmacniał poparcie dla rządu. (...) Rola lewicy powinno być przekonanie młodego pokolenia, że przetrwanie demokratycznego państwa zale-

Apel o odłożenie na bok animozji jest rzeczywistą nowością, zapowiedzią przejścia od filozofii sekty do dużego ruchu społecznego.

„Partia rządząca dąży do podziału polskiego społeczeństwa po linii »elity« kontra »lud«: to dlatego uderza w sędziów, artystów czy polityków opozycji, a równocześnie przeprowadza socjalne zmiany ważne i korzystne dla większości społeczeństwa”, czytamy w nim. „Obecna narracja liberalnej opozycji – demonizująca elektorat PiS, oskarżająca go o »sprzedanie się« partii rządzącej – nie wychodzi jednak poza narrację PiS, a jedynie zamienia w niej rolę »dobrych« i »złych«. Restauracja elit uniemożliwia włączenie do demokratycznego projektu grup, które z zadowoleniem powitały takie zmiany jak programy Rodzina 500+ i Mieszkanie+, minimalną płacę godzinową czy obniżenie wieku emerytalnego. Zanim elity zaczną oskarżać »szarego człowieka«, że sprzedał się za 500 zł, zapytamy elit, dlaczego sprzedały »szarego człowieka« za swoje przywileje. Dzisiaj za 28 lat przywilejów elit zapłacimy wszyscy”.

Tak piszą autorzy, wcześniej zaznaczając: „III RP jest projektem niemożliwym. Nie ma do niej powrotu. W tym zwrotnym momencie historii potrzebujemy nowej Rzeczypospolitej, nowych opowieści, które pomogą ją zbudować. Jeżeli przyłączymy się do obrony starego porządku, nowy budował będzie nam Jarosław Kaczyński”.

A na zakończenie listu czytamy: „Zdecydowaliśmy się podpisać ten list, ponieważ wiemy, iż w najbliższym czasie środowiska lewicowe będą – który to już raz – rozgrywane pomiędzy alternatywą, która napędzała stary porządek. Prawicowy

ży od tego, czy będzie ono działać w interesie większości społeczeństwa. Że można budować państwo, które nie opiera się na pogardzie klasowej, na dyskryminacji kobiet i mniejszości, na służalczości względem milionerów, kościoła i wszelkich uprzywilejowanych kast. Musimy im tylko powiedzieć – razem, bez względu na to, jak wiele nas różni – że inna Rzeczpospolita jest możliwa!”.

Czy te zamiary są możliwe do zrealizowania? Nie chciałbym listu oceniać z pozycji seniora, ale o tym, że polityka neoliberalna, potem polityka Platformy prowadzą Polskę

Wiecie już, że PiS chce was zabić, a PO – ośmieszyć.

do głębokiego pęknięcia, a w konsekwencji do kryzysu społecznego, pisaliśmy w PRZEGLĄDZIE od lat. Pisali i mówili o tym Karol Modzelewski, Tadeusz Kowalik, Aleksander Małachowski i wielu innych. Dla czytelnika PRZEGLĄDU list nie jest więc jakimś odkryciem.

Ale na pewno jego wartością jest to, że środowiska lewicowe pokazały, że mają świadomość, w jakim kraju działają. Jak są rozgrywane w meczu PO kontra PiS. I że wiedzą już, że muszą walczyć o swoje, „bez względu na to, jak wiele nas różni”. To o tyle ważne, że dziś lewicę tworzy wiele środowisk, często zupełnie się ze sobą nie kontaktujących czy wręcz sobie wrogich, więc apel o odłożenie na bok animozji jest rzeczywistą nowością. Jest zapowiedzią – i to najważniejszą! – przejścia

od filozofii sekty do filozofii dużego ruchu społecznego.

Co dalej? To przecież dopiero pierwszy krok lewicowców, symetrystów, na drodze do poważnej polityki. Jak daleko zajdą, zależy od nich samych. Bo że wiatr wieje w ich zagle – to za mało.

Cóż, drodzy symetryści, do roboty! Wiecie już, że PiS chce was zabić, a PO – ośmieszyć. Waszą bronią jest więc wasze gadanie, wasz zapał, świeżość spojrzenia. Propozycje lepszego państwa, które wysuniecie. To wbrew pozorom dość łatwe. Platforma budowała państwo liberalne, a potem klientelistyczne, PiS buduje państwo autorytarne, prawicowe. To nie są wzory zachodnioeuropejskie, więc...

Na pewno waszym kłopotem są SLD i tradycje PZPR jeszcze tam obecne. No cóż, to test waszej wiedzy historycznej i twardości waszego kręgosłupa, odporności na propagandę. Dziś z tamtych tradycji czerpią wszyscy, choć tego nie ogłaszają. PiS ma swojego prokuratora Piotrowicza i ambasadora Przyłębskiego, Platforma – kwiat artystów i profesury.

Dla was niech zostaną przedszkola, placówki wychowawcze, spółdzielnie mieszkaniowe, wczas-

sy pracownicze, bezpieczeństwo socjalne... Jest tego sporo. A obywateli przyjmą to z wdzięcznością. Jest jeszcze krąg działaczy samorządowych, których nie powinniście obrażać, a od których moglibyście dużo się nauczyć. No i są wasze „dzieci” – ruchy miejskie, lokatorskie, ekologiczne, równościowe; tym wszystkim budujecie swoją siłę i swoje wpływy. Nie musicie więc łączyć się na siłę. Wystarczy, że maszerować będziecie oddzielnie, a uderzać razem.

A gdy będziecie silni, politycy sami będą o was zabiegać. O brak znanych liderów martwić się, na razie, nie musicie. Znajdą się. Solidarność też powstała z niczego, nikt się nie spodziewał takiej eksplozji. Ale nastąpiła.

Z wyrazami zachęty do pracy
Robert Walenciak

DO ZOBACZENIA W WOLNEJ PUSZCZY!

Puszcza Białowieska
to symbol tego, co się
teraz dzieje w Polsce

Julia Łapińska

– Jedna pani psycholog zrobiła nam warsztaty z wypalenia zawodowego. Rzeczywiście, bardzo dużo z siebie dajemy. Utrzymujemy się w stanie permanentnego zmęczenia – Joanna Pawluśkiewicz ma na twarzy czujny uśmiech wojownika. Nieraz zdarzyło jej się spać w lesie. W czasie pierwszej blokady harwestera było tak zimno, że obrońcy puszczy nakładali na siebie śpiwory. Kiedy przychodzi moment totalnego wyczerpania, bierze dwie noce w agroturystyce, żeby porządnie się wyspać i wymyć. Barbara z Czech śmieje się, że jak była tu w czerwcu, to w ogóle się nie myła, tylko korzystała z jednorazowych chusteczek dla dzieci. Tak było zimno. A teraz w sierpniu dwa razy skorzystała z prysznicznego prysznica. Normalnie spa!

– Najbardziej jestem dumna z odwagi cywilnej wszystkich ludzi, którzy przyjeżdżają tu z każdej części świata, żeby pomóc. Był nawet Australijczyk. Czasem wydaje mi się, że siedzimy tu jak mali rebelianci z „Gwiezdných wojen”, walcząc z Gwiazdą Śmierci, która nadciąga. Ale puszcza sobie nie poradzi, jeśli my jej nie pomożemy – Joanna od lat jak talizman wozí ze sobą figurkę małego droida R2-D2 z „Gwiezdných wojen”.

Co wieczór tajne zebranie. Trzeba zdeponować telefony komórkowe do skrzynki. Obóz może być inwigilowany. – W tamtym domu przez dwa tygodnie było ciągle otwarte okno. Dziwne, prawda? – pokazuje ręką Ania. Regularnie przed bramą obozu pojawia się samochód z Instytutu Badawczego Leśnictwa. Wyskakuje facet z aparatem. Długą łufą robi kilka zdjęć ekologom.

Ekolog to pojemne słowo. Dziś przy ognisku spotykają się: doktor anglistyki z Warszawy, młoda anarchistka, kierowca ze stowarzyszenia Eko-Star Słupsk, student prawa, biolog, scenarzystka. Poświęcili swój urlop, wa-



Nie każdy musi się podpinąć pod harwestery. Chłopak z Kolumbii zrobił instalację. Ktoś pomalował stare drzwi i przyczepił do płotu na bramie.

kacje, żeby tu być. Codziennie przyjeżdżają nowi z różnych części Polski i świata. Niektórzy z dziećmi. Duże ognisko płonie pośrodku pola namiotów. Na tej samej działce stoi tipi z grubego płótna żaglowego. W tle księżyc jak z obrazków o Dzikim Zachodzie. Jedni śpią w namiotach, drudzy w stodole. Stodoła, jak całe gospodarstwo w Pogorzelnach, została udostępniona ekologom.

CIĘŻKIE MASZYNY TNĄ W STREFIE UNESCO

Przy ognisku nerwowa dyskusja o procesie w Hajnówce. Jutro siedem osób stanie przed sądem za akcję z 8 czerwca. Do uczestników obozu przyszło już prawie sto wezwań, i to tylko za pierwsze, czerwcowe blokady i łamanie zakazu wstępu do lasu. Przyjdzie jeszcze więcej. – Będą sądzeni ludzie, którzy bronią puszczy, a ci, którzy zarabiają na niej grube pieniądze, nie poniosą żadnych konsekwencji! – rzuca ktoś ze złością. – Przecież kornika i tak nie da się wytępić, część świerków rośnie na Białorusi i w parku narodowym. Na Białorusi świerków nie wytną. W gałęziach, które zostawiają na stanowiskach wycinki, pewnie

wciąż można znaleźć kornika – odzywa się 20-letni Janek. Przyjechał kilka godzin temu. Szlag go trafił, kiedy słyszał w mediach, że ciężkie maszyny tną w strefie UNESCO. Niszczą najcenniejsze przyrodniczo drzewostany. Kupił bilet na pociąg z Warszawy do Hajnówki. Potem wsiadł w autobus do wsi Pogorzelce.

Jeszcze informacja dla nowych. Na terenie obozu nie pijemy alkoholu! – Piwa można się napić w Białowieży, ale nie tu. Ta sprawa jest za wielka, żeby tu pić alkohol – tłumaczy cierpliwie Joanna Pawluśkiewicz. – Bycie tu nie polega tylko na ideologii, trzeba wywieźć śmieci, zamieść podłogę w obozowym biurze – dodaje.

– Mnie nie interesuje polityka, mnie interesuje los puszczy. Puszcza jest ponadpartijna – Kuba Rok, przyrodnik, zawsze wyprostowany jak generał, o czujnym spojrzeniu. Często moduruje wieczorną zbiórkę. Zawalił wiele spraw zawodowych, żeby tu być. – Pa-trzymy Lasom Państwowym na ręce, bo mamy argumenty merytoryczne. Nie jesteśmy ekooszołomami, tylko ludźmi nastawionymi na dialog.

Po zebraniu dwóch intelektualistów z Warszawy rozpartych na ogrodowych fotelach rozmawia o książce

„O tyranii” Timothy’ego Snydera. W tle granatowej nocy głośnie cykanie świerszczy. – Nie czuję się typowym ekologiem, ale miałem potrzebę przyjechać i bronić puszczy – jeden z nich zaciąga się papierosem. Do pierwszej wypalą paczkę na pół, a potem każdy zmęczony intensywnym dniem zasunie zamek w namiocie. W stodole kończy się kurs wspinaczki drzewnej dla chętnych. Prowadził go Just, Niemiec o polskich korzeniach. W obronie puszczy skoczył na forwardera. Zapłacił kontuzją kolana. Barbara z Praги wciera fenistil w pogryzione przez meszki tydki. Pies o imieniu Syria kładzie się z gracją do snu na sianie. O szóstej pobudka. Od świtu budzi wszystkich klekot bocianów na dachu.

ANI MY RACJI NIE MAMY, ANI EKOLODZY

We wsi Pogorzelce wiele pięknych agroturystyk, ale także kilka skromniejszych gospodarstw. Przed jednym z nich starszy mężczyzna o ruchliwej mimice. Całe życie pracował jako pilarz. – Żeby nie przeszedł na emeryturę, tobym kamienie gryzł! – wykrzykuje. – Bo tu nie ma z czego żyć – dodaje, patrząc na jedną z ładnych agroturystyk szklстым wzrokiem. O ekologach mówi: – Szumiali w tej Rospudzie, szumią i tu. Oni tu niepotrzebne! Powystrzelać! Nie powinni tak

szumieć! – znów krzyczy. – Kiedyś pułapki się na kornika robiło. Kornik wlaź w ścięte drzewo, okorowywało się, korę paliło. A teraz puszcza stoi i kipi. Rozmnożyli kornika, bo nie było wycinarki. Bogiem a prawdą powiedzieć, ani my racji nie mamy, ani ekolodzy. 20 lat za późno jest! – macha ręką.

Przy płocie pojawia się żona pilarza. – Wszystko przez to, że ten Wajrak tak nachrzania! Robaczek, motylek, nie wolno, zakaz! – kobieta daje upust

wokować do rozmowy. Patrzy podejrzliwie spod wielkiego kapelusza. – Ekolodzy nie dają ścinać, a czym ja mam palić?! No, czym?! Warszawiak powie, żeby nie ścinać, bo on na oczy lasu nie widział. Też bym pottrzymała deskę z protestem i w brudach poleżała, jakby mi tysiąc złotych dziennie płacili. Ja mam emerytury 1,2 tys. i z tego cały miesiąc trzeba żyć. Raz się tu jednego takiego od nich spytałam, czy gdzie tyle drzew zwalonych

W 2016 r. turyści zostawili w parku narodowym 71 mln zł. Nadleśnictwo Białowieży płaci do budżetu gmin 480 tys. zł.

złości. – A tym ekologom to że 400 zł dziennie płacą, jedzenie im przywożą – szepce. – Mogę panią zapewnić, że nie płacą. Sprawdziłam. To są ludzie z różnych części Polski, dobrowolnie przyjeżdżają, urlopy w pracy biorą, żeby tu być – próbuję wyjaśniać. – Jak nie płacą, jak płacą! Oni by tu nie siedzieli jak psy w namiocie, w stodole nie spali, jakby im nie płacili – kiwa głową w celu samopotwierdzenia. Przechodząca pani z psem słyszy naszą rozmowę. Mówi, że jej ekolodzy nie przeszkadzają. – Tej wsi przydałoby się więcej młodych ludzi. Od razu inna energia – uśmiecha się i goni niesfornego psa.

Kilka domów dalej kobieta kosi trawnik. – Chciałam zapytać o ekologów, grzeczni są? – próbuję ją spro-

widzieć. Nie odezwał się ni krzywo, ni prosto. A co do tego kornika, to on już tak rozproszony, że nie wiem, czy ta wycinka co da – macha ręką, odwraca się i znów uruchamia kosiarkę.

Kiedy rusza proces ekologów, w Hajnówce odbywa się debata organizowana przez lokalną telewizję. Jest też TVN oraz HBO, które kręci w puszczy i w obozie ekologów dokument dla angielskiej telewizji. Ekologów odwiedziło już wiele zagranicznych stacji: BBC, RTL, stacja z Rosji. Przyjazd zapowiedziała Al-Dżazira.

Przy wejściu na debatę o puszczy wielki baner: „Popieramy działania ministra Prof. Jana Szyszko”. Podpisano: „Społeczeństwo”. Identyczny baner wisi na drodze z Hajnówki do Biał-



Mieszkańcy Białowieży i Hajnówki stworzyli grupę Lokalsi dla Puszczy.

► wieży. Treść: „Pseudoekolodzy zniszczyli puszcę. Odbudujmy ją”. Tam zamiast „Społeczeństwo” podpisano: „Santa”. Oba banery mają tę samą grafikę. Wykonane przez profesjonalnego poligrafa. Santa to reprezentanci miejscowej branży tartacznej. Pracownicy Santa zawsze tłumnie uczestniczą w dyskusjach o losach puszczy. Kiedy Katarzyna Jagiełło z Greenpeace Polska tłumaczy, dlaczego Trybunał w Luksemburgu nakazał wstrzymanie wycinki, buczą, jakby uważali to za merytorycznie zadowalający kontrargument. Razem z pracownikami Santa siedzi młodzież z tajemniczym napisem na koszulkach: „Ekologiczne Forum Młodzieży”. W regionie zapowiada się coraz więcej inicjatyw, które będą korzystać ze słowa ekolog

Puszczy, siedzącym wśród publiczności: – Otrzymaliśmy, no, nie postanowienie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, ponieważ w tej chwili jest czas urlopowy, otrzymaliśmy postanowienie wiceprezesa Trybunału Unii Europejskiej. Część sali klaszcze entuzjastycznie, część przeciera oczy ze zdumienia.

Z drugiej strony sali mieszkańcy Białowieży i Hajnówki, którzy stworzyli grupę Lokalsi dla Puszczy. Sławomir Droń z Lokalsów ma przypiętą do koszuli zieloną wstążeczkę. – Turystyka to droga dla tego regionu. Z wycinki nie mamy nic! – tłumaczy. Uważa, że niezależnie od sytuacji trzeba ludziom wysłać dobrą energię. Prowadzi w Białowieży kawiarnię Bike Cafe połączoną z wypożyczalnią rowerów. Niektórzy

Jagiełło z Greenpeace podaje twarde dane: w samym roku 2016 turyści, policzeni w taki sposób, że liczono wyłącznie wejścia do instytucji związanych z Białowieskim Parkiem Narodowym, zostawili 71 mln zł. Dla porównania nadleśnictwo Białowieża płaci do budżetu gmin 480 tys. zł.

ŚREDNIOWIECZNA KATEDRA NA CEGŁY

Po obozie roznosi się intensywny zapach duszonych warzyw i przypraw. Czas na obiad. Do czterech wielkich garów ustawia się 30-osobowa kolejka z talerzami i sztućcami. Jest nawet pudding z żurawiną na deser. Piotr, biolog, też stoi w kolejce. Przed chwilą wrócił z patrolu. Rowerem Jubilat przemierzył od rana 40 km. Znalazł dwa stanowiska chrząszczy saproksylicznych. – Zajmuję się owadami i jestem pewien, że tu prawie na każdej wycince są chronione formy. Sfotografował. Dołączył do dokumentacji.

Nie każdy, kto przyjeżdża do obozu, musi się podpinać pod harwestery. Chłopak z Kolumbii zrobił piękną instalację. Ktoś pomalował stare drzwi i przyczepił do płotu na bramie. Na drzwiach napis: „Obóz w obronie Puszczy, witaj. Jeśli zależy ci na zachowaniu jednego z najdzikszych zakątków Europy, trafiłeś w dobre miejsce”. Przy tej bramie dyżuruje dziś Tomek. Obronił niedawno doktorat, w którym porównuje „Raj utracony” Milтона z filozofią Heideggera. Oprowadzi chętnych po obozie. Przyjeżdżając tu, można zająć się gotowaniem obiadów, zorganizować ciekawe warsztaty. To też pomaga puszczy. – Puszcza to jeden z najcenniejszych lasów w Europie. I dlatego, jak ktoś mnie nazywa ekotalebem lub zielonym ekonazistą, nie przejmuję się. Nie ma wyjścia, trzeba dokumentować, jak jest łamane prawo, blokować harwestery.

Piotr już po obiedzie, czyta w bibliotece w stodole „Dziki Życie”. Felieton prof. Węślawskiego o tym, że średniowiecznej katedry nie wywozi się na cegły. Pilarze niszczyliby wolniej, ale szybkość harwestarów przeraża. Obrońcy puszczy na harwestery wołają „smoki”.

Spokój i opanowanie ekologów wielu denerwują. Będzie coraz więcej absurdalnych oskarżeń pod adre-

Co wieczór tajne zebranie. Trzeba zdeponować telefony komórkowe. Obóz może być inwigilowany.

zdefiniowanego na nowo. Jak podaje portal OKO.press, za chwilę ruszy Puszcza.tv Tomasz Sakiewicza, która otrzymała z Ministerstwa Środowiska Jana Szyszki 6 mln zł na portal o Puszczy Białowieskiej.

Uczestniczący w debacie wiceminister środowiska Andrzej Konieczny odnosi się do decyzji Trybunału w Luksemburgu o wstrzymaniu wycinki w puszczy. Tłumaczy mieszkańcom Hajnówki i ekologom z Obozu dla

koledzy przestali mu się kłaniać, od kiedy zaczął aktywnie działać przeciw wycince. A przecież puszcza od wielu lat przyciąga ptasiarzy ze świata, bo można tu obserwować m.in. dwa najbardziej poszukiwane gatunki dzięcioła. W szczycie sezonu zawsze słychać w centrum Białowieży kilka europejskich języków. To jest marka, z której żyje cała Polska. Według Dronia ludzie, którzy są za wycinką, nie rozumieją, jak bardzo sobie szkodzą. Katarzyna





Ekolog to pojemne słowo. Przy ognisku spotykają się: doktor anglistyki z Warszawy, młoda anarchistka, student prawa, biolog, scenarzystka.

sem uczestników Obozu dla Puszczy. Choćby to, że pobili księdza. Były anonimowe zgłoszenia o narkotykach na terenie obozu. Nalot policji z psami i w kominiarkach nic nie wykazał. Ania, która pojechała na pierwszy proces ekologów do Hajnówki, mówi, że chwilami było jak w kabarecie. – Świadek, który nadzorował pracę harwesterów, migał się od jasnych odpowiedzi. Zastaniał się niewiedzą i niepamięcią. Podobnie pan z policji, nic nie widział, nic nie słyszał – miała ochotę wyjść po zeznaniach pierwszego świadka.

Gosia brała udział w kilku blokadach, jakby co, to idzie siedzieć. Nie będzie miała pieniędzy na opłacenie kar. Mieszka w puszczy od 15 lat i ze swojego podwórka słyszała, jak pracuje harwester. – Nie mogłabym mówić mojej ośmioletniej córce o patriotyzmie, gdybym nie przyłączyła się do protestu przeciw wycince – podkreśla. Od początku zrobiła wiele zdjęć dokumentujących życie obozu. Choćby takie, jak strażnik upada podczas gonienia ekologów, a aktywista podaje mu rękę. – Strażnicy, których ściągają tu z całej Polski, są różni. Nie można generalizować, żeby nie skrzywdzić tych, którzy są w porządku – opowiada Gosia. Ale zawsze będzie pamiętać chłód metalu, gdy strażnik skuł jej brutalnie ręce kajdankami. Inną koleżankę strażnik trzymał mocno przy ziemi i głośno w dziwny, upokarzający sposób po włosach. 30 sierpnia 2017 r. na stronie Obóz dla Puszczy czytamy: „Po dwóch ostatnich protestach chcemy się z wami podzielić obserwacjami w kwestii zachowania

strażników leśnych. Straż leśna: wykrecą i rozciąga ręce z użyciem siły i masy ciała kilku funkcjonariuszy, uderza aktywistów przy próbach odpinania ich od maszyn i wyprowadzaniu z miejsc protestów, dopuszcza się przemocy psychicznej oraz werbalnej, sznury, którymi przywiązani byli aktywiści, były przecinane z wykorzystaniem noży tuż przy ciele, a liny zabezpieczające aktywistów były odcinane, co narażało na upadek z dużej wysokości!”.

CHODZI O FORSĘ I TYLE!

Niedzielnny spacer obywatelskiego nieposłuszeństwa po puszczy. Wielu na nim tamtejszych mieszkańców z grupy Lokalsi dla Puszczy. Jest zimno, siąpi deszcz, ale i tak przyszło sporo ludzi. Idą gęsiego wśród po-

– Wobec tego, co się tu dzieje, zaufanie do korporacji, jaką są Lasy Państwowe, się skończyło – powtarzają Lokalsi. – Most ze świerków ściętych w tym roku połączyłby Paryż z Moskwą. Nie dajmy sobie wmówić, że nie mamy prawa mówić, co się dzieje w puszczy!!! – tłumaczy przejęty Rafał Kowalczyk, dyrektor Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży. – Ja się boję chodzić po lesie, kiedy jest tyle suchych świerków – odzywa się głośno w tłumie kobieta, która stoi blisko przedstawicieli Santa. – Bezpieczny las to byłby bez drzew. Niech pani nie będzie naiwna. Tu chodzi o forszę i tyle! – mężczyzna, który jej odpowiada, nie kryje irytacji. Dodaje jeszcze, że suche drzewa w głębi lasu nikomu nie zrobią krzywdy. Przedstawicielki Obozu dla Puszczy w wystąpieniu

Spokój i opanowanie ekologów wielu denerwują. Będzie coraz więcej absurdalnych oskarżeń pod ich adresem.

ranionych drzew. Dziesięcioletnia dziewczynka w tłumie wciąż powtarza: – Kornik drukarz jest mieszkańcem puszczy, a harwester już nie. W trakcie przemówień ludzie skandują: – Cała puszcza parkiem narodowym! Padają ostre słowa o leśnej korporacji. I o tym, że leśniczy zarabia tu 9 tys., a nadleśniczy 16 tys., czyli więcej niż premier.

Lokalsi dla Puszczy boją się, że będzie podobnie jak z Pałacem Carskim w Białowieży. Komuniści rozebrali go na deski, a potem było za późno.

podkreślają, że ekolodzy są tu po to, żeby się przeciwstawić niszczeniu tego miejsca dla pieniędzy. W puszczy żyją rzadkie gatunki, bo nie usuwa się martwego drewna. Kornik drukarz, pięciomilimetrový chrząszcz, to pretekst. Walczy się z nim tylko w lasach gospodarczych, gdzie zagraża produkcji drewna, ale nie tu! Puszcza sobie poradzi bez harwesterów, które nieodwracalnie niszczą podłoże.

Deszcz zaczyna padać coraz intensywniej. Fotoreporterzy biegną na oślep przez wyrąbisko. Złapali świetny ▶

► kadr. Młoda matka karmi piersią dziecko na pniu świeżo ściętego świerka. W tle pusty plac wyłamanych drzew. Zapach jak w tartaku.

– Ta puszcza to symbol tego, co się teraz dzieje w Polsce – uważa 20-letni Janek. Jadąc pociągiem do Hajnówki, spotkał studenta z tych stron. Ten zwrócił Jankowi uwagę, że Hajnówka ma w herbie piłę. Że całe miasto zbudowano na wywóźce drewna za niemieckiej okupacji w czasie I wojny światowej. – Chłopak mówił, że nie popiera wycinki, ale nie zamierza się angażować. Szkoda. Ja nie mogę beczynnie słuchać, jak Szyszko mówi o ekspertach z Unii Europejskiej, że nie odróżniają kornika od żaby. Nic nie klu-

je w oczy tak jak stosunek człowieka do przyrody! Z jego wypowiedzi bije dużo pychy.

Janek składa namiot. Dziś wraca. Plecy bolą od spania na karimacie, ale postanawia, że znów tu przyjedzie na kilka dni. To miejsce zmienia. Wiele się nauczył. Poza tym kolega z blokady to jak kolega z frontu. Tu się tworzą niesamowite więzi.

Tego samego dnia dwoje 30-latków też wyjeżdża z obozu. Spędzili tu tydzień. Ładne, młode twarze. Nosa opalone od słońca. Niosą ogromne plecaki. Przed nimi cała noc jazdy pociągiem do Gdańska. – Do zobaczenia w wolnej puszczy! – wołają przy furtce.

Julia Łapińska

Kilku ministrów rządu *de nomine* Beaty Szydło, co najmniej kilku posłów PiS i nawet jeden, zdaje się, wicemarszałek Sejmu, uzasadniając słusność uchwalonej przez siebie ustawy dezubekizacyjnej, która drastycznie obniża emerytury (także wypracowane już w III RP) każdemu, kto choć dzień przesłużył w organach bezpieczeństwa PRL, mówili, że „oprawcy nie mogą mieć wyższych emerytur niż ofiary”. Mądrość tę podchwyciło i rozpowszechniło wielu prawicowych publicystów. Zdanie to wygląda na prawdziwe, słuszne i sprawiedliwe. Komuż takie zdanie się nie spodoba? Któż nie chciałby ukarać oprawców? Któż odważyłby się powiedzieć, że ofiarom nie należą się wyższe emerytury niż ich niegdyśszym oprawcom? Należą się! Oczywiście. Problem okazuje się jednak nie tylko prawny, moralny, ale przede wszystkim semantyczny. Kogo zaliczyć do oprawców? Wedle jakich kryteriów? Zakładając, że „oprawcą” i „prześladownicą Narodu Polskiego” jest ten, komu wedle tej nieszczęsnej ustawy obniża się renty i emerytury, widzimy, że PiS słowo oprawca rozumie jednak nieco inaczej, niż określa to zarówno słownik języka polskiego, jak i przeciętny Polak. Jak? Pokażę to na przykładach, kreśląc „poczet oprawców polskich”, opisując znane mi z praktyki adwokackiej przypadki osób zaliczonych ustawą dezubekizacyjną do tej kategorii.

Oprawca nr 1. Pan Kazimierz. Niegdyś, w latach 60., znany piłkarz krakowskiej Wisły, lewoskrzydłowy napastnik. Wisła – jak wiadomo – była „klubem gwardyjskim”, piłkarze byli na etatach milicyjnych (tak jak w klubach wojskowych na etatach wojskowych, w klubach górniczych na etatach w kopalniach itd.). Pan Kazimierz etatowo przypisany był do SB. Widać działacze Wisły chcieli mu się przysłużyć, zaczęli go na etacie w SB, gdzie były wyższe zaszerogowania niż w MO. No to się przysłużyli. Zaliczony do oprawców pan Kazimierz traci dwie trzecie swojej, niewysokiej zresztą, emerytury (już raz, za Platformy, mu ją obniżono). Pan Kazimierz w sumie może nie bardzo by się tym przejął, bo przebywa w hospicjum i wystawnego trybu życia nie prowadzi. Jednakże jest mu przykro, że na koniec życia uznano go za oprawcę.

Oprawca nr 2. Pan Józio. Z zawodu był kierowcą. Jeździł w straży pożarnej. Tam dobrego kierowcę wypatrzył jeden z komendantów milicji. Pana Józia przeniesiono do MO. To w końcu tak jak straż,



PARTNERZY MEDIAM

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

MediaMarkt

Z Galicji



Jan Widacki

POCZET OPRAWCÓW POLSKICH

ten sam resort. Pan Józio został milicyjnym kierowcą. Naprawdę był świetnym kierowcą, jako taki wpadł w oko zastępcy komendanta wojewódzkiego ds. SB. Pana Józia przeniesiono na etat SB. Woził szefa bezpieki. Przez niecałe dwa lata. Potem był rok 1990. Pan Józio jeździł jako kierowca z dwoma kolejnymi komendantami wojewódzkimi policji. Potem przeszedł do CBS. Brał udział w rozmaitych akcjach, w jednej nawet do niego strzelano. W okresie służby dostawał same nagrody i wyróżnienia. Niedawno przeszedł na emeryturę. Dziś ma kłopoty z kręgosłupem i nogami. Pan Józio na mocy ustawy zaliczony został do oprawców. Straci prawie dwie trzecie nie tak znowu wysokiej emerytury.

Oprawca nr 3. Pani Jadzia. Jeszcze jako studentka prawa chciała zostać oficerem dochodzeniowo-śledczym. Chciała prowadzić śledztwa kryminalne,

Oprawca nr 4. Pani Halina. Dziewczyna ze wsi. Zdawa maturę, ukończyła kurs maszynopisania. Po skończeniu kursu wzięła udział w zawodach maszynistek. Wygrała. Zaproponowano jej pracę maszynistki w milicji. Przyjęła. Napisała podanie: „Proszę o zatrudnienie w charakterze maszynistki w Milicji Obywatelskiej”. Był maj 1989 r. Została przyjęta. Kadry (wspólne wtedy dla MO i SB) skierowały ją do wydziału paszportowego. Paszporty należały do bezpieki. Nie wiem, kiedy i w jaki sposób „oprawiała”, pisząc na maszynie przez rok. W lecie 1990 r. paszporty przeniesiono do wojewodów, bezpiekę zlikwidowano. Pani Halina znalazła się w policji. Pisanie na maszynie wychodziło z użycia, etaty maszynistek likwidowano, pani Halina przekwalifikowała się. Odbiła kolejne przeszkolenia, zdobywała kolejne stopnie, pracowała jako liniowy policjant. Przeszła na emeryturę. Teraz straci dwie trzecie

Gdy dwa lata temu odchodziła na emeryturę, nie przypuszczała, że zostanie zaliczona do oprawców, a jej emerytura, wypracowana w UOP i ABW, z tego powodu zostanie ograniczona do jednej trzeciej.

Ten „poczet oprawców” można ciągnąć dalej. Ale po co? Dla kontrastu sylwetka pana Janka. Pan Janek skończył prawo. Już jako student afiszował się znajomościami w SB. Niektórzy uważali go za konfidenta, nawet za tajniaka. Jeszcze na pierwszym roku studiów wstąpił do PZPR. Po studiach ze względów jak najbardziej ideowych wstąpił do SB, by ścigać rewizjonistów i reakcję. Robił to z pasją i nie można odmówić mu bystrości ani inteligencji. Zajmował się uczelniami. Miał sukcesy, przełożeni go doceniali. Szybko awansował. Był jednym z najmłodszych podpułkowników SB w Polsce. Gdy powstała Solidarność, pan Janek tworzył w województwie Inspektorat II i stanął na jego czele. Inspektorat II miał za zadanie zwalczać solidarnościową opozycję. Pan Janek dwoił się i troił. Miał sukcesy. Gdy w 1990 r. likwidowano SB i ogłoszono weryfikację, nawet do niej nie stanął. Wiedział, że nie ma żadnych szans. Wykorzystując wykształcenie prawnicze i zdobyte jeszcze podczas służby uprawnienia radcy prawnego, zatrudnił się w dużej firmie. Nie został zaliczony do oprawców, pracuje jeszcze, równocześnie pobiera emeryturę, którą wypracował sobie po 1990 r. Tej emerytury na mocy ustawy nikt mu nie obniży. Pan Janek nie jest z urzędu oprawcą. Śmieje się teraz z tych kolegów, którzy w 1990 r. stawali do weryfikacji, potem tracili zdrowie w służbie UOP i ABW.

Taka jest ustawa dezubekizacyjna. Dzieło PiS. Takie prawo, jaka sprawiedliwość. I na odwrót: taka sprawiedliwość, jakie prawo.

Taka jest ustawa dezubekizacyjna. Dzieło PiS. Takie prawo, jaka sprawiedliwość. I na odwrót: taka sprawiedliwość, jakie prawo

tropić bandytów i złodziei. Po studiach wstąpiła do milicji. Gdy ukończyła kurs oficerski, w jej wydziale nie było etatu oficerskiego. Kadry skierowały ją na rok, „na przeczekanie”, do wydziału śledczego. Tam etat oficerski był wolny. Ale wydział śledczy to była bezpieka. Wszyscy wiedzieli, że przyszła do tego wydziału tylko na krótko, nie dali jej więc żadnych spraw do prowadzenia. Kazali uporządkować archiwum. Po roku wróciła do milicji. Po 1990 r. awansowała, została naczelnikiem najpierw jednego, potem drugiego wydziału w komendzie wojewódzkiej. W wolnej Polsce awansowała aż do stopnia inspektora (odpowiednik pułkownika). Nagradzana, odznaczana, odeszła na emeryturę. Teraz jako „oprawca” traci ponad dwie trzecie emerytury.

tę, co wypracowała sobie po 1990 r. Jako „oprawca”.

Oprawca nr 5. Pani Maria. Skończyła filologię romańską. W złym czasie. To był PRL. Nie miała talentów pedagogicznych, nie chciała uczyć w szkole. Trafiła się jej praca w wydziale techniki komendy wojewódzkiej MO. Wydział techniki obsługiwał i MO, i SB. Po 1990 r. *ex post* zaliczono go do bezpieki. Po kilku latach PRL upadł, rozwiązano SB, powstał Urząd Ochrony Państwa. Tam też był wydział techniki. Panią Marię zatrudniono jako specjalistkę o wysokich kwalifikacjach. Na potrzeby służby nauczyła się dodatkowo arabskiego. Po reorganizacji, kiedy UOP podzielono na Agencję Wywiadu i Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, pani Maria znalazła się w tej drugiej. Awansowała na kolejne stopnie, była nagradzana i odznaczana.

**Poprzednie felietony na
www.tygodnikprzeglad.pl**

TWARZE KOŚCIOŁA

Prędzej czy później (oby prędzej) imperium Rydzyka przejdzie do historii jako wysoce szkodliwa forma upolitycznionego katolicyzmu

Stanisław Obirek

Muszę zacząć od wspomnień, by to, co chcę napisać o dzisiejszym Kościele katolickim w Polsce, zostało wpisane w szerszy kontekst historyczny i polityczny naszego kraju i mojej własnej biografii. Bez tej perspektywy czasowej moje dzisiejsze spojrzenie na miejsce religii w przestrzeni publicznej i w moim życiu osobistym może być źle zrozumiane.

Otóż od połowy lat 70. do 2005 r. byłem bardzo ściśle i z głębokim przekonaniem zaangażowany w różnorakie działania Kościoła katolickiego jako członek zakonu jezuitów. Wydawało mi się, że właśnie zakon o międzynarodowej strukturze stanowił idealne ucieleśnienie światowego katolicyzmu. Nie myliłem się. Dzięki jezuitom udało mi się przezwyciężyć ograniczenia katolicyzmu odziedziczonych poprzez rodzinne i parafialne wychowanie w latach 60. i 70., które kazało mi utożsamiać religię z polskimi kołędami, wieczerzą wigilijną, pasterką i nawiedzaniem grobów w dzień Wszystkich Świętych. Nawet martyrologiczne i antykomunistyczne obsesje niektórych jezuitów i wielu ówczesnych biskupów potrafiłem zobaczyć jako kulturowo uwarunkowane spojrzenie ludzi, którym nie było dane poznać i przetrwać soborowych i zakonnych dokumentów całkowicie zmieniających, a nawet rewolucjonizujących tradycyjną doktrynę katolicką. Dialog ekumeniczny i międzyreligijne zbliżenie stały się moim codziennym doświadczeniem, podobnie jak otwarcie na nowoczesną i ponowoczesną współczesność. Dzięki poznanym teologom, biskupom z obu Ameryk i Europy Zachodniej wiedziałem, że wcześniej czy później stanie się taki również katolicyzm polski. Zresztą i w Polsce w tamtych latach były wzory godne naśladowania, takie jak bezkompromisowo walczący z przejawami antysemityzmu jezuita Stani-

śław Musiał czy ks. prof. Michał Czajkowski. Wydawało się tylko kwestią czasu, że to ich uczniowie przejmą rząd dusz w tym kraju.

TISCHNER I RYDZYK

Gdy w 1985 r. podjąłem pracę jako duszpasterz akademicki w Krakowie, wiedziałem, że tak jak ja myślą i pracują moi koledzy w innych wspólnotach. Lista jezuitów, dominikanów, redemptorystów, benedyktynów i księży diecezjalnych zaangażowanych we wprowadzanie nauczania Soboru Watykańskiego II jest długa. Również działające w czasach PRL środowiska katolicyzmu otwartego „Tygodnika

lat 90. pojawił się dziwny zakonnik, redemptorysta Tadeusz Rydzyk, który najpierw w 1991 r. w Toruniu założył Radio Maryja, a później w 1998 r. gazetę „Nasz Dziennik”, ale było to zjawisko marginalne, by nie rzec egzotyczne. Zresztą podejmowane wówczas wielokrotnie próby dyscyplinowania Rydzyka zdawały się potwierdzać wrażenie niedopasowania tego zjawiska do przemian, jakim podlegał polski katolicyzm.

Niezależnie od powszechnie znanego wpływu, jaki dzisiaj wywiera imperium medialne o. Rydzyka na polską rzeczywistość religijną i polityczną, nigdy nie zmieniłem zdania na temat jego działań i jestem

Tekst bp. Jerzego Samca „Oczekuję odpowiedzialności” powinien być lekturą obowiązkową stanowiących prawo w Polsce.

Powszechnego”, „Znaku” i „Więzi” nie przestały odgrywać swojej ważnej roli przyswajania literatury i myśli posoborowej w Polsce. Właśnie wokół tych środowisk działali tacy księża jak Józef Tischner, Wacław Hryniewicz, Józef Życiński, Michał Heller czy Tomasz Węclawski. Było rzeczą oczywistą, że to oni wyznaczają trajektorie rozwoju polskiego katolicyzmu.

Regularne pobyty za granicą potwierdzały świadomość wielkiej wspólnoty ludzi zaangażowanych w „normalnienie” świata będącego częścią sowieckiego imperium. Przełom 1989 r. był oczywiście konsekwencją zbiorowej woli. Suweren chciał zmian i one się dokonały. Wtedy nie zastanawialiśmy się, czy Kościół je umożliwił, czy po prostu razem z całym społeczeństwem ich dokonał. Tak samo było z kolejnymi etapami integracji ze strukturami UE. Było czymś oczywistym, że Jan Paweł II aktywnie uczestniczył w tych zmianach. I że dla niego, tak jak dla nas, było to przywrócenie oczywistej przynależności Polski do cywilizacji zachodniej. Owszem, na początku

przekonany, że prędzej czy później (oby prędzej) przejdzie on do historii jako barwna i wysoce szkodliwa forma upolitycznionego katolicyzmu. A moje przeświadczenie opieram na trwającej już prawie 30 lat obserwacji i uważnej lekturze tekstów wydawanych przez to środowisko. Z przykrością muszę stwierdzić, że dwa katolickie ośrodki akademickie wytrwale wspierają tę archaiczną formę religijności, przydając jej aury pseudonaukowości.

ROZSTANIE Z JEZUITAMI

W każdym razie nawet rozstanie w 2005 r. z jezuitami nie zmieniło mojego optymistycznego spojrzenia na polski katolicyzm i na możliwości jego modernizacji. Owszem, nie szczędziłem krytyki pod adresem Kościoła, piętnując zwłaszcza różnorakie przejawy arogancji, szowinizmu i antysemityzmu, a nawet włączając w to krytykę wybujałych form kultu, jakim już za życia cieszył się Jan Paweł II. Jednak nigdy nie straciłem kontaktu z licznymi jezuitami i księżmi, z któ-



O. Tadeusz Rydzyk może liczyć na przychylność premier Beaty Szydło i jej rządu.

rych wielu podzielało moją krytykę, wręcz zachęcało mnie do niej.

Mój optymizm został chwilowo zachwiany, gdy Prawo i Sprawiedliwość po raz pierwszy doszło do władzy w wyborach parlamentarnych we wrześniu 2005 r. Właśnie sformułowałem tezę, że jest to połączenie fundamentalistycznego katolicyzmu Tadeusza Rydzyka z autorytarnym pojmowaniem polityki przez Jarosława Kaczyńskiego. Już wtedy jednak wiedziałem, że ani Rydzyk nie wyczerpuje form obecności katolicyzmu w przestrzeni publicznej, ani Kaczyński nie reprezentuje jedynego możliwego sposobu uprawiania polityki. W istocie ten dziwny mariaż nie trwał długo. Pod koniec 2007 r. został sformowany nowy rząd, a PiS przeszło do opozycji, Rydzyk zaś na nowo podjął krucjatę w obronie swojego prześladowanego imperium. I jedna, i druga forma wydawała się jednak

Żałuję, że twarzą polskiego Kościoła jest nie ks. prof. Andrzej Bronk, tylko o. Rydzyk.

bez większego znaczenia dla postępującej modernizacji naszego kraju.

Dopiero gdy PiS doszło do władzy po raz drugi w październiku 2015 r. i gdy zaczęło rządzić samodzielnie przy entuzjastycznym poparciu Tadeusza Rydzyka, połączenie fundamentalizmu religijnego i autorytarnej władzy politycznej odśloniło swoje groźne oblicze. Są to sprawy dobrze znane i nie muszę się nad nimi rozwodzić. A jednak ze względu na dramatyzm chwili muszę z całą mocą podkreślić, że tezy o upolitycznionym charakterze Kościoła katolickiego w Polsce nie da się odpowiedzialnie utrzymać. Chyba że tę instytucję utożsamia się z imperium

medialnym toruńskiego redemptorysty, co oczywiście byłoby nadużyciem.

Moją tezę opieram na doświadczeniu ze spotkań i rozmów z księżmi i hierarchami katolickimi, w których uczestniczyłem jako były jezuita, a więc osoba niejako z urzędu skazana w Kościele katolickim na społeczny niebyt. A jednak od 2005 r. nie doświadczyłem otwartej wrogości (pomijam podejmowane przez niektórych biskupów próby – na szczęście mało skuteczne – utrudnienia mi znalezienia pracy) ze strony żadnego księdza. Nawet proboszcz z rodzinnego miasteczka powiedział mojej mamie: „Obirkowa, nie ma się co przejmować, takie rzeczy jak odejście z kapłaństwa się zdarzają”. Wiem, że są również inne sytuacje, ale piszę o moim doświadczeniu, nie o innych. Wymienię przykłady, których lista wcale nie jest kompletna – jest raczej przypadkowa. Zacznę ▶

► od spotkania z o. Ludwikiem Wiśniewskim w bibliotece w Warszawie w czerwcu 2015 r. wokół jego książeczki „Blask wolności”. Mogę powiedzieć, że się zaprzyjaźniłem z o. Ludwikiem, a jego list otwarty skierowany w marcu 2017 r. do polskich biskupów „Sprawy wymagające szczególnej duszpasterskiej troski” mógłbym z czystym sumieniem podpisać w całości. Co z tego, że jest dostępny w internecie, skoro i tak wszyscy myślą, że nie dominikanin, tylko redemptorysta jest twarzą Kościoła katolickiego.

DWA SPOTKANIA

Chcę też wspomnieć o dwóch spotkaniach na moim Uniwersytecie Warszawskim, w których wzięli udział duchowni katolicy. W maju podczas dwudniowej konferencji „Ateizm po polsku” (26-27 maja 2017 r.) rozmawialiśmy o tytułowym ateizmie. Dla mnie najważniejsza była rozmowa prof. Szymona Wróbla z ks. prof. Andrzejem Bronkiem z KUL. I znowu muszę wyrazić żal, że to nie Andrzej

Bronk jest twarzą polskiego Kościoła katolickiego, ale o. dr Tadeusz Rydzyk. Ten pierwszy próbuje rozumieć swój Kościół, ten drugi wykorzystuje reprezentowaną przez siebie instytucję do promocji najprymitywniejszej religijności, jaką można sobie wyobrazić. I właśnie taka prymitywna religijność jest jednym ze źródeł antyklerykalnego ateizmu.

Drugie spotkanie odbyło się 8 czerwca 2017 r., była to konferen-

z encykliki Jana Pawła II *Redemptoris missio*, w której polski papież mówił o uchodźcach. Z kolei przedstawiciel Episkopatu bp Krzysztof Zadarko przedstawił nauczanie Kościoła katolickiego, a zwłaszcza papieża Franciszka, w sprawie uchodźców i przypomniał działania innych episkopatów europejskich, które wspólnie ze swoimi rządami pomagają uchodźcom. Kard. Nycz, nawiązując do wystąpienia bp. Zadarki, powiedział, że Kościół

Paweł Lisicki i Tomasz Terlikowski otwarcie występują przeciwko Soborowi Watykańskiemu II i papieżowi Franciszkowi.

cja „Uchodźcy – pytanie o fundamenty Europy”. Konferencję otworzył dominikanin o. Maciej Zięba, przewodniczący Fundacji Służby Rzeczypospolitej, który przedstawił zadania i cele fundacji i zwrócił uwagę na konieczność przywrócenia prawdziwego języka, jakim należy mówić o uchodźcach, i potrzebę odpolitycznienia tego języka w Polsce. Przypomniał też odnośny fragment

w Polsce zrobi wszystko, by włączyć się w pomoc uchodźcom; stwierdził, że nie można czekać w nieskończoność na decyzje rządu, i zapowiedział wspólne działania samorządu Warszawy, które powinny doprowadzić do konkretnych działań mających pomóc najbardziej potrzebującym – wzorem innych krajów europejskich.

I jeszcze kilka przykładów „medialnych”. Oto duchowni katolicy jako-



fink

16.09.2017
Gdańsk, B90

17.09.2017
Warszawa, Klub Stodoła

18.09.2017
Kraków, Klub Kwadrat

21.09.2017
Poznań, CK Zamek

STODOLA | LIVE NATION

BILETY: STODOLA.PL | LIVENATION.PL

by stroniący od „Gazety Wyborczej” właśnie na jej łamach wypowiadają się w sposób nader krytyczny o poczynaniach rządu PiS. W marcu 2017 r. były prowincjał jezuitów o. Stanisław Opiela, gdy Lech Wałęsa był bezpardonowo atakowany zarówno przez publicystów, jak i przez polityków rządzącej partii, przypominał, że „Kościół podobnie jak Wałęsa chciał kompromisu”, i skrytykował abp. Sławoja Leszka Głódzia za popieranie PiS. W tym samym miesiącu ks. Stanisław Walczak udzielił obszernego wywiadu dziennikarzowi tej samej gazety, który przywołał jego zdanie z Facebooka: „Bo nie da się siedzieć cicho, kiedy Kaczyński z Rydzykiem pluja na ludzi inaczej myślących. A Kościół udaje, że to tylko deszcz”. Cały wywiad z ks. Walczakiem jest jednym wielkim oskarżeniem o nadużywanie religii w celach politycznych. Pod koniec marca również w „GW” pojawiła się rozmowa z dominikaninem Pawłem Gużyńskim, zatytułowana wymownie: „Sejmowa uchwała o rocznicy objawień fatimskich to dewocyjny idiotyzm”. Mógłbym cytować jeszcze długo, ale może wystarczy tych przykładów do uzasadnienia tezy o upolitycznieniu polskiego katolicyzmu.

WETA DUDY

Chcę jeszcze nawiązać do sprawy, która sprowokowała niniejsze refleksje. Chodzi oczywiście o szeroko komentowany gest prezydenta Andrzeja Dudy zawetowania dwóch z trzech ustaw dotyczących sądów. Stało się to 24 lipca i od tamtego czasu nie milkną komentarze publicystów i polityków. Stałym motywem tych spekulacji jest możliwa rola Kościoła. Od zaskakującego weta prezydenta Andrzeja Dudy minął już miesiąc i zarówno politycy, jak i media proponowali całe spektrum interpretacji, mówiących wiele o tych, którzy je zaproponowali, natomiast mniej o samej istocie zawetowanych ustaw. Szczególnie zaskoczyły mnie wykładnie tak wytrawnych komentatorów sceny politycznej jak Magdalena Środa i Radosław Markowski, wedle których mamy do czynienia z czystą i ukartowaną zagrywką wewnątrz PiS. Nie wydaje mi się to słuszne.

Znacznie ciekawszy wydał mi się artykuł Ignacego Dudkiewicza na łamach „Tygodnika Powszechnego”



Nawet rozstanie w 2005 r. z jezuitami nie zmieniło mojego optymistycznego spojrzenia na polski katolicyzm.

zatytułowany „Cisza przed wetem”, w którym autor przekonująco wskazuje na możliwy wpływ abp. Stanisława Gądeckiego. Potwierdzeniem byłby list z podziękowaniem za weto skierowany przez tego ostatniego do prezydenta. W podobnym duchu wypowiedział się na łamach „Do Rzeczy” Tomasz Terlikowski, tytułując felieton „Kościół ponad plemionami”. Również na łamach PRZEGŁĄDU Robert Walenciak próbował dociec, „Kogo posłuchał Duda?”. Publicysta nie wykluczył udziału biskupów. No więc może rzeczywiście Kościół katolicki nie jest bez reszty oddany rządzącej partii? Wydaje mi się również ważny głos biskupa Kościoła ewangelicko-augsburskiego Jerzego Samca, który na blogu postawił 17 lipca 2017 r. proste, ale jakże ważne pytania dotyczące sposobu sprawowania władzy przez obecny rząd. Jego tekst „Oczekuję odpowiedzialności” powinien być obowiązkową lekturą dla stanowiących prawo w tym kraju.

Na koniec chcę napisać kilka słów o moim stosunku do Kościoła i do religii, gdyż byłoby mi niezręcznie,

gdyby powstało wrażenie, że z bezkompromisowego krytyka tej instytucji stałem się nagle jej apologetą. Nic bardziej mylącego. Przywołałem te nieliczne przykłady zachowań i wypowiedzi księży i biskupów, które pozostają w jaskrawej sprzeczności z tym, co głosi i co robi nie tylko rząd, ale i opanowane przez niego „media narodowe”. Szczególną odrazę czuję wobec tych księży i publicystów, którzy wypowiadają się w imieniu Kościoła, choć mają pełną świadomość, że ich opinie i sposób wartościowania ludzi i wydarzeń pozostają w sprzeczności z obowiązującym nauczaniem tej instytucji. Widać to doskonale na przykładzie zderzenia czołowego z nauczaniem papieża Franciszka w dosłownie wszystkich kwestiach. Dziwi mnie, że dotąd żaden urząd kościelny nie zainteresował się zawartością książek takich luminarzy prawicowego dziennikarstwa jak Paweł Lisicki, który otwarcie kwestionuje nauczanie nie tylko papieża Franciszka, ale i Soboru Watykańskiego II. To samo dotyczy publicystyki Tomasza Terlikowskiego, który jest samozwańczym krytykiem papieża Franciszka i jego najbliższych współpracowników. Podobnie zdumiewają opinie wygłaszane przez niektórych teologów, takich jak Dariusz Oko, Franciszek Longchamps de Brier z Krakowa, Paweł Bortkiewicz z Poznania czy Tadeusz Guz i Waldemar Rakocy z Lublina. Wywody duchownych są o tyle zdumiewające, że w biogramach podają oni imponujące osiągnięcia naukowe, które potrafią godzić z najprymitywniejszymi, a niekiedy ocierającymi się o wulgarność ocenami inaczej myślących i wierzących. Być może stanowią oni przypadki odosobnione w Kościele katolickim, jednak wywierany przez nich wpływ i niewątpliwy autorytet naukowy, jakim się cieszą w swoich środowiskach, wskazuje na głębokie schorzenie tej instytucji. Jednak tej choroby nie utożsamiałbym z upolitycznieniem.

W tym sensie pozostają optymistą i wierzę, że Kościół, z którym się związałem w połowie lat 70., całkowicie nie obumarł i być może jeszcze kiedyś uda mi się nawiązać z nim kontakt. Choć już na zupełnie innych zasadach, niż było to wtedy.

Autor jest profesorem nauk historycznych, teologiem i antropologiem kultury, pracuje w Ośrodku Studiów Amerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego

Helena Leman

– Żyjemy w ciągłym lęku, że jak wrócimy z pracy, zastaniemy dom z dziurą w dachu – mówi Sławomir Durzyński, mieszkaniec „Pekinu”, gdyńskiego osiedla przy ul. Orlicz-Dreszera, między Grabówkiem a Leszczynkami. – To nie są żarty. Gdy jeden z sąsiadów wyjechał do pracy w Niemczech, jego dom zdemolowano. Kolejnego sąsiada pozbawiono dachu nad głową, gdy był w szpitalu.

PROWIZORKA

Wysiedlenie grozi ok. 300 mieszkańcom „Pekinu”. Osiedle powstało jeszcze przed wojną. Przyjeżdżającym do Gdyni ludziom pozwolono na budowę domów na okres tymczasowy. Budowali je za własne pieniądze, takie, na jakie było ich stać. Po wojnie grunty przeszły na rzecz miasta. Prawie do końca lat 90. mieszkańcy dzierżawę i podatek od nieruchomości wnosili do gdyńskiej kasy. Teraz czynsz dzierżawny płacą właścicielom i ich pełnomocnikom. Wielu już otrzymało wypowiedzenia dzierżawy gruntu, niektórzy nakazy eksmisji, trwa batalia w sądach. Ciągący się od ćwierć wieku konflikt zaostriżył się, gdy pojawiła się informacja, że umowę przedwstępną w sprawie ziemi, na której znajduje się osiedle, zawarto z firmą budowlaną Beijing z Sopotu. Według planów na Wzgórzu Dreszera ma powstać osiedle wieżowców z widokiem na Zatokę Gdańską.

– Jestem zawodowym wojskowym – kontynuuje Sławomir Durzyński. – Zarabiam za mało, żeby dostać kredyt na zakup mieszkania, a za dużo, żeby kwalifikować się na

Żyjemy w ciągłym lęku, że jak wrócimy z pracy, zastaniemy dom z dziurą w dachu.

lokal socjalny czy komunalny od miasta. Zresztą takich lokali nie ma. Nie dam się stąd wyrzucić, żyję tu od urodzenia, mam rodzinę, zainwestowałem w remonty budynku w 1934 r. Odkąd pamiętam, ten teren był w gestii miasta. W 1967 r. miejska komisja przeprowadziła oględziny domu. Moja ciocia w 1983 r. dostała na tym osiedlu domek z urzędu miasta.

Na Wzgórzu Dreszera w Gdyni ma powstać osiedle z widokiem na Zatokę Gdańską. Przeszkadzają tylko dotychczasowi mieszkańcy

– Dziadkowie sprowadzili się na Wzgórze Dreszera zaraz po wojnie, ja mieszkam tu od urodzenia – dodaje Marcin Dybikowski. – Pracuję w stoczni, jak mój ojciec i wujek. Obecnie na umowie śmieciowej w jednej ze stoczniowych spółek. Żaden bank nie da mi kredytu na zakup mieszkania. Miasto zachęca nas do wynajmu, obiecuje dopłaty do czynszów przez dwa lata, a co dalej?

Barbara Kamińska jest w szoku, po tym jak wiosną zburzono przylegającą do ściany jej domu połowę bliźniaka. Teraz na jej strychu hula wiatr, a podczas burz leje się woda. – Nie wiem, czy dach wytrzyma, czy zimą zdołam ogrzać dom. Jestem na rencie rodzinnej po zmarłym mężu – 1,7 tys. zł na rękę. Złożyłam wniosek o mieszkanie komunalne, nie dostałam jeszcze odpowiedzi. Chciałabym w tym domu dożyć swoich dni. Zbudował go mój dziadek w 1928 r., mieszkały w nim trzy pokolenia. Mam małą ogródek, przegarniętego pieska, koty. Tych zwierząt nie zabiorę do wynajętego mieszkania, zresztą na wynajem mnie nie stać. Dzierżawę i podatek od nieruchomości płacę regularnie.

– Mieszkam z żoną w domu po jej rodzicach – mówi Marek Jagła, też potomek przedwojennych mieszkańców dzielnicy. – Przodkowie żony, tak samo jak mój dziadek – kołodziej, przyjechali budować port w Gdyni. Zawsze uważaliśmy, że żyjemy na swoim, dbaliśmy o dom,

we własnym zakresie doprowadziliśmy media, jak wielu mieszkańców tutaj. Nie jesteśmy żadną patologią.

– Tu mieszkają normalni ludzie: stoczniowcy, portowcy, kolejarze, nawet dwóch policjantów – przyświadcza Sławomir Durzyński. – Większość reguluje zobowiązania, mogą też pokazać rachunki za wywóz śmieci czy nieczystości. Oczywiście zdarzają się

NI EWYGODNI



Tak według Arkadiusza Związka wygląda zabezpieczanie budynków.

tacy, co nie płacą, jak wszędzie. Lecz gębę dorabia się wszystkim. My dla tej dzielnicy zrobiliśmy więcej niż rzekomi właściciele gruntu. Płyty na ul. Orlicz-Dreszera, które dostaliśmy od miasta, kładliśmy sami. Nawet dziadkowie o lasce przyszli, kobiety upiekły ciasta, było jak w rodzinie. Ludzi trzyma tu sentyment i złe opinie tego nie zmieniają.

KSIEGA WIECZYSTA Z DOKLEJONĄ KARTKĄ

Walkę o Wzgórze Orlicz-Dreszera rozpoczęła nieżyjąca już Jadwiga Kaczyńska. W skargach z 1989 r. do Urzędu Rady Ministrów i Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku zwracała uwagę na katastrofalne warunki życia na tym osiedlu – brak sieci wodociągowej, kanalizacyjnej itp. Otrzymała obietnicę od prezydenta Gdyni, że została opracowana koncepcja nowego zagospodarowania osiedla, która przewiduje domy jednorodzinne i wielorodzinne 10-kondygnacyjne, do których będą przenoszeni sukcesywnie mieszkańcy Wzgórza Komuny Paryskiej, jak wówczas nazywało się Wzgórze Dreszera. W piśmie prezydenta z 19 kwietnia 1989 r. nie ma wzmianki o tym, że teren należy do prywatnych właścicieli. Zaznaczono jedynie, że „sytuacja prawna zamieszkujących na nim rodzin jest skomplikowana”.

Z „PEKINU”



Po roku 1990 miasto zaniechało realizacji obiecanych planów nowej zabudowy. „Władze Gdyni, żeby nie inwestować w tę dzielnicę, kazały dokumentację sprzed 1995 r. zniszczyć, a następnie bez wiedzy i zgody mieszkańców podzieliły grunty na działki, dając je na własność (razem z ludźmi i ich budynkami) rzekomo przedwojennym czterem właścicielom, którzy prawa do tej własności nie mieli z powodu przedwojennych i powojennych niespłaconych wysokich długów”, pisała Jadwiga Kaczyńska 1 sierpnia 2001 r. do Urzędu Miejskiego w Gdyni.

– Skrupulatność Niemców jest nadzwyczajna – podkreśla Marek Jagła. – W księdze wieczystej nr 299, w karcie 130, dokładnie wymieniono sumy długów i przedwojennych wierzycieli. Zaznaczono, że grunty z powodu tych obciążeń od 1942 r. przechodzą na własność miasta, bez prawa powrotu do pierwszych właścicieli.

Pięć lat później założone przez Kaczyńską Stowarzyszenie Mieszkańców Wzgórza Dreszera wniosło ostrzeżenie do V Wydziału Ksiąg Wieczystych w Sądzie Rejonowym w Gdyni. Była w nim mowa o podejrzeniu fałszowania wpisów do księgi wieczystej przez spadkobierców. 12 stycznia 2007 r. stowarzyszenie zawiadomiło Prokuraturę Rejonową w Gdyni o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez

właścicieli w sprawie nielegalnego wejścia w posiadanie gruntów położonych w rejonie Wzgórza Dreszera. Już 19 czerwca 2007 r. śledztwo zostało umorzone. Prokuratura nie znalazła żadnych dowodów na to, że spadkobiercy działali z zamiarem oszukania. A gdyby nawet, to po upływie 10 lat takie przestępstwo się przedawniło.

W maju tego roku wątpliwości co do tytułu prawnego nieruchomości zgłosił jeden z mieszkańców. Miejscy urzędnicy wyjaśnili, że „wpisy z lat 1940-43 zostały dokonane przez okupanta, a na mocy dekretu z 1945 roku wszelkie wpisy hipoteczne i rejestrowe na rzecz państwa niemieckiego ulegają wykreśleniu”.

– Rozumiem historyczną sprawiedliwość – mówi Marek Jagła – lecz czy księga wieczysta z wyrwanymi stronami i doklejoną taśmą kartką nie powinna budzić pytań? Moim zdaniem każda ingerencja w księgę unieważnia ją.

ZABEZPIECZENIA I POŻARY

O tym, co się dzieje na Wzgórzu Dreszera, decyduje pełnomocnik właścicieli Arkadiusz Związek. Prowadzi firmę zajmującą się doradztwem prawnym i windykacyjnym. Mieszkańcy osiedla oskarżają go o pożary i celowe niszczenie domów. – Wyburzając taki pustostan jak bliźniak, często narusza się zamieszkaną część domu. Potem przychodzi inspektor budowlany i stwierdza, że obiekt nie nadaje się do użytku. Ludzie muszą się wynosić, a pan Związek nie naraża się na żadne konsekwencje prawne – tłumaczy Sławomir Durzyński.

– 28 stycznia tego roku, w sobotę, o godz. 9 rano – mówi pan Andrzej – zaczęto niszczyć pustostan graniczący z moim budynkiem. W domu była 80-letnia babcia, dzieci w wieku 8 i 11 lat i moja chora na raka żona. Jak huknęło, to myśleliśmy, że wszystko się zawali, uszkodzono wspólny dach. Miesiąc później nadzór budowlany stwierdził, że domowi grozi zawalenie. Wyprowadziliśmy się dopiero w lipcu, bo nie mieliśmy dokąd. Wynajmujemy, ale jest bardzo ciężko. Miałem już czarne myśli, tylko troska o dzieci mnie powstrzymuje.

W zeszłym roku strażacy gasili na Wzgórzu Dreszera osiem pożarów, w tym roku do kwietnia wybuchło ich już pięć. Największy 13 kwietnia

– palił się 150-metrowy pustostan. – Po pożarze, gdy zawiadomiono prokuraturę, pojawiły się ogłoszenia, że osoba, która wskaże sprawcę podpalenia, otrzyma 5 tys. zł nagrody – opowiada Marek Jagła. – Pod ogłoszeniem widniało nazwisko pełnomocnika z dopiskiem, że warunkiem wypłaty jest skazanie sprawcy prawomocnym wyrokiem sądu.

Jednak ludzie nie wierzą w szczerość intencji pełnomocnika. Świadczą o tym napisy na murach osiedla: „Związek Piroman”, „Związek, oszuście, oddaj pieniądze”.

– Nie wyburzamy budynków, tylko zabezpieczamy opuszczone pustostany przed nowymi lokatorami. Bzdurą są także oskarżenia o celowe podpalenia – wyjaśniał w mediach pełnomocnik.

Reprezentująca Związka Anna Stępień twierdzi, że jej klient i właściciele gruntów są regularnie pomawiani także na stronie internetowej „Pekin Stop Oszustom”. I że strona ta zawiera same nieprawdziwe informacje. Jeden z właścicieli podkreśla, że wszystkie działania podejmowane wobec mieszkańców są zgodne z prawem, a ich legalność potwierdzają wyroki sądów, poza tym ludzie byli informowani o konieczności opuszczenia tego terenu.

ZAROBIĆ NA BAŁAGANIE

Beata Jędrzejewska z rodziną przyjechała do Gdyni z Czerska. Najpierw mieszkali w wynajętych mieszkaniach, potem znaleźli dom na stronie internetowej OLX. – Dom wystawiał na sprzedaż Dariusz W. – opowiada pani Beata. – Nie mieliśmy pojęcia, co to za dzielnica. W maju 2016 r. w urzędzie miasta zameldowano nas na Wzgórzu Dreszera na pobyt stały, a pan Związek, pobierając od nas dzierżawę za grunt, zapewniał, że możemy tu żyć aż do starości. W styczniu 2017 r. dowiedzieliśmy się od sąsiadów, że mamy zostać wysiedleni. Gdy zapytaliśmy o to pana Związka, odpowiedział, że w ciągu roku może nas wyburzyć i podjąć różne inne środki, „takie tam” – jak to określił. Złożyliśmy zawiadomienie przeciw W. i Związkowi do prokuratury. W dom zainwestowaliśmy 40 tys. zł. Nawet idąc po zakupy, nie mamy pewności, czy będziemy mieli dokąd wrócić. ▶

► Gdy 17 sierpnia rozmawiam z panią Beatą, trwa właśnie „zabezpieczanie” kolejnego budynku na osiedlu.

Elwira Majewska sprzedała trzy-pokojowe mieszkanie w Suwałkach i z synem przeprowadziła się w 2014 r. do Gdyni, ponieważ prowadziła firmę zajmującą się montażem stolarki okiennej na trójmiejskich osiedlach. Ofertę lokum znalazła na portalu Otodom. – Budynek sprzedawał Zbigniew K. – mówi. – 40 m kw. z pełną własnością za 100 tys. zł. Umowę wyglądającą jak akt notarialny zawarliśmy w Redzie, u notariusza wskazanego przez sprzedającego. I to był mój błąd. Wkrótce okazało się, że dom wymaga generalnego remontu i są w nim lokatorzy, z którymi mieszkam do dziś. W międzyczasie fabryka, z którą współpracowałam jako podwykonawca, zbankrutowała i nie wypłaciła mi zaległych pieniędzy. 11 maja dostałam od pana Związka wypowiedzenie umowy dzierżawy gruntu. Wyburzono już przylegającą do mojego domu połowę bliźniaka, na ścianie pojawił się grzyb. Liczę się z eksmisją, chyba pod estakadę.

Zbigniew K. domaga się od pani Elwiry wpłacenia reszty pieniędzy za dom (40 tys. zł). Sprawa toczy się w sądzie cywilnym w Gdyni. Kobieta zawiadomiła prokuraturę o oszustwie.

Rewitalizacja tak naprawdę polega na wyrzuceniu nas z naszych domów do wynajętych mieszkań.

Ludzie twierdzą, że wprowadzonych w błąd zostało ok. 10 rodzin, np. młode małżeństwo, które wzięło kredyt bankowy na 70 tys. zł. Ktoś opowiada o mężczyźnie, który trafił do pustostanu w „Pekinie”, gdy wyłudzone od niego dwa mieszkania. Ostatecznie wyrzucono go do noclegowni, a w pustostanie umieszczono Ukraińców. W dzielnicy jeszcze niedawno pojawiały się ogłoszenia: „Kupię każdy domek przy Dreszera”.

– Cały ten zamęt jest po to, żeby nas zdeintegrować i złamać, i jeszcze na tym bałaganie zarobić – podsumowuje Durzyński.

REWITALIZACJA

U podnóża Wzgórza Dreszera stoi szary kontener z niebieskim nadrukiem „Gdynia Odnowa”. Dy-



Pełnomocnik właścicieli Arkadiusz Związek decyduje o tym, co się dzieje na Wzgórzu Dreszera. Prowadzi firmę doradztwa prawnego i windykcacji.

żurują w nim miejscy pracownicy, którzy mają wcielać w życie przyjęty w kwietniu 2017 r. przez radę miasta program osłonowy przygotowany w ramach Gminnego Obszaru Rewitalizacji Miasta Gdyni. Program ma trwać do 25 kwietnia 2018 r.

– Do 21 sierpnia 2017 r. z programu osłonowego skorzystały 24 rodziny, 48 osób – informuje wiceprezydent Gdyni Michał Guć. – Kryteria dochodowe ustalone przez program są dwuipółkrotnie wyższe niż te prze-

– mówi Marek Jagła. – Czekamy na nią od kilkudziesięciu lat. Tymczasem słyszymy, że teren jest prywatny i rewitalizacji rzeczowej przeprowadzić się nie da. Można tylko wdrożyć socjalną, która tak naprawdę polega na wyrzuceniu nas z naszych domów do wynajętych mieszkań.

Postępowania prokuratorskie dotyczące stosowanych na osiedlu praktyk połączono. Prokurator Mariusz Duszynski z prokuratury okręgowej informuje, że dochodzenie prowadzone jest w sprawie, a nie przeciwko komuś.

– Nie wierzymy, że prokuratura cokolwiek wyjaśni. Ale jest faktem, że odkąd zajmuje się sprawą, nie było pożaru – przyznaje Marek Jagła. – „Pekin” pustoszeje, zostali najzagorzalsi i tacy, których nie stać na wynajem nawet przy wsparciu miasta. Kilka osób, w tym ja, ubiega się o zasiedlenie. Samo złożenie wniosku w sądzie kosztuje 2,4 tys. zł, geodeta – ok. 2 tys. zł, prawnik – 5 tys. zł i jeszcze można sprawę przegrać.

21 sierpnia na osiedlu pojawiły się ulotki informujące, że wszystkie budowle na tym terenie zostały postawione na mocy decyzji wydawanych w latach 30. XX w. o tzw. przewizorium budowlanym, czyli zgodzie na postawienie obiektu na krótki okres (od trzech do pięciu lat) z bezwarunkowym obowiązkiem rozbiórki po upływie tego czasu. – Czy można człowieka jak śmiecia wyrzucić z domu, w którym mieszkał 70 lat? – pyta Barbara Kamińska.

Helena Leman

Inne możliwe



Roman Kurkiewicz

CISZA PRZED BITWAMI

Impet lipcowych protestów wygaś i ucichł, ale młyny władzy – nawet jeśli ich nie słychać – miały swoje pomysły, planują, rozpisują scenariusze niedokończonych bitew i harmonogram kolejnych frontów. A kilka już zostało otwartych (sądy), inne zapowiedziano (media prywatne), kolejne można domyśleć (ograniczenie możliwości działania organizacji pozarządowych). Złowroga cisza po paradnym przelocie F-16 zapadła nad armią i jej zagadkowo niepokojącym ministrem. Policja przećwiczyła warianty inwigilacyjne wobec polityków i aktywistek/ów. Za tym wszystkim muszą przyjść kolejne kroki, ale trzeba czekać na sądy swoje, własne, udzielne i pokorne. Czy zdadzą się na cokolwiek apele o nieprzyjmowanie posad przez sędziów od ich niekonstytucyjnego „paraprzełożonego” Ziobry, można się obawiać.

Mamy nieustanny poligon przemocowy w Puszczy Białowieskiej, gdzie opór trwa bez przerwy od 100 dni, od ponad trzech miesięcy. Przez protesty i obóz protestujących przewinęło się kilkadziesiąt osób, ale na co dzień działa garstka. Poszerzono repertuar (znany już wcześniej) prowokacji, tym razem w roli życia wystąpił ks. Duszkiewicz, kapelan Dyrekcji Lasów Państwowych, który usiłował sprowokować jakąkolwiek reakcję na swoje zachowanie – przykładanie telefonu

komórkowego z kamerą do twarzy protestującym. Kiedy to się nie udało, sfingował obrażenia (do żadnego kontaktu fizycznego z nim nie doszło, dokumentują to filmy, zeznania bezpośrednich świadków) i z gipsem na zdrowej ręce złożył fałszywe zeznania. Wcześniej policja zatrzymała jedną osobę, którą nagabywał i napastował ksiądz (z rzekomo obolałą ręką odjechał z fasonem wartą ponad 200 tys. toyotą land cruiser).

W międzyczasie naszą uwagę przyciągają jak flary wyrzucane z samolotu zaatakowanego rakietami różne wysoki i wypowiedzi z obozu władzy i jego medialnego wspomożenia. A to wiceminister Jaki chce przywrócenia tortur i kary śmierci, instrumentalizując dramat zgwałconej Polki i jej pobitego męża we Włoszech. A to fircykowaty historyk prawicy wrzuca nam odprawicowanego pracownika Hitlera w mediach bliskorządowych. A to postanka Lichocka nie zjadła na śniadanie francuskiego sera, tym samym w swoim rozumieniu wymierzając śmiertelny cios gospodarce Francji, która i tak, zdaniem ministra Waszczykowskiego, nie ma szans na dogonienie polskiej.

Sama natura mediów i ich nadprodukcji niby-informacji powoduje, że ten zalew nas usypia jak delikatny letni

deszcz, ale równocześnie utuleni szemrzącymi kroplami historyjek, afer, naruszeń nie słyszymy nadciągającej burzy, grzmotów i piorunów. A one nadchodzą.

Reagując na każde głupstwo wypowiedzi, tracimy czas i energię niezbędne do podjęcia budowy realnej alternatywy dla obecnej władzy i wykształcenia zrębów nowego ustroju. Tak, tak, bo starego już nie ma, a nie będzie bardziej, powrotu zaś do tego, co wcześniej, ani nie ma, ani go nie chcemy. Wykreślenie jak najbardziej konkretnych konturów nowego jest działaniem wielopłaszczyznowym, wymaga zaangażowania ogromnych rzesz ludzi. Nowej konstytucji (bo starą chce gierkami anihilować prezydent ze swoim obozem) nie wykrzyczymy na ulicach. Czas na gigantyczną pracę, w której na razie nie ma czasu na przerwy. Obóz protestujących w puszczy, jej obrońców, jest takim przykładem. I też oni są traktowani najbrutalniej przez funkcjonariuszy, którzy powinni się zajmować czymś zupełnie innym. Zaraz zapadną rozstrzygnięcia Trybunału Karnego w sprawie wycinki Białowieży. Minister Szyszko dokonuje amputacji wbrew

wszelkim obowiązującym Polskę regułom międzynarodowego współżycia, nie ogląda się na nic; jego chartem w tym polowaniu stał się właśnie jego kapelan – dość to znaczą-

Ks. Duszkiewicz, kapelan Dyrekcji Lasów Państwowych, sfingował obrażenia i z gipsem na zdrowej ręce złożył fałszywe zeznania.

ce. Równocześnie dobiegają śmiertelnie poważne sygnały międzynarodowe, z Francji i, co ważniejsze, z Niemiec, że Europa nie ma zamiaru dalej w kotka i myszkę z Polską Kaczyńskiego, Dudy, Szydło, PiS się bawić. Umowy wyrażane w słowach, tekstach działają w czasach pokoju i rozmów. Przystają znaczyć, kiedy ktoś wypowiada wojnę stanowi rzeczy, wojnę zamiast debaty.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że umknęło nam wypowiedzenie wojny, bo słyszę szcęk grózb i pohukiwania, a nie widać argumentów. Polska staje się w swojej formule osamotniona, niechciana i nieakceptowana. To wkrótce zacznie docierać do nas samych jeszcze wyraźniej. Czas na aktywność i kontrofensywę, a nie wyłącznie na obronę i barykadowanie się wokół zakłęb i dawnych wodzów. Problemy świata, które są także naszymi, nie poczekają, aż Patryk Jaki się zmęczy swoimi bon motami, Ziobro odpuści sędziom, a Kaczyński usiądzie do stołu z kimkolwiek, kto nie jest jego potakiewiczem. A całą tę pozorną sierpniową senność polityczną dobija jeszcze jałowość wspomnienia Rewolucji Sierpniowej w 1980 r.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



Premier António Costa w przeciwieństwie do poprzedników odwrócił politykę oszczędności zalecaną przez instytucje unijne.

DOBRA PASSA PORTUGALCZYKÓW

Tomasz Skowronek

Gospodarka powoli wychodzi z kryzysu

Portugalia po ostatniej dekadzie recesji w końcu wychodzi na prostą. Dawno już minęły czasy, kiedy uznawana była za „najbardziej chorego członka Unii Europejskiej” i należała do tzw. państw PIGS (obraźliwy akronim opisujący gospodarkę Portugalii, Włoch, Grecji i Hiszpanii podczas kryzysu finansowego; *pigs* to po angielsku świnie). Dziś w kręgach europejskich Portugalia jest często przywoływana jako przykład odrodzenia gospodarczego po kryzysie finansowym. Odkąd lewicowy polityk António Costa, z wykształcenia prawnik, syn pisarza Orlanda da Costa, pochodzącego z indyjskiej wyspy Goa, objął urząd premiera 21 miesięcy temu, wydaje się, że kraj fado i wi-na przeżywa złoty okres. Portugalia wraca na ścieżkę stabilnego wzrostu gospodarczego.

KONIEC CIĘĆ

Deficyt budżetowy jest najniższy od przywrócenia demokracji w 1974 r. (obecnie 2,1% PKB,

w 2015 r. wynosił 4,4%). Po raz pierwszy od czasu kryzysu zadłużenia w strefie euro bezrobocie stopniowo spada (obecnie 9%, w 2015 r. ok. 13%). Poprawiły się też bilans handlowy i koniunktura, wracają inwestycje. António Costa w przeciwieństwie do poprzedników odwrócił politykę oszczędności zalecaną przez instytucje unijne. Rząd socjalistów wycofał się z cięć oszczędnościowych, w tym emerytalnych. Pensja minimalna wzrosła o 25 euro, czyli do 530 miesięcznie, dodatkowo rząd chce ją podnosić każdego roku, by w 2019 r. wynosiła 600 euro. Przywrócono państwowe emerytury, także płace i godziny pracy wróciły do stanu sprzed polityki cięć, realizowanej przez poprzedni prawicowy rząd.

António Costa został premierem w listopadzie 2015 r., po tym jak centroprawicowa Partia Socjaldemokratyczna zwyciężyła w wyborach, lecz nie zdołała utworzyć koalicji i utrzymać władzy. W tym wypadku prezydent powierzył sformowanie rządu

liderowi z Partii Socjalistycznej (PS), Coście. Ten zawiązał koalicję z trzema innymi partiami lewicowymi: komunistami (PCP), Zielonymi (PEV) i radykalną lewicą (Bloco de Esquerda – Blokiem Lewicy).

Wielu komentatorów politycznych nie wróżyło trwałości rządowi socjalistów z powodu jego uzależnienia od poparcia radykalnych ugrupowań lewicowych. Sądzone, że koalicja będzie rozchwiana, kłótliva i niestabilna. Oponenci sądzili, że koalicjanci się wycofają, gdyż Costa będzie kontynuować politykę poprzedników, czyli strategię zaciskania pasa i trzymania się ograniczeń budżetowych wymaganych przez tzw. europejską Trojkę i międzynarodowe rynki finansowe. Portugalskie media oraz opozycja pakt socjalistów z komunistami i radykalną lewicą nazwali *geringonça*. To określenie trudno dosłownie przetłumaczyć na polski, a oznacza maszynę lub urządzenie, które wydaje się dziwne lub niepotrzebne, bardzo skomplikowane, często źle wykonane lub nawet niebezpieczne. Jednakże po

prawie 21 miesiącach Costa zadziwił krytyków. Lider socjalistów potrafił pogodzić równowagę i rygor finansowy ze sprawiedliwością społeczną.

LEWICOWY EKSPERYMENT

Lewicowa polityka Costy znalazła również uznanie w niektórych zachodnich mediach. Portal Politico już przed rokiem nazwał Portugalie „oazą stabilności w niestabilnej Europie”, opisując rządy lewicowej koalicji. Centrolewicowy brytyjski „The Guardian” pisze, że „europejska lewica powinna wykorzystać portugalskie doświadczenia do zmiany kształtu Unii Europejskiej i doprowadzić do powstrzymania polityki zaciskania pasa w całej strefie euro”. Polepszające się wskaźniki ekonomiczne Lizbony docenił nawet „The Economist”, który raczej nie jest przychylny lewicowemu eksperymentom. Warto zaznaczyć, że jeszcze parę lat temu właśnie ten tygodnik ochrzcił Portugalie mianem „najbardziej chorego członka Unii Europejskiej”, a kraj zaliczany był do niechlubnego klubu PIGS.

Na lewicowy eksperyment portugalski spoglądają także europejskie partie socjaldemokratyczne. W ostatnim czasie wielu prolewicowych polityków odwiedziło Lizbonę, aby na własne oczy zobaczyć, na czym polega skuteczna polityka Costy.

W połowie lutego Benoît Hamon, jako kandydat Partii Socjalistycznej w wyborach prezydenckich we Francji, odwiedził Portugalie, aby przyrzec się lewicowej koalicji. „To, co dzieje

to niejedynie dobre informacje z tego iberyjskiego państwa. Ostatnio Portugalczycy mieli również inne powody do radości. W 2016 r. reprezentacja Portugalii w piłce nożnej zdobyła mistrzostwo Europy, a były premier António Guterres został sekretarzem generalnym ONZ. Portugalia zwyciężyła także w konkursie Eurowizji. Do tego przeżywa bum turystyczny. Lizbona, Porto czy nadbrzeżny region Algarve od paru lat doświadczają prawdziwego obłędu. To wszystko wpływa na lepsze nastroje samych Portugalczków. Nie obyło się jednak bez problemów.

NIE JEST TAK DOBRZE, ŻEBY NIE BYŁO ŹŁE

W czerwcu Portugalie nawiedziły gigantyczne pożary lasów. Z ogniem walczyło kilkuset strażaków, a w akcji wzięło udział 160 pojazdów gaśniczych. Ze względu na chmury dymu nie można było użyć śmigłowców ani samolotów gaśniczych. W pożarze zginęły 64 osoby, a 179 zostało rannych.

Dwa tygodnie po pożarach radary światowej prasy znowu zwróciły się ku Portugalii, gdy złodzieje włamali się do wojskowej bazy lotniczej w Tancos i wynieśli z magazynu znaczne ilości broni oraz amunicji. Po kradzieży okazało się, że magazyn nie miał żadnego zabezpieczenia elektronicznego – brakowało m.in. kamer, a włamywacze po prostu wycięli dziurę w siatce i tak dostali się na teren bazy. Krążyły plotki,

swoich koalicjantów. Wraz z pojawieniem się pozytywnych danych rząd znalazł się pod presją związków zawodowych i lewicy, które chcą szybszego wycofywania programów oszczędnościowych wprowadzonych jeszcze za rządów centroprawicy. Jak informuje portugalski dziennik „Público”, komuniści mają naciskać na rząd, by zwiększył pensje urzędników służby cywilnej oraz emerytury.

Kolejnym źródłem napięcia między socjalistami a komunistami jest sytuacja w Wenezueli. Portugalczycy komuniści potępiają protesty przeciwko prezydentowi Wenezueli Nicolasowi Madurovi, określając je jako „destabilizujące i terrorystyczne”. PCP skrytykowała rząd Costy, że ten wraz z innymi państwami UE nie uznał wyborów do konstytuancy i dezaprobuje autorytarne zapędy Madura. Opozycja liczy, że różnice zdań w koalicji i pogorszenie wizerunku socjalistów za sprawą ostatnich pożarów czy włamania do bazy wojskowej doprowadzą do upadku lewicowego aliansu.

Tymczasem mimo pewnych spięć ani PCP, ani Blok Lewicy nie są zainteresowane rozbiciem rządzącej koalicji *geringonça*. Ryzyko jej zakończenia jest niewielkie. Według różnych sondaży Partia Socjalistyczna może liczyć na ok. 40% poparcia, osiągając bezwzględną większość. A wtedy komuniści i Blok Lewicy straciliby realny wpływ na prowadzenie polityki krajowej.

Pierwszym barometrem poparcia dla partii i ich przywódców będą październikowe wybory samorządowe, w których Portugalczycy wybiorą burmistrzów i radnych do 308 gmin. Socjaliści mają nadzieję, że obejmą kierownictwo nad 150 gminami, a przede wszystkim, że utrzymają władzę w Lizbonie, gdzie António Costa był popularnym burmistrzem, zanim został premierem w 2015 r.

Coraz lepsze wskaźniki gospodarcze oraz stopniowe powstrzymywanie antyspołecznych reform neoliberalnych i polityki oszczędności, które w ostatnim czasie odbiły się negatywnie na poziomie życia wielu Portugalczków, wzmacniają Partię Socjalistyczną przed październikowymi wyborami. Mimo pewnych trudności Costa może mieć mniejsze obawy przed wyborami lokalnymi niż jego przeciwnicy. ■

Premier potrafił pogodzić równowagę i rygor finansowy ze sprawiedliwością społeczną.

się w Portugalii, bardzo mnie inspiruje. Jest to kraj prowadzony przez rząd lewicy, wspierany przez radykalną lewicę, który odszedł od polityki austerity”, powiedział podczas wizyty.

Warto wspomnieć, że w tym roku Portugalie odwiedzili przedstawiciele holenderskiej Partii Pracy oraz włoski socjalista Gianni Pittella. W rozmowie z portugalskim radiem TSF Pittella przyznał, że doświadczenie António Costy jest dla niego bardzo przydatne i może być sugestią dla europejskiej socjaldemokracji, która weszłaby w sojusz z Zielonymi i innymi postępowymi siłami lewicowymi.

Korzystne dane ekonomiczne i złagodzenie polityki oszczędności

że broń może trafić do terrorystów lub zorganizowanych grup przestępczych. Kradzież sprzętu wojskowego została uznana za narodowe upokorzenie, podważające zaufanie sojuszników NATO. To zdarzenie obniżyło prestiż sił zbrojnych, autorytet państwa oraz bezpieczeństwo Portugalczków. Centroprawicowa opozycja domagała się dymisji ministra obrony i krytykowała socjalistów za działania w zakresie ochrony ludności podczas pożarów. Rządzący odbijali piłeczkę, twierdząc, że powodem problemów związanych z pożarami i kradzieżą jest poprzedni rząd Pedra Passosa Coelhoa.

António Costa musi także się zmierzyć z pewnymi zgrzytami w gronie

GŁOWACKI I OKOLICE

Janusz nie cierpiał dętologii, fałszywego patosu, jego ironiczny sceptycyzm był rodzajem artyzmu, świadectwem talentu, a zarazem wniknięcia w sedno spraw

Rozmawia Krzysztof Pilawski

Janusz Głowacki podobnie jak pan urodził się przed wojną w Warszawie, obaj poświęciliście jej sporo miejsca, zostaliście docenieni Nagrodą Literacką m.st. Warszawy. Czy warszawskość odgrywała jakąś rolę w waszych relacjach?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale nie sądzę. Nasze biografie są inne: byłem 15 lat starszy od Głowackiego, wojna rzuciła mnie na wschód, Janusz pozostał z rodzicami w okupowanej Warszawie. Kiedy jego teksty zaczęły się

pierwszym impulsem, bo może być uczciwy.

MIAŁ TALENT

Głowacki napisał o tym w autobiograficznej książce „Z głowy”.

– Janusz sądził, że tę sentencję wymyślił Wilhelmi, bo bardzo pasowała do jego cynizmu, w rzeczywistości jej autorem był Talleyrand, którego wykształcony i odcytany naczelny „Kultury” sobie pewnie przyswoił. Moja bliskość z Głowackim wzięła się z podobnych upodobań, przede wszystkim z niechęci do dętologii, fałszywego patosu.

Janusz nie był stuknięty na tle swoich ubiorów jak Tyrmand, który przekonywał, że nosząc kolorowe skarpetki, walczy z reżimem.

pojawiać w „Kulturze”, byłem już autorem kilku powieści i wielu opowiadań, w oparciu o moje utwory powstały popularne filmy: „Krzyż walecznych”, „Nikt nie woła”, „Prawo i pięść”. Poza tym znajdowałem się w innym kręgu. W 1968 r., po zebraniu nadzwyczajnym w Związku Literatów w sprawie przywrócenia usuniętych „Dziadów” na scenę narodową, byłem atakowany w „Żołnierzu Wolności”. Janusz pisywał do „Kultury” pod redakcją Janusza Wilhelmiego – po swoim oczyszczeniu, bo gdzieś pisywać musiał. Głowacki był jego ulubieńcem. Mnie Wilhelmi czytał, prywatnie komplementował, ale w praktyce tępił jako przeciwnika politycznego. Wilhelmi radził Głowackiemu, by nigdy nie szedł za

Kiedy powiedziałem mu kiedyś, że „Noc listopadowa” Wyspiańskiego to straszliwa grafomania, wykrzyknął: „Lejesz miód na moje serce!”. On rozprawiał się z dętologią z pomocą ironii, przewrotnego żartu, ja też miewam skłonność do ironii i autoironii, ale zdarza mi się, niestety, w tych sprawach i ton całkiem serio.

W książce „Przyszłem” Głowacki pomniejszał swój wpływ na scenariusz „Wałęsy. Człowieka z nadziei”, bo film wyszedł cokolwiek nadęty. Kiedy poznał pan Głowackiego?

– Poznałem go z tekstów w „Kulturze”, ale zdarzyło mi się też trafić na niego raz czy dwa w Ścieku. **To nazwa nadana przez Głowackiego klubowi Stowarzyszenia Fil-**

JÓZEF HEN

– pisarz, scenarzysta, pamiętnikarz, dramaturg, reżyser

mowców Polskich na Trębackiej, do którego nocą „ściekali” bywalcy zamykanych wcześniej lokali.

– Tak, niekiedy wpadaliśmy też na siebie w klubie SPATiF-u w Alejach Ujazdowskich, w którym stale bywałem. Nie piłem nigdy z Januszem, nie dałbym rady. Znałem jego matkę, kiedy pracowała w Czytelniku. No i znałem Kazimierza Rudzkiego, oryginalnego aktora i niezrównanego konferansjera, ale dopiero później dowiedziałem się, że jest jego wujem.

Zachodził pan przed wojną do salonu muzycznego B. Rudzki przy Marszałkowskiej 146, z widniejącym na witrynach napisem „Columbia”?

– Ależ skąd!... To nie było miejsce dla chłopaka z Nowolipia. Gdy wiele lat po wojnie dowiedziałem się, że dziadek Głowackiego był przedstawicielem Columbii, przypomniałem sobie słowa spikerów przedwojennego radia, że płyta, z której nadano muzykę, pochodzi z firmy Rudzki.

Dziadek Bronisław Rudzki był właścicielem m.in. wydawnictwa muzycznego, ojciec, Jerzy Głowacki, próbował swoich sił w literaturze.



– Wiem, że pisał kryminały, ale nic nie czytałem i nie znałem go. **Znał pan matkę, z którą Głowackiego łączyła ogromna bliskość: 12-letniemu Januszowi czytała „W poszukiwaniu straconego czasu”, pracowała jako redaktorka w Czytelniku i Iskrah, ponoć załatwiła mu pracę w „Kulturze”. Musiała mieć na niego wielki wpływ.**

Człowiek zajmujący się twórczością, literaturą, filmem, sztukami plastycznymi musi mieć talent. Janusz go miał!

– Wpływ wpływem, ale człowiek zajmujący się twórczością, literaturą, filmem, sztukami plastycznymi musi przede wszystkim mieć talent. Janusz go miał!

PRZEWODNIK LITERACKI

Mieszkał z rodzicami na Bednarskiej, wszędzie miał blisko: redakcja „Kultury” sąsiadowała z Czytelnikiem, do SPATIF-u można było dorzucić beretem, stąd do Ścieku – jak wspominał – dowoziła go miejska polewaczka...

– Była jeszcze stołówka w Związku Literatów Polskich w Domu Literatu-

ry przy Krakowskim Przedmieściu, tam też się widywaliśmy. Po tym gdy wyjechał do Londynu, a stamtąd do Nowego Jorku, do tej stołówki na obiad przychodziła jego żona, Ewa Zadrzyńska, była wtedy w ciąży z Zuzanną. Rozmawialiśmy ze sobą. **Mówiono: „Zjeść obiad u Literatów”. Czytelnik w latach 80. wydał autobiograficzną książeczkę Ta-**

deusza Konwickiego „Nowy Świat i okolice”, taki przewodnik po warszawskim życiu literackim.

– Konwicki mieszkał na ul. Górskiego, dochodziło się do niej Warecką, przecnicą Nowego Świata. Bardzo mu się nie podobało, gdy po obiedzie u Literatów zostawałem w bibliotece. Strasznie się złościł, bo byłem mu potrzebny jako osoba towarzysząca w powrocie do domu. Byliśmy pochłonięci rozmową, ale gdy znaleźliśmy się na rogu Wareckiej, urywał w pół zdania, rzucił: „Cześć!” i zniknął z kupionym wcześniej w kiosku „Expressem Wieczornym”.

Konwicki, który był dla Głowackiego jednym z najważniejszych autorów i autorytetów, kojarzy się ze słynnym stolikiem w Czytelniku. Pierwszą kierowniczką kawiarni przerobionej ze stołówki pracowniczej była Maria Iwaszkiewicz, córka długoletniego prezesa Związku Literatów Jarosława Iwaszkiewicza.

– Ona wtedy nosiła nazwisko Włodek. Gdy powstała kawiarnia, w 1957 r., Konwicki mieszkał jeszcze na Frascati, czyli tuż obok. W 1957 r. za jakiś artykuł wyrzucono z posady kierownika literackiego Zespołu Filmowego Kadr Krzysia Toeplitza, mianowano na to stanowisko partyjnego jeszcze wtedy Konwickiego. Tadeuszowi nie chciało się jeździć na Puławską 61 do siedziby Kadru, urzędował w Czytelniku, w którym umawiał się ze wszystkimi. I tak narodził się słynny stolik: drugi po prawej stronie przy ścianie frontowej; tam, gdzie teraz jest pierwszy, był stragan z książkami.

ZATRZYMANE W KADRZE

Przy tym stoliku zacieśniały się kontakty środowisk twórczych: pisarzy, reżyserów, aktorów. Tu narodził się chyba pomysł pierwszego filmu opartego na pana twórczości, „Krzyża walecznych”?

– To ja sam zaproponowałem swoje opowiadania na scenariusz, powiedziano mi, żebym coś przyniósł i nieważne, czy skorzystają, czy nie, otrzymam honorarium jak za nowelę do filmu. Dostarczyłem tekst do „Kadru” na Puławskiej, a potem Konwicki przyjechał do Obór z pewnym chudym chłopcem i powiedział: „To jest Kazio Kutz, twój reżyser”.

Scenariusz „Rejsu”, jak wspominał Głowacki, powstawał w czasie alkoholowych imprez w SPATIF-ie.

– „Rejs” to zupełnie wyjątkowa pozycja.

A wyreżyserowane przez Andrzeja Wajdę „Polowanie na muchy” – ekranizacja opowiadania Głowackiego?

– Znacznie wyżej oceniam nakręcony kilka lat później przez Janusza Morgensterna dramat „Trzeba zabić tę miłość”. „Polowanie na muchy” wydawało mi się mało oryginalne, zanadto oczywiste. W 1970 r. znała-

► złem się w składzie jury w Łagowie, „Polowanie” było jednym z filmów festiwalowych. Reprezentowałem w jury ZLP, który nie uznawał wpisania mnie na czarną listę pisarzy. Z tego powodu w prasie nie podawano składu jury, a zasiadali w nim m.in. Konwicki i Jerzy Stefan Stawiński.

Wracając do literatury, Henryk Bereza twierdził, że miał duży wpływ na Głowackiego.

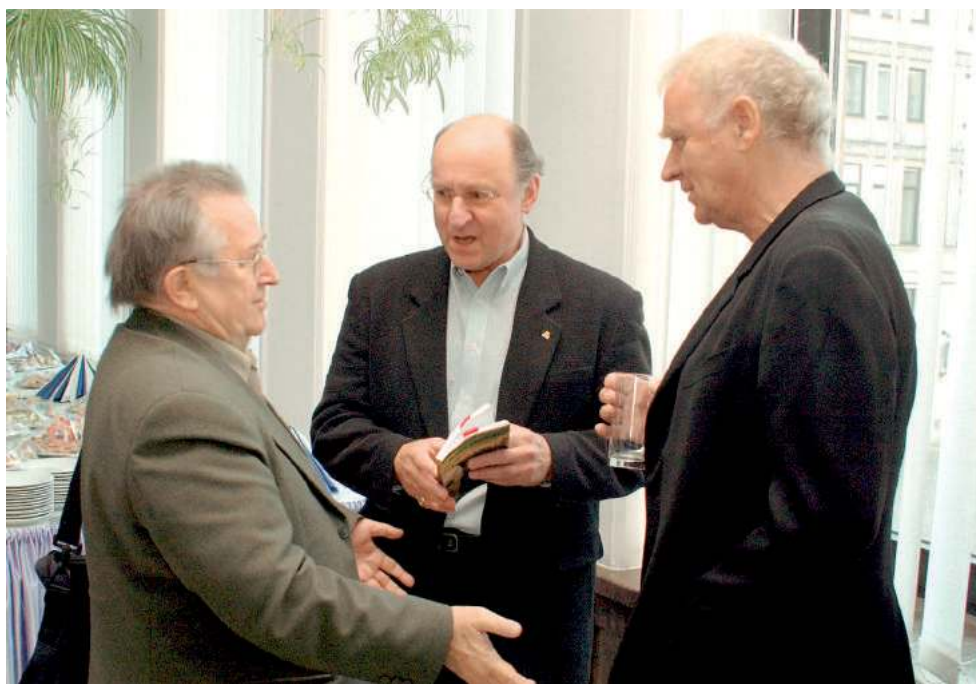
– Stolik Berezy w Czytelniku był za filarem, gromadził wokół siebie...
...młodych pisarzy.

– (śmiech) Młodych i długonogich. Bereza chyba podkochiwał się w Januszu. Teraz, kiedy autoryzuję ten wywiad, wciąż mam ochotę zapytać Janusza, czy jest zadowolony, czy akceptuje... Jakoś trudno uwierzyć, że go już nie ma.

NAJWESELSZY BARAK

Jarosław Iwaszkiewicz też był pod wrażeniem urody Głowackiego, porównywał jego uśmiech do Gioncondy. W opowiadaniu „My sweet Raskolnikow” młody pisarz biega półnagi przed oknem pokoju Najwybitniejszego Pisarza w zlikwidowanym parę lat temu Domu Pracy Twórczej w Oborach...

– Tuż przed stanem wojennym dziennikarka zapytała mnie, czy jestem zadowolony ze swojego wyglądu; gdy odparłem, że nie, zainteresowała się, do kogo chciałbym być podobny. Powiedziałem, że do Roberta Redforda, ale to było zbyt łatwe, więc zmieniłem na Janusza Głowackiego. To zostało wydrukowane i Janusz o tym wiedział. Dziś, przywołując postać Głowackiego,



Kazimierz Kut i Piotr Fronczewski na promocji książki Janusza Głowackiego „Jak być kochanym”.

mam przed sobą jego wizerunek z ostatnich lat, męska, poorana, mądra twarz, nie widzę już tamtej gładkiej, trochę chłopięcej. Nie pamiętam w ogóle Głowackiego z Obór, mijaliśmy się, choć bywałem tam często, bo prawie wszystko, co napisałem przed 1979 r., gdy otwarto pawilon ZAiKS-u w Konstancinie, powstało w Oborach.

Organizacja przez państwo życia literackiego była wymysłem radzieckim, ale polskie życie literackie znacznie się różniło od tego za Bugiem. Mieścili się w nim dawni akowcy i alowcy, komuniści i antykomuniści, zwolennicy władzy i jej przeciwnicy. To zresztą było płynne, bo kierujący ZLP przed

Iwaszkiewiczem Antoni Słonimski później zasłynął jako autor listów protestacyjnych.

– Nieprzypadkowo mówiono o Polsce, że jest najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym... W naszym kraju nawet w okresie stalinowskim było inaczej dzięki pewnej ciągłości. Miały swoją kontynuację dwie przedwojenne tradycje: postępową, lewicowo-liberalną związaną z „Wiadomościami Literackimi”, Skamandrytami, którą po wojnie uosabiali Tuwim i Słonimski, oraz tradycja endecka związana z PAX-em, prorosyjska, czyli proradziecka, która zhańbiła się w 1968 r. W bibliotece Domu Literatury można było swobodnie przeczytać paryską „Kulturę”, przy-

PIOTR KUNCEWICZ

Minęło 10 lat od śmierci Piotra Kuncewicz (1936-2007). Pisarza, krytyka literackiego i eseisty, prezesa Związku Literatów Polskich. Wolnomularza, Wielkiego Mistrza Wielkiego Wschodu Polski. Autora monumentalnego, pięciotomowego dzieła „Agonia i nadzieja”, szczególnie bliskiej mu „Legendy Europy” i dziejów narodu żydowskiego „Gój patrzy na Żyda. Dzieje braterstwa i nienawiści od Abrahama po współczesność”. Kuncewicz był erudytą wyrastającym ponad swoje czasy. Europejczykiem z głębokiego przekonania i świadomego wyboru. Pisał, że „Europa nie powinna być zbiorem najgorszych cech każde-



go narodu, ale najlepszych, które można znaleźć i wspierać. Mamy ich sporo, choć może mniej niż wad”. Jakież te słowa są aktualne.

Pisał także na naszych łamach, a wcześniej w „Przeglądzie Tygodniowym”. Jego felietony „Wieczory z Patarafką” są perełkami myśli i wytrawnego stylu. Życzliwości i wyrozumiałości wobec bliźnich. Oprócz książek i tekstów zostawił nam też formułę mądrego postępowania. Szeroko otwartych drzwi, ale wysokiego progu zmuszającego do przestrzegania wspólnych zasad. Bardzo by się dziś przydał. Z tą swoją lewicową otwartością i umiejętnością łączenia.

Jerzy Domański



Janusz Głowacki z żoną Oleną Leonenko i krytykiem literackim Henrykiem Berezką.

chodziła pocztą, w kopercie zaadresowanej na nazwisko Iwaszkiewicza. Pamiętam, jak pewien związany z władzą mąż mojej znajomej powiedział, że od kolegów z cenzury dostaje czasem zatrzymane teksty: „Masz, poczytaj sobie!”.

Głowacki przytaczał scenę ze SPATiF-u: rozżalony za nazwanie ubekiem mężczyzna tłumaczył: „Chciałem ci powiedzieć, Januszu, że wielu z tych ludzi, których pogardliwie nazywasz ubekami, czyta twoje książki i mówi o tobie z szacunkiem”.

– To oddaje klimat tamtych czasów. W samym Czytelniku, wbrew temu, co się teraz pisze, w zasadzie nie spiskowano. Polityczna atmosfera panowała w kawiarni Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu, potem w kawiarni PIW-u, w której urzędował Słonimski. Wracając do domu w alei Róż, pan Antoni zahaczał o Antyczną na placu Trzech Krzyży, czasem wpadał do pobliskiej cukierni Galińskiego (Wilanowskiej), a na końcu opowiadał, co aktualnie podpisał w Czytelniku, przy naszym stoliku.

BLIŻEJ HŁASKI NIŻ TYRMANDA

Głowacki niezbyt mocno angażował się w politykę.

– Ale wiemy, co myślał. I co pisał. Nie mogąc, ze względu na cenzurę

(i redaktora), otwarcie napisać o swoim krytycznym stosunku do spraw politycznych, zjawisk społecznych czy utworów literackich, obśmiewał

Janusz nie był stuknięty na tle swoich ubiorów jak Tyrmand, który przekonywał, że nosząc kolorowe skarpetki, walczy z reżimem.

je, zachwalając do absurdu. Tak było np. z okropną powieścią Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, którą zrównał z „Ulisesem” Joyce’a.

Głowacki narzekał, że wielu czytelników nie wyczuwało przewrotności jego felietonów.

– Do tego potrzebny jest inteligentny odbiorca, nic się w tej kwestii nie zmieniło do dziś.

Głowacki był nie tylko pisarzem, ale i – jak byśmy to powiedzieli – celebrytą, barwną postacią życia towarzyskiego i uczuciowego. Celowo nawiązując do tytułu książki Leopolda Tyrmanda. Głowacki w rozpiętej, odstaniającej pierś koszuli miał coś z epatującego strojem Tyrmanda?

– Janusz nie był stuknięty na tle swoich ubiorów jak Tyrmand, który przekonywał, że nosząc kolorowe skarpetki, walczy z reżimem. Tak samo jak walczył z nim, zostawiając światło w publicznej ubikacji, żeby odjąć komunistom trochę prądu. Kiedyś napisałem, że znam

jeszcze większego opozycjonistę niż Tyrmand, bo takiego, co obsiakuje deskę sedesu... W „Dzienniku 1954” Tyrmand napisał jedno z najgorszych zdań w historii polskiej literatury: nie miałby nic przeciwko temu, by spadła bomba atomowa na Moskwę, a nawet Londyn, bo przez nich siedzi w tej kloace.

Tyrmand w USA stał się obyczajowym ultrakonserwatystą, Głowacki w Ameryce pozostał sobą. Może łączyło go coś z Hłaską, który także opisywał warszawskie klimaty literacko-rozrywkowe?

– Marek to świetna tradycja i Głowacki na pewno go doceniał, choć miał inny typ talentu. Byłem zaprzyjaźniony z Hłaską. Kiedyś zobaczył u mnie w domu Pismo Święte, Stary i Nowy Testament. Zapytał: „To się da czytać?”. „Jak najbardziej”, odparłem. „Pożycz”. Wziął, ale nie zwrócił, choć go o to prosiłem. Po wyjeździe Hłaski z Polski przeczytałem – chyba w brytyjskim „Observerze” – wywiad z nim. Dziennikarz zobaczył leżącą obok łóżka pisarza

Biblię. Moją Biblię! Hłasko też nie znośił dętologii, fałszu, to łączyło go z Głowackim. Ten charakterystyczny ironiczny sceptycyzm Janusza był rodzajem artyzmu, świadectwem talentu, a zarazem wnikięcia w sedno spraw.

Bohaterowie jednego z tekstów Głowackiego opróżniają w Żyrardowie kolejne flaszki w knajpach i melinach na ulicach Nowotki, Lenina, Dzierżyńskiego. Parę dni temu w podwarszawskiej miejscowości na ul. Jana Pawła II, dawniej 1 Maja, zobaczyłem wśród wystawionych śmieci obraz Jezusa w złoczonych ramach. Warszawska al. Jana Pawła II, dawniej Marchlewskiego, to centrum sklepów z wibratorami i nadmuchiwymi lalkami. Tematy wciąż leżą na ulicach, czy zna pan młodych pisarzy, którzy mogliby je podnieść?

– Nie, ale może właśnie teraz po drugiej stronie ulicy idzie 17-letni chłopak, który będzie to potrafił.

Krzysztof Piławski



51. FESTIWAL PIANISTYKI POLSKIEJ

Impreza o charakterze ogólnopolskim organizowana nieprzerwanie od 1967 r., pod honorowym patronatem ministra kultury; jedyna tego rodzaju impreza muzyczna w kraju. Od 1974 r. głównemu nurtowi festiwalu towarzyszy tzw. Estrada Młodych, w ramach której prezentują się szczególnie utalentowani młodzi pianiści. Dyrektor artystyczny FPP, pełniący tę funkcję od 2000 r. Jan Popis, informuje, że w koncercie inau-

guracyjnym wystąpi Lidia Grychtolówna, wydarzeniem festiwalu będzie zaś Wieczór Jazzu (10 września) z udziałem Włodzimierza Nahornego, Mariusza Bogdanowicza i Piotra Biskupskiego. Pianistom jak co roku towarzyszy Orkiestra Polskiej Filharmonii Sinfonia Baltica pod dyktando Bohdana Jarmołowicza. **SŁUPSK, SALA FILHARMONII I TEATRU, ZAMEK KSIĄŻĄT POMORSKICH, 9-15 WRZEŚNIA**

W TV

KINO MÓWI: STAROŚĆ

We wrześniu Ale kino+ w cyklu „Kino Mówi” zaprasza na nagradzane produkcje poruszające temat dojrzałego życia. W programie: nominowana do Oscara głośna „Młodość” w reżyserii Paola Sorrentina, dramat o walce z przemijaniem i trudnościami życia – „Aquarius” z trzykrotnie nominowaną do Złotego Globu Sonią Bragą. Ponadto japoński film „Po burzy” oraz doceniona Nagrodą Jury Ekumenicznego na 68. MFF w Cannes „Moja matka” Nanniego Morettiego.

ALE KINO+, CZWARTKI OD 7 WRZEŚNIA, GODZ. 20.10



NOWE MIEJSCE

NA EKRANACH



ZIARNA W ŁAŹNI GŁÓWNEJ

Zabytkowy budynek łaźni, pochodzący z początku XX w. i mieszczący jedną z pierwszych łaźni łańcuskich na Górnym Śląsku, znajduje się na wzniesieniu na północ od głównego wejścia do Muzeum Śląskiego, w sąsiedztwie maszynowni szybu Warszawa I. To ponad 2,2 tys. m kw. nowej powierzchni użytkowej w budynkach i nowe miejsce na ekspozycje czasowe, a przestrzeń wraz z zapleczem technicznym spełniać będzie jednocześnie warunki do organizacji większych koncertów oraz spotkań. W zrewitalizowanej łaźni jako pierwsza zostanie zaprezentowana wystawa „Zaczeło się od ziarna... Historia roślin uprawnych”, która opowiada o roślinach zajmujących wyjątkowe miejsce w historii świata: herbacie, która doprowadziła do wielu konfliktów i wojen, czy ziemniaku, który przywieziony z Ameryki uratował mieszkańców Europy przed głodem.

MUZEUM ŚLĄSKIE W KATOWICACH, OD 9 WRZEŚNIA

NA POKUSZENIE

reż. Sofia Coppola,
prod. USA, już w kinach

Sofia Coppola tak ironiczna nie była jeszcze nigdy. W jej filmie, osadzonym w czasie wojny Północ-Południe, pęka gorset konwenansów



mocno ściskający panie i panny. Najlepsza szwaczka nie poskłada go znów w całość. Kiedy żołnierz John McBurney (Colin Farrell) trafia do żeńskiej szkoły z internatem, wśród mieszkanek, którym przewodzi dyrektorka Martha (Nicole Kidman), panuje poruszenie. W ruch idą skrywane na dni szafy suknie i biżuteria, do stołu podaje się ukrytą w zakamarkach spiżarki whisky. Kobiety tracą zmysły i kontrolę nad sobą, a mężczyzna igra z ich uczuciami. Do czasu, bo Coppola przygotowała woltę, która pozwoli nam odkryć podwójną naturę każdego z bohaterów. Film jest remakiem „Oszukanego” z Clintem Eastwoodem, ale nawet fanów oryginału czeka zaskoczenie. Coppola ani myśli traktować tematu serio, a mimo to udaje się jej znów powiedzieć tak wiele o żeńskich społecznościach, które zjednoczą się przeciwko wrogowi, ale każda z kobiet i tak będzie przekonana, że sama rozprawiłaby się z nim lepiej. Albo lepiej uwiodła. Kino na piątkę.

Artur Zaborski

SERIAL



VICTORIA

20 czerwca 1837 r., w wieku 72 lat, umiera król Wilhelm IV. 18-letnią Alexandrinę Victorię (Jenna Coleman) matka budzi nad ranem. Miesiąc później dziewczyna zostaje koronowana na królową Wielkiej Brytanii. Wiktorja wychodzi za mąż za księcia Alberta (Tom Hughes) i rodzi pierwszą córkę. Szybko musi też się nauczyć, jak być władczynią mocarstwa. Początki nie są łatwe, ponieważ wiele osób tylko czeka na jej błąd. Ale panowanie trwa 63 lata i przyczynia się do rozkwitu kraju. Serial historyczny o jednej z najbardziej charyzmatycznych kobiet w historii.

HBO3, OD 6 WRZEŚNIA, GODZ. 21.00

W SZEREGACH ISIS

Bohaterowie czteroodcinkowego serialu to czworo młodych Brytyjczyków, którzy wyjechali z kraju, aby dołączyć do Państwa Islamskiego w syryjskim mieście Rakka. Sama historia jest fikcyjna, ale pracę nad scenariuszem poprzedziły badania faktograficzne, dzięki którym poznajemy dramatyczną rzeczywistość, z jaką stykają się ludzie wstępujący w szeregi tej dżihadystycznej organizacji. Bohaterowie są świadkami nalotów oraz bestialstw popełnianych przez wojska reżimu. Ich podróż przestaje być przygodą, gdy dopada ich poczucie rozczarowania i beznadziei, a jedyną rzeczą trzymającą ich przy życiu jest coraz większe zaangażowanie w tworzenie nowego kalifatu.

NATIONAL GEOGRAPHIC, NIEDZIELE 10 I 17 WRZEŚNIA, GODZ. 21.30



ZAJRZYJ TU

THE BEST GALLERY.
NOWOŚCI
W KOLEKCJI

Zachęta zaprasza do obejrzenia większości zakupionych ostatnio prac – bo chociaż to galeria wystaw czasowych i nie ma stałej ekspozycji, wprowadziła plan cyklicznego udostępniania fragmentów zbiorów w różnych zestawieniach. „Od wielu lat budujemy unikalną tożsamość instytucji, której nierozdzielną częścią jest kolekcja. Przyjęta zasada jej rozbudowy – pozyskiwanie prac polskich twórców współczesnych prezentowanych w Zachęcie oraz dzieł, które powstają na potrzeby naszych projektów – kontynuuje tradycję z czasów pierwszego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Istotne jest także konstruowanie różnorodnego obrazu współczesnej sztuki polskiej – również dzięki połączeniom, jakie tworzą się pomiędzy dziełami a unikatowym archiwum życia artystycznego gromadzonym przez dział dokumentacji Zachęty”, czytamy w prezentacji, której bohaterami są m.in. grupa Azorro, Karolina Breguła, Stefan Gierowski, Konrad Smoleński i Olga Wolniak.

WARSZAWA, ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI, DO 15 PAŹDZIERNIKA

PORTRET ARTYSTY
Z CZASÓW
DOJRZAŁOŚCI

Może niejednego zdziwić, że galeria rzeźb Juana Soriana, najwybitniejszego artysty meksykańskiego, znajduje się w Polsce, w podwarszawskiej Owczarni koło Milanówka. Gospodarzem jest wybitny menedżer i darczyńca kultury Marek Keller, który zastąpił zakupami rękopisów Chopina, ofiarowanych następnie państwowym zbiorom.

Teraz zaś w galerii, gdzie stoją monumentalne dzieła Meksykanina, otwarto wystawę fotografii pokazujących, jak te kolosy powstawały. Zdjęcia wykonywała dokumentalistka Ana Lorena Ochoa, która przez rok w każdą środę przyjeżdżała do artysty, a potem wspólnie jedli obiad gdzieś na targu. „Kiedy maluję, rzeźbię... jednam się z całym światem”, mówił Soriano. Jego dziś już nie ma, ale zostały rzeźby i te zdjęcia, zatytułowane „Portret artysty z czasów dojrzałości”.

OWCZARNIA KOŁO MILANÓWKA, GALERIA OGRODU RZEŹB JUANA SORIANO, DO 30 LISTOPADA



(bt)

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

Za Warszawską Jesienią szmat czasu. Dziś na koncerty przychodzą wnuki tych, którzy byli przy narodzinach imprezy. Czy równie mocno jak ich dziadkowie kochają radykalne festiwalowe produkcje?

– Generacja obecnie aktywna poznawczo to ludzie tak samo młodzi jak w przypadku generacji młodych lat 50., 60. i 70. Mają kontakt ze swoją odmienną rzeczywistością, czytają i tworzą kody obecnego czasu. A dzisiejsza rzeczywistość, owszem, jest inna, ale równie skomplikowana jak u zarania Warszawskiej Jesieni. Pytania, jakie sobie stawiamy, też w gruncie rzeczy są te same.

Co to za pytania?

– Na przykład jak rozumieć siebie lepiej, jak żyją inni, jakie idee krążą w świecie i jak są wyrażane w językach współczesnej sztuki, w zmieniających się błyskawicznie technologiach. W końcu – jak się odnaleźć w nowej rzeczywistości.

Temat i słowo klucz jubileuszowego festiwalu, Trans / Awangardy, sięga w przeszłość. Przypomina, że awangarda już kiedyś była.

– Że była i że może jest. Hasło przypomina, że Warszawska Jesień była zawsze związana z postawą radykalną. Od początku festiwalu takich kulminacji radykalizmu określanych jako awangardy mieliśmy kilka, wśród nich trzy duże. Pierwsza to awangarda lat 20. XX w., zwana Drugą Szkołą Wiedeńską, która radykalnie zmieniała język muzyczny. Była obecna na festiwalu jako punkt odniesienia. Potem powojenna, lat 40. i 50., czasami sprowadzana do zjawiska serializmu – techniki komponowania nieomal matematycznego. W końcu lat 60. – ruchu Fluxus i Johna Cage'a. Tym zjawiskom towarzyszył rozwój instrumentów, elektroniki i łączenia różnych mediów. Festiwal był miejscem dziania się tych procesów. Tegoroczny tworzy zatem duży most problemowy pokazujący przykłady najnowszych dokonań w symfonice, kameralistyce, elektronice, multimediami i teatrze dźwięku. Ciekawi nas, jak dzisiejszy radykalizm łączy się z obecnymi w programie wybranymi dziełami pierwszych dekad Warszawskiej Jesieni. Jak kwar-

UTWÓR NA ORKIESTRĘ I SMARTFONY

Warszawska Jesień to dawka muzyki pozornie nie do przeżycia



JERZY KORNOWICZ

– kompozytor, dyrektor 60. Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej Warszawska Jesień

tet smyczkowy przechodzi w kwartet elektroniczny, pieśń w teatr głosu, forma otwarta w improwizację. Jak elektronika z początków znakomitego Studia Eksperymentalnego Polskiego Radia koresponduje z dzisiejszą technologią komputerową. Jak brzmią nowe instrumenty i gadżety, które wchodzą do zasobów dźwiękowych współczesności – czy to z Dalekiego Wschodu, czy z domowych warsztatów. Jak te wszystkie zmiany oddaje np. literatura perkusyjna i akordeonowa.

Jerzy Kornowicz – ur. w 1959 r. Kompozytor, pianista improwizator i animator życia muzycznego. Wieloletni prezes Związku Kompozytorów Polskich. Od 2017 r. pełni funkcję dyrektora artystycznego Warszawskiej Jesieni.

Nie tylko muzyka zmieniała się wraz z festiwalem, ale i świat. Czy do tych zmian, także intelektualnych, Warszawska Jesień dołożyła swoją cegiełkę?

– Myślę, że sporą cegłę, bo obszar jej artystyczno-kulturowego oddziaływania rozciągał się na całą Europę Środkowo-Wschodnią. Tu przyjeżdżali ludzie z tzw. demoludów, by posłuchać naprawdę nowej muzyki. Wtedy wszyscy odczuwali ogromny głód nowości i swobody, więc tutaj mieli okazję do licznych kontaktów. Mimo izolacji w świadomości dokonywały się przewartościowania. Publiczność też tym się karmiła.

Czy zastługą Warszawskiej Jesieni nie jest również to, że polska muzyka współczesna i polscy kompozytorzy wysunęli się na czołowe miejsca w Europie?

– Nie byłoby sukcesu polskiej szkoły kompozytorskiej bez Warszawskiej

Jesieni. W dużej mierze to dzięki festiwalowi nastała moda na muzykę polską. W konsekwencji wiele z tych dzieł, które pojawiały się u nas, było już wcześniej fetowanym na festiwalach zachodnich i zamawianych przez zachodnie instytucje muzyczne. Nasi twórcy byli świetnie przygotowani, otwarci na modernizm, znali nowoczesne techniki kompozytorskie i byli wymęczeni ówczesnymi sugestiami politycznymi, by tworzyć w duchu neoklasycyzmu, stawiając w punkcie centralnym wątki narodowe.

To było na początku, ale później zaczęli się wycofywać z tego awangardowego modernizmu. Awangarda przegrała.

– Jak przegrała, kiedy nie przegrała! Radykalizm trwa, szczególnie u młodych generacji, w potrzebach zarówno twórców, jak i odbiorców, i tym właśnie jest tegoroczny festiwal. Bierze się to z potrzeby rozpoznania człowieka w nowoczesności i wobec historii. Dawne awangardy nadal fascynują. Owszem, muzyka nawiązująca do stylistyki historycznej często jest uznawana za przejaw, powrót do muzyczności i końca awangardy. Nie zawsze słusznie. Dzieło tego rodzaju, jeśli nie jest jedynie pracą w jakimś historycznym stylu, przyłącza do nowoczesności przetworzone zjawiska przeszłości. Tacy twórcy jak Arvo Pärt, Walentin Silvestrow czy Salvatore Sciarrino byli i są odkrywczy, ich muzyka nie da się zamknąć w stylizacji i sentymencie do przeszłości.

Co będzie hitem tegorocznej edycji?

– Chcemy przypomnieć korzenie festiwalu. Przywoływana będzie muzyka kompozytorów tworzących w pierwszych dekadach Jesieni: Krzysztofa Pendereckiego, Andrzeja Dobrowolskiego, Wojciecha Kilara, Tadeusza Bairda, Kazimierza Serockiego, Włodzimierza Kotońskiego, Witolda Lutosławskiego i Witolda Szalonka. Kilka razy zostanie wykonana muzyka Bogusława Schaeffera, uważanego za postać emblematyczną polskiej awangardy. Ale przede wszystkim będzie dużo wyrazistej, niekiedy ostrej, perfekcyjnej technicznie muzyki młodszych pokoleń.

Nie będzie więc pogrzebu awangardy?

– Na pewno nie postaw radykalnych i ambitnych poznawczo. Czy składają się one na jakiś ruch awan-



Warsztaty z cyklu
Mała Warszawska
Jesień.

WARSZAWSKA JESIEŃ POTRWA OD 15 DO 23 WRZEŚNIA

77 kompozytorów i kompozytorek oraz trzy kooperatywy kompozytorskie zaprezentują się w 27 premierach światowych, 30 premierach polskich i w 16 zamówieniach festiwalu, m.in. u takich twórców jak Mauro Lanza, Wenchen Qin, Jan Duszyński, Håkon Thelin, Lubava Sydorenko, Maxim Kolomiets, Tadeusz Sudnik, Macio Moretti, Erhard Hirt i Claus van Bebber. Postaciami szczególnie wyeksponowanymi będą: Christophe Bertrand, Tadeusz Wielecki, Brigitta Muntendorf, Alexander Schubert, Johannes Kreidler, Artur Zagajewski i Pierre Jodlowski.

Publiczność będzie miała do czynienia z muzyką komponowaną i improwizowaną, koncertami-spektaklami, instalacjami i teatrem instrumentalnym. Do tego dochodzą spotkania z kompozytorami, warsztaty kompozytorskie, radio internetowe i konferencja europejskich festiwali muzycznych. Na pozór dawka nie do przeżycia.

gardowy o wspólnej tożsamości – to pytanie, które sobie i innym na festiwalu stawiamy.

Dla każdego coś miłego?

– Jeśli ktoś lubi, jak mówił nieodżałowany Andrzej Chłopecki, słuchać „na ostro”, ten festiwal to coś dla niego. Obecna Warszawska Jesień wbrew pozorom jest bardzo zróżnicowana. Radykalizm niejedną ma postać. Może to być radykalizm energii, ostrego brzmienia, dynamiki, ale też spokoju, trwania czy powtarzalności. Wydarzenia będą więc urozmaicone. Myślę, że ekstrema są zawarte pomiędzy multimedialnymi wydarzeniami grupy Decoder, Spółdzielni Muzycznej i kwartetu Diotima a powściągliwymi legendarnymi Les Percussions de Strasbourg. W maratonie elektronicznym w części prezentowanej przez Studio Eksperymentalne z Freiburga z dialogami instrumentów solowych z przestrzenią czy w utworze Anny Korsun na orkiestrę i smartfony w koncercie finałowym festiwalu.

Do tej pory za filary polskiej muzyki współczesnej uznawano trzech twórców – Witolda Lutosławskiego, Henryka Góreckiego i Krzysztofa

Pendereckiego. A jak to będzie za lat 10?

– Był jeszcze Wojciech Kilar. Wspomniani kompozytorzy ugruntowali swoją pozycję w latach 90., gdy wszyscy mieli już ponad 60 lat. Szukając wśród obecnych 50-70-latków, można widzieć wśród przyszłych postaci emblematycznych Elżbietę Sikorę, Krzysztofa Knittla, Lidie Zielińską, Magdalенę Długosz, Tadeusza Wieleckiego, Pawła Szymańskiego, a z młodszych Hannę Kulenty i Pawła Mykiety. Dziś jednak sytuacja na rynku idei i sztuki muzycznej jest bardziej skomplikowana i nie ma zjawisk jednoznacznych. Podejrzewam, że tych filarów polskiej muzyki jest – bo z Zygmuntem Krauzem i Tomaszem Sikorskim – i będzie więcej niż trzy. Już teraz zarówno w generacji starszej, jak i młodszej mamy ich dużo więcej, bo w głębszym odbiorze nie chodzi o owe emblematy, ale o rozmaitość i intensywność ruchu kulturowego. Zafascynowany jestem co najmniej 20-30 polskimi kompozytorami obecnie tworzącymi. A naprawdę młodzi – na tegorocznej Warszawskiej Jesieni np. Rafał Ryterski, Jacek Sotomski czy Mikołaj Laskowski – już dają się ciekawie słyszeć. ■

GÓRALU, CZY CI NIE ŻAL?

Jak ekonomia rządzi
ruchem wozów
do Morskiego Oka

Andrzej Leszyk

Sierpień to szczyt ruchu na szlaku do najpiękniejszego jeziora tatrzańskiego. Niewielu turystów chce iść 9 km, więc od rana stoi kolejka do wozów konnych. Był pomysł, by konie zastąpić pojazdami elektrycznymi, ale górale boją się, że na tym stracą. Na razie zmniejszono do 12 dopuszczalną liczbę pasażerów jadących do Morskiego Oka, a w drodze konie muszą mieć postój na picie.

Górale z żalem wspominają czas, gdy na wóz można było zabrać 20 osób i żadni obrońcy praw zwierząt się nie czepiali. Nadal jednak jest to złoty interes, więc wozów i koni nie brakuje. Płaci się 50 zł od osoby. Wozy podjeżdżają jeden po drugim i kolejki mogłyby się szybko rozładowywać, gdyby nie to, że góral nie pojedzie, jeśli wszystkie miejsca nie zostaną zajęte. Zdarza się więc, że na wozie siedzi już 11 osób, ale góral czeka na tę 12. – i nie rusza.

Rzecz w tym, że z kolejki chętnych do jazdy trudno wyłowić akurat jedną osobę. Nad Morskie Oko wybierają się całe rodziny, podróż „fasiągami” traktują jak atrakcję, więc nie chcą jechać osobno.

Turyści siedzą zatem na wozie i denerwują się, czekając na uzupełnienie składu, a kolejka denerwuje się, czekając na kogoś pojedynczego. Tylko woźnica zachowuje spokój – acz nie zawsze.

Pewnego sierpniowego dnia czteroosobowa grupa angielskojęzycznych turystów, siedzących na wozie i czekających na 12. leniwego, któremu nie chciało się iść pieszo, miała dość. Łamaną polszczyzną zaczęła się domagać, by wóz ruszył, bo nie po to płacą takie pieniądze, żeby siedzieć Bóg wie ile i nie wiadomo kiedy dojechać do Morskiego Oka.

Pokorni zwykle polscy turyści, przyzwyczajeni, że trzeba czekać tak długo, jak się woźnicy spodoba, tym razem poparli buntowników i też zażądali roz-



poczęcia jazdy. Góral nie zamierzał jednak rezygnować z 50 zł. Oświadczył, że będziemy stać, dopóki nie znajdzie się 12. osoba pragnąca jechać do Morskiego Oka – bo nie będzie wozil powietrza.

Ta odpowiedź wywołała dość zaskakujący skutek. Angielskojęzyczna czwórka oświadczyła, że w takim razie idzie pieszo i żąda zwrotu zapłaconych łącznie 200 zł. Góral jakoś nie wyglądał na zaskoczonego. Zapewne nieraz naradzał się z kolegami, jak pacyfikować ceprów, którzy nie chcą czekać, aż wóz się zapełni. Właśnie dlatego górale zbierają po 50 zł, nim jeszcze wszystkie miejsca zostaną zajęte. Ten, co już zapłacił, nie rezygnuje z jazdy, bo będzie się bał, że może nie odzyskać pieniędzy.

Góral oznajmił zatem, że jeśli państwo chcą iść pieszo, święta ich wola. On jest gotów zawieźć ich do Morskiego

trójka zasiadła w wozie, góral poprosił po 50 zł, reszta pasażerów odechnęła, że jest komplet.

I wtedy stało się coś niezwykłego. Oto ta trójka oświadczyła, że 50 zł od osoby to za drogo. Jeśli góral chce, żeby zajęli ostatnie trzy miejsca, umożliwiając wreszcie wszystkim podróż do Morskiego Oka, ma im obniżyć cenę do 30 zł. Ta propozycja wywołała radość pozostałych turystów na wozie, którzy wcale nie byli oburzeni, że ktoś chce płacić mniej niż oni, lecz cieszyli się, że ich wszechmocny woźnica dostanie po kieszeni.

Góral zaś oniemiał. A gdy odzyskał głos, był wstrząśnięty, że ktoś chce płacić mniej. Zawołał: – Nic nie będziecie płacić. Do widzenia!

Zuchwała trójka wzruszyła ramionami i poszła pieszo. Dwa zwolnio-

Góral nie pojedzie, jeśli wszystkie miejsca nie zostaną zajęte.

go Oka i swoją usługę wykona jak należy, tylko trzeba poczekać. Niech więc goście czekają spokojnie, bo skoro zapłacili, to w końcu pojadą.

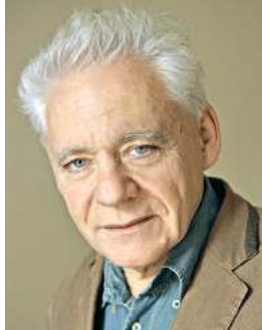
Angielskojęzyczni turyści nie rezygnowali. Oświadczyli, że ponieważ nie rozpoczęli podróży, mają prawo odzyskać należność. Góral pojął, że z nimi nie wygra. Wściekły oddał im cztery razy po 50 zł i kazał zejść z wozu. Z jednego wolnego miejsca zrobiło się aż pięć.

Góral złoślił się krótko, bo z praktyki wiedział, że często łatwiej zapełnić pięć miejsc niż jedno. W istocie, natychmiast do wozu dobiegł pan z panią, a zaraz potem dość młody gość z dwiema koleżankami. Ostatnia

ne miejsca zostały szybko zajęte, ale na ostatnią osobę znów trzeba było czekać. Bunt czwórki angielskojęzycznych gości dodał jednak turystom animuszu. Zażądali, by wóz natychmiast pojechał, bo i oni rezygnują z jazdy, odbierając pieniądze.

Pod groźbą strajku powszechnego góral, ponury jak chmura gradowa, wreszcie ruszył – bez 12. osoby i 50 zł. Wyrażnie było mu żal. Aby nadrobić czas, poganiał konie, jednocześnie podkładając im ekwilibrystycznie pod zad kubelki na kupę. Które to kubelki, pełne po brzegi, jechały wraz z gośćmi, ubogacając aromat górskiego powietrza. ■

Oko w oko



Tomasz Jastrun

LAS BIRNAM RUSZYŁ

To, co zrobiliśmy z rocznicą sierpnia, jest haniebnie. Byłem w czasie tego strajku w stoczni, pamiętam, jak niezwykle było to wydarzenie, jaki dramat, ilu pięknych ludzi, ile niezwykłych zdarzeń. Wracaliśmy z Gdańska samochodem. Jestem prawie pewien, ale głowy bym nie dał, że oprócz mnie byli w wozie Ryszard Kapuściński, Janusz Głowacki i Tomek Łubieński. Ryszarda i Janusza już nie ma, są ich książki. Tomek ciężko ranny na życie. Zanotowałem potem: „Wyjeżdżamy samochodem z Gdańska. Oszołomieni i nie do końca wierzący, że to wszystko było naprawdę. Na granicy miasta patrol milicyjny obserwuje przez lornetkę numery rejestracyjne samochodów. Straszne, wymarłe stacje benzynowe.

W małym miasteczku ludzie mówią, że niedawno była branka mężczyzn do wojska. Noc. Wpadamy nagle w oko ulewy, ale jej szaleństwo jest optymistyczne.

Po obu stronach szosy wyrósł las. Rozkołysany, groźny, ale nam przyjazny”. Napisałem potem o tym strajku reportaż pod tytułem „Las Birnam ruszył”.

W nowej szkole nie będzie wychowania seksualnego. Bo seks to grzech, im mniej o nim, tym lepiej. Ale nie będzie to miało większego znaczenia w edukacji seksualnej młodych. Wszystko jest już w internecie. Na dobre i na złe.

Wiele informacji jest bezpruderyjnych i fachowych. Proponuję choćby wpisać hasło „penis” w Google. Są fotografie ukazujące, co się dzieje z męskim organem w stanie podniecenia, szokujące i dosłowne. I dobrze. PiS co prawda już coś majstruje przy internecie – życzę powodzenia, nie ma lepszej metody, by narazić się młodym, niż takie majstrowanie. Wracam do swojej dawnej tezy: uraz seksualny jest ważnym elementem zamkniętego i pełnego fobii świata naszej prawicy.

Nadal żywe, ale jakby słabsze nadzieje, że nasz prezydent odzyskuje podmiotowość, a to skłóci PiS. Wydaje się to bardzo niepewne, sam prezydent nie wie, co dalej, ale można wyczuć, że ma już ochotę potulnie wrócić na łono rodziny, która tak go wyniosła. Teraz wszystko w rękach prezesa – albo pogodzi się z tym, że Duda coś tam sobie pogmera na małej wysepce swojej niezależności, albo wojna. Prezydent mówi o planowanym referendum w sprawie zmiany konstytucji. Jego hasło to „Konstytucja dla obywateli, nie dla elit”. Obecna konstytucja jest więc podobno dla elit, a lud jest uciemiężony przez złą konstytucję, ona też blokuje ojczyście zdrowe soki, praw-

dziwą polskość, która z natury jest dobra i mądra. Przekleć ci profesorowie, naukowcy, artyści. Czy prezydent chce pozbawić nas zupełnie autorytetów? Nawet carom się nie udało, ale to była moc zewnętrzna, gdy zaś takie zamiary płyną z wewnątrz, są bardziej niebezpieczne. Autorytetem przewodnim ma być oczywiście Lech Kaczyński, wielki przywódca bohatersko poległy pod Smoleńskiem, ukryty, ale prawdziwy twórca Solidarności, on, a nie agent Wałęsa. Nie szkodzi, że Lech Kaczyński nawet nie był w Solidarności, był tak ważny, że nie ośmielono się go internować w stanie wojennym. Nie ma miejsca na obchodach rządowej Solidarności dla Wałęsy, Borusewicz, Frasińska, Piniora ani Wujca, nie ma miejsca dla Łozińskiego. I nie szkodzi, że to Borusewicz wymyślił strajk i pchnął do stoczni Wałęsę. Kiedyś zbierałem dotyczące tego świadectwa, Bogdan miał większy wpływ na ten strajk, niż się sądzi. To on go wymyślił, był jego reżyserem, Wałęsa na początku był tylko aktorem.

Teraz te polityczne potwory żerują na „gwałcie w Rimini”. Jakby w Polsce to się nie zdarzało. Ciągłe to podszywanie Polaków nienawiścią do obcych. Jeśli nie chcesz, by twoja żona została zgwałcona, głosuj na PiS. Obrzydliwość tej władzy nie ma granic. To pewnie złudzenie, bo czas

robi swoje, ale mam wrażenie, że wolałem już komunistyczną propagandę.

Bp Tadeusz Pieronek powiedział: „Mamy dyktaturę, to można się spodziewać wszystkiego. To jest pełzający system, który nigdy nie zostanie zaspokojony. Ma taki głód władzy, że będzie chciał ją mieć we wszystkich szczegółach ludzkiego życia”.

Czasami myślę o roli jednostek i przypadku w historii. Gdyby nie Kaczyński i jego paranoidalna osobowość, a też pewien rodzaj charyzmy – na mnie to nie działa, już wolę kotlet mielony, ale na miliony ludzi działa – Polska prawdopodobnie szłaby jednak do przodu drogą liberalną. Gdyby Kaczyński leciał z bratem jednym samolotem, gdyby pilot wstał nie lewą, ale prawą nogą... Skoro niemal wszystko w życiu prywatnym i publicznym jest przypadkiem, nawet nasza wolna wola opiera się na przypadku, to nasze istnienie jest absurdem. Dlatego tak wielu ludziom potrzebny jest Bóg. Ja sobie daję radę bez niego, chociaż z trudem.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Przedstawiamy fragment interesującej rozmowy, jaką z prof. Stephenem F. Cohenem, wybitnym znawcą Rosji, przeprowadził redaktor liberalnego internetowego magazynu „Slate” Isaac Chotiner.

KRYM – ŚPIĄCY PIES

Gdyby Krym znalazł się pod kontrolą NATO, Putin musiałby albo ustąpić, albo się zdecydować na wojnę

Dlaczego uważasz, że Trump, który, jak mi się wydaje, nie ma w zasadzie zielonego pojęcia o tym, co gdziekolwiek się dzieje, i nie może skupić uwagi na niczym dłużej niż przez 10 minut, miał zakodowane w głowie i ciągle powtarzał, że musimy stworzyć pokój z Putinem, że musimy z nim się dogadać, że Putin to dobry chłop? Jak to wyjaśnisz?

– No cóż, to jest sprymitywizowana wersja tego, co mówił Trump. Po pierwsze nie podzielam opinii, że Trump jest idiotą. Trump to zdolny, przebiegły, sprytny człowiek. Inaczej nigdy nie stałby się Donaldem Trumpem. Czy ma to zastosowanie także do jego prezydentury, to inna sprawa, ale traktowanie go jako bufona i idiotę jest po prostu głupie. Pozornie masz zupełną rację. To, co w Trumpie przerażało, to jego zupełne odejście od głównego nurtu amerykańskiego myślenia o Putinie, że jest to jakiś demon. Trump jako jedyny z licznej grupy kandydatów obu głównych partii wypowiedział te słowa – cytuję chyba dosłownie – „Czy nie byłoby wspaniale, gdybyśmy współpracowali z Rosją?”. Odpowiem, że nie tylko byłoby wspaniale, ale że jest to imperatyw. Powiedział również, że nie wie, czy Putin jest rzeczywiście zabójcą swoich osobistych wrogów. W tym też miał rację. Nie ma dowodów na poparcie tych posądzeń. Powiedział jeszcze, że Putin jest silnym przywódcą. To również jest prawda. **Mówisz więc, że znajdowani co chwilę w Moskwie martwi wrogowie Putina i ich zgony, które nie są przedmiotem właściwych dochodzeń, to nie są żadne dowody na to, że stoi za nimi Putin? To jest twój argument?**

– Zgadza się; on za nimi nie stoi. To nie są zabójstwa na jego rozkaz. **I wiemy o tym, ponieważ odbyły się uczciwe dochodzenia i są tam wolne media, które mogły o nich mówić? To chcesz powiedzieć?**

– Mówię, że ludzie dysponujący odpowiednią wiedzą ekspercką i niezależ-



STEPHEN F. COHEN

– emerytowany profesor uniwersytetów Princeton i New York

nością, którzy badali np. sprawę otrucia w Londynie Litwinienki, nie znaleźli dowodu na to, że Putin był w to zamieszany. Nie są to ani Rosjanie, ani Amerykanie. Są to po prostu ludzie dysponujący wiedzą na temat polonu. I nie masz racji, mówiąc, że w Moskwie nie ma wolnej prasy. Jest niewielka, zaangażowana wolna prasa w Moskwie. Razem z żoną jesteśmy bardzo bliskimi współpracownikami czołowego jej przedstawiciela, którym jest „Nowaja Gazeta”. Jest to gazeta, która zatrudniała Annę Politkowską i wielu dziennikarzy, którzy zostali zabici.

Kto zabił Politkowską?

– Nie wiem, kto ją zabił. Aresztowali tego, kto strzelał, ale nigdy nie dotarli do zleceniodawcy. Prawie na pewno zlecenie przyszło z Czeczenii. Prawie na pewno.

A kto kieruje Czeczenią?

– Wchodzisz na grząski grunt.

Wiesz, kto rządzi w Czeczenii i kto jest patronem tego, kto rządzi.

– Powiem tak: jeśli czytać schemat władzy federalnej, to Czeczenią kieruje Ramzan Kadyrow, a Putin może go usunąć.

OK, sam więc widzisz.

– Nie, nie. To dopiero początek dyskusji. Co by się stało w Czeczenii,

gdyby Putin usunął Kadyrowa? Putin ma teoretycznie dwie opcje: albo zostawia Kadyrowa przy władzy i próbuje ściągnąć lejce, albo armia rosyjska ponownie podejmuje próbę okupacji Czeczenii, która za panowania Jelcyna dwukrotnie zakończyła się katastrofą. To drugie jest niewykonalne. Jaki realny wybór ma Putin w tej chwili?

Czy po śmierci Anny Politkowskiej Putin nie mówił o niej w sposób urągający jej godności, nie powiedział, że miała „minimalny wpływ”?

– Pomyśl, że Putin kazał zabić Politkowską, a następnie złożył pod aktem zabójstwa swój podpis, przekracza próg śmieszności. Następnego dnia odbyła się konferencja prasowa i padło pod jego adresem pytanie o zabójstwo Politkowskiej oraz oskarżenia, że za tym zabójstwem stoi Kreml. I na to Putin odpowiedział w sposób, który jest może niepolityczny, niedyplomatyczny, ale co do istoty rzeczy prawdziwy. Nie pamiętam dokładnie, jakich słów użył, ale wymowa była taka: „Dlaczego mielibyśmy ją zabijać? Nikt w Rosji jej nie czytał. Nie miała wpływu w Rosji”. To, co powiedział, było w 95% prawdą. Bardzo niewiele osób poza zamkniętą klasą polityczną wiedziało, kim była Anna Politkowska.

Co zatem mówił Putin, gdy go pytano: „Dlaczego ją zabiłeś”? Odpowiadał: „A po co miałbym ją zabijać? Jaki miałbym powód?”. Pewnie nie powinien był tak mówić. Powinien powiedzieć coś w rodzaju: „Wiecie, Anna była wielką dziennikarką, jesteśmy w żałobie po jej śmierci, ale bądźmy poważni – nie była wpływową siłą w Rosji”.

Obecna zimna wojna jest jeszcze bardziej niebezpieczna niż poprzednia.

To zabrzmiałoby lepiej, ale Putin mówi w sposób bezpośredni, szczery do bólu, więc powiedział, co powiedział. **Wróćmy do tematu Putina i Ameryki. Jak sądzisz, dlaczego weszliśmy w nową fazę zimnej wojny?**

– W mojej opinii ta zimna wojna jest jeszcze bardziej niebezpieczna niż poprzednia. Gdy dzisiaj rozmawiamy, w świecie istnieją trzy nowe fronty, na których toczy się gorąca wojna. Nie było tak w czasie poprzedniej zimnej wojny. Znasz te fronty równie dobrze jak ja. Trwa rozbudowa obecności wojskowej NATO w rejonie Bałtyku; szczególnie na obszarach trzech małych państw nadbałtyckich, Polski oraz, jeśli uwzględnić instalacje obrony rakietowej, Rumunii. To wprost u granic Rosji. Następny front jest na Ukrainie. To zastępcza wojna domowa; także na granicy z Rosją. I trzeci – w Syrii, w której uzbrojone amerykańskie, rosyjskie i syryjskie samoloty latają nad tym samym terytorium, w jednej przestrzeni powietrznej. Na dodatek mamy do czynienia ze skrajną demonizacją Putina w USA, która zaszła daleko poza to, co amerykańskie elity polityczne kiedykolwiek mówiły o Chruszczowie, Breżniewie i całej reszcie. Jeśli demonizuje się drugą stronę, utrudnia się negocjacje.

Właśnie powiedziałeś, że na Ukrainie trwa wojna domowa. Czym więc była aneksja Krymu?

– To długa historia, ale to jest wojna domowa w tym sensie, że Ukraina jest państwem.

Co do tego się zgadzamy.

– Jest państwem i narodem, ale państwem, które przez długi czas było głęboko podzielone przez historię czy przez Boga. Mam na myśli podziały etniczne, językowe, religijne, polityczne. Jedna część skłania się w stronę Rosji, druga w stronę Zachodu. Mi-

liony Ukraińców i Rosjan żyją od lat w rodzinach mieszanych. Jest to kraj, w którym od zawsze tkwił potencjał rozpadu lub wybuchu wojny domowej. Wydarzenia z 2014 r., za które obie strony konfliktu ponoszą w wysokim stopniu odpowiedzialność, zainicjowały wojnę domową. Otoczenie Putina było całkowicie przekonane o tym, że przez Kijów NATO zmierzało na Krym. Gdyby Krym w jakikolwiek sposób znalazł się pod kontrolą NATO lub

innej formy organizacji będącej cieniem NATO, Putin musiałby albo ustąpić, albo zdecydować się na wojnę. Żaden przywódca rosyjski nie mógłby się utrzymać w obliczu takiej porażki. Po wydarzeniach na Krymie Gallup sporządził sondaż i okazało się, że połączenia z Rosją życzyło sobie 80% mieszkańców półwyspu.

Tłumaczysz sposób myślenia Putina i jego doradców. Zgadzam się, że jest to kontekst wart uwzględnienia, ale nie daje on nikomu prawa do inwazji na suwerenne państwo, niezależnie od wyników sondażu Gallupa.

– Spójrz na to realnie. Wielkie mocarstwa wygłaszają kazania o prawie międzynarodowym i robią to, co uważają za konieczne. A jeśli prowincja jakiegokolwiek kraju głosuje za niepodległością... Mieszkańcy Krymu

z pewnością właśnie to zrobili. Nie ma wątpliwości co do tego, że odbyło się legalne referendum. Ludzie mogą być troszeczkę skonfundowani co do tego, jaki był wybór.

Ale referendum odbyło się po wejściu Rosjan.

– Chwileczkę. Nie. Rosjanie już tam byli na podstawie traktatu. W bazie marynarki wojennej w Sewastopolu na Krymie było ok. 23 tys. żołnierzy rosyjskich. Jeśli więc była to inwazja, to tylko w tym sensie, że oni wyszli poza bazę na Krymie. Idea, że Krym jest częścią Rosji, żyła w tym kraju od wieków. Putin nigdy nie był nią zainteresowany. To był śpiący pies, który nie powinien zostać zbudzony, ale wydarzenia z roku 2014 go obudziły. Gdy do tego doszło, zajęcie Krymu, który przez 300 lat przynależał do Rosji, stało się prawie nieuniknione.

Dzisiejszy Pakistan bardzo długo był częścią Indii. Nie znaczy to jednak, że Indie mogą wjechać jutro do Lahore i przyłączyć je do siebie.

– Podążając za twoją logiką, wylądujemy w Teksasie. We współczesnej historii trzeba stać na gruncie pamięci liderów.

Ty i ja skończymy w Teksasie?

– Chyba rozumiesz, co mam na myśli. Teksas nie należał do nas od zawsze. Chodzi o to, jak daleko w historii mamy się cofać.

Przekład Jarosław Dobrzański



HAWANA CIĄGLE POD GÓRĘ

Kuba to jedyny kraj świata walczący z bogactwem, a nie z biedą obywateli

Lech Miodek

Wbrew oficjalnym danym rządowym gospodarka kubańska jest daleka od wyjścia na prostą. Sytuację pogarszają kryzys polityczny i wydarzenia w Wenezueli, która jest największym partnerem handlowym Kuby. Do takiej konkluzji doszli uczestnicy spotkania Stowarzyszenia Badań nad Gospodarką Kubańską, które odbyło się w lipcu w Miami, z udziałem ekonomistów amerykańskich i – co zaskakujące – kubańskich z wyspy.

W ostatnim czasie zmniejszyły się dostawy wenezuelskiej ropy naftowej na Kubę i spadły płatności Caracas za usługi medyczne coraz mniejszej liczby kubańskich lekarzy pracujących w Wenezueli. Kuba ma wysoki deficyt obrotów handlowych i rosnące zadłużenie, które może osiągnąć 12% PKB. Mimo to ekonomista kubański Omar Everleny Pérez uważa, że sytuacja z lat 80. się nie powtórzy. Wtedy, po wstrzymaniu pomocy ze Związku Radzieckiego, PKB Kuby spadł o 38%. Dochodziło do częstych wyłączeń prądu. Teraz byłoby to bardzo ryzykowne. Oznaczałoby ciemności w Hawanie, uciążliwe również dla turystów. Pavel Vidal z Uniwersytetu Javeriana w Cali (Kolumbia) też uważa, że nie dojdzie do powtórki z lat 80., bo gospodarka wyspy jest bardziej zróżnicowana. Niewiadomą jest natomiast głębokość kryzysu i jego wpływ na społeczeństwo.

Już wiosną 2016 r. wprowadzono na Kubie nadzwyczajne oszczędności. Zmniejszono wymiar godzin pracy i wprowadzono nakaz wyłączenia klimatyzacji. Wobec kłopotów z dostawami z Wenezueli z pomocą Kubie przyszła Rosja, przysyłając 249 tys. baryłek ropy w ramach porozumienia Rosnieftu z wenezuelskim producentem i eksporterem ropy PDVSA. W czasie niedawnej sesji Zgromadzenia Narodowego Kuby minister

gospodarki Ricardo Cabrisas powiedział, że w pierwszej połowie tego roku gospodarka wzrosła o 1%, podczas gdy rok ubiegły zakończył się jednoprocentowym spadkiem w stosunku do roku 2015. O tegorocznym wzroście zdecydowały turystyka zagraniczna i zbiory trzciny cukrowej, chociaż eksport spadł o 27%. Minister nie do-

dał, że istotnym elementem wzrostu PKB były transfery pieniężne z USA, których wysokość w 2016 r. jest oceniana na 3,4 mld dol. Według Havana Consulting Group (THCG) z siedzibą w Miami to nowy rekord. Powodem wzrostu była głównie zwiększona migracja Kubańczyków do USA. Na 80 tys. ludzi, którzy wyjechali z wyspy w 2016 r., w Stanach zatrzymało się, według danych amerykańskich, ponad 50 tys. Zaskoczeniem był wzrost liczby wyjazdów do USA na pobyty dwu- i trzymiesięczne do pracy w rolnictwie, przetwórstwie lub w opiece nad chorymi. Według danych THCG w poszukiwaniu pracy przyjeżdża do USA ok. 30 tys. Kubańczyków.

Reformy gospodarcze zapoczątkowane w 2010 r. nie przyniosły jeszcze rezultatu. Decyzje nadal podejmowane są centralnie. Na aprobatę czeka ok. 400 zagranicznych projektów inwestycyjnych w telekomunikacji i w sektorze prywatnym. Zapowiadane regulacje finansowe i prawne sprowadzają się do zwiększenia kontroli nad inicjatywą prywatną. Według opublikowanych przez partię i rząd planów rozwoju celem Kubańczyków nie może być bowiem bogactwo osobiste. Kuba byłaby więc jedynym krajem walczącym z bogactwem, a nie z biedą obywateli.

Władze wydały do tej pory 543 tys. pozwoleń na działalność na rachunek własny. W sierpniu rząd Raula Ca-



W sierpniu rząd wstrzymał wydawanie nowych pozwoleń m.in. na otwieranie barów i kawiarenek.

stro wstrzymał wydawanie nowych pozwoleń na szczególnie lukratywne rodzaje działalności: otwieranie barów, kawiarenek, sprzedaż owoców i warzyw, wynajmowanie mieszkań turystom, remonty i programowanie aplikacji mobilnych. Nie będzie się udzielać również nowych pozwoleń na zajęcia muzyczne i korepetycje. Władze twierdzą, że rozporządzenie ma charakter okresowy, a celem jest „uporządkowanie” sektora prywatnego.

Rosną nierówności społeczne. Według ekonomisty Carmela Mesy-Laga zdolność nabywczą Kubańczyków w stosunku do 1989 r. spadła do 60%, a społeczeństwo starzeje się coraz bardziej i wymaga zwiększonej opieki medycznej, której państwo nie może zagwarantować.

Gdyby rządowi Madura w Wenezueli udało się utrzymać, Raul Castro i jego następcy zyskaliby więcej czasu na przeprowadzanie reform. Przegrana Madura byłaby wstrząsem dla Hawany. Ocenia się, że mogłoby to doprowadzić do spadku kubańskiego PKB o 20-25%. Z drugiej strony Maduro liczy na Kubę i jej ogromne doświadczenie w politycznym trwaniu. „Nie jesteście sami – oświadczył Raul Castro w marcu w Caracas. – Towarzyski i towarzysze, dzisiaj w Wenezueli toczy się decydująca batalia o suwerenność, emancypację, integrację i rozwój naszej Ameryki”.

Pon jest taki, a ja taki

Edward Mikołajczyk

Jakiś czas temu w pewnej komisji żywego słowa szukałiśmy dobrego cytatu do konkursu oratorskiego. Dodam dla powagi, że obrady odbywały się w Pałacu Staszica, siedzibie PAN. Pamiętam, że proponowałem limeryk Barańczaka o „Terapeutce z Dąbrowy Górniczej”. Od lat mam go na twardym dysku w głowie: „Grzęznąć w życia zjełczałej ośelce / Terapeucę wciąż i terapeucę”. Chodziło mi o wprowadzenie do konkursu nuty egzystencjalnej. Ale przyszedł Jerzy Radziwiłowicz i zaszachował wszystkich Wyspiańskim: „Pon jest taki, a ja taki”. To zdanie ze słynnej kwestii Czepca, która tak się zaczyna: „Ptok ptakowi nie jednaki, człek człekowi nie dorówna”, a wiadomo, że kończy się do rymu. I wygrał, bo chcieliśmy, żeby pluralizm i różnorodność tematycznie zdominowały konkurs.

„Wesele” już chyba na zawsze będzie dla nas największą wypożyczalnią skrzydlatych słów. Od ponad stu lat, aż po dzień dzisiejszy, sprawdza się też jako dyżurna, narodowa apteka dla Polaków. Nie mógł więc prezydent Andrzej Duda wybrać lepszej lektury do narodowego czytania we wrześniu 2017 r. I już chciałem pogratulować naszemu pierwszemu wśród równych, kiedy na stosownym zaproszeniu na stronie Kancelarii Prezydenta RP przeczytałem, że to nie on osobiście namaścił Wyspiańskiego, ale Wyspiański został wybrany w głosowaniu. Kto głosował za, a kto przeciw, nie wiadomo, ale wybrano dobrze i teraz już od samego prezydenta zależy, jakie dla siebie wybierze miejsce w niezwykle bogatej tradycji interpretacyjnej narodowego dramatu.

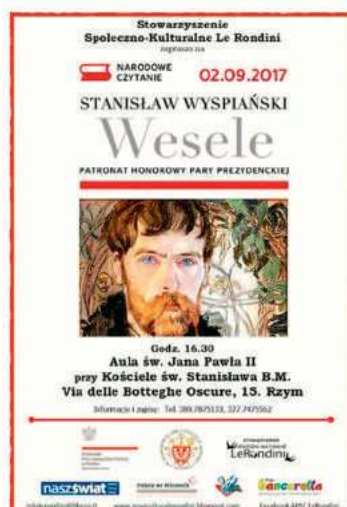
Dzisiaj, w poniedziałek 4 września, kiedy ten numer PRZEGLĄDU właśnie zaczyna wylegiwać się w kioskach, jest już po weselu, a ja piszę ten tekst w środę 30 sierpnia i choćbym chciał, nie mogę być mądry. Słyszę, jak szaleją wszystkie stacje Polskiego Radia. Takiego pobudzenia i erupcji pomysłów dawno nie było w naszym eterze. Czwórka zapowiada na Facebooku konkurs na najlepsze tłumaczenie wybranego cytatu z „Wesela” na

język dzisiejszej młodzieży. Pewnie w finale starli się pani profesor Halina Zgółkowa z Bartkiem Chacińskim, jeżeli oczywiście wzięli udział w zabawie. Beata Michniewicz zażyczyła sobie, żeby każdy z tych mądrych politycznych, którzy przychodzą do niej w sobotę na „Śniadanie w Trójce”, przyniósł zamiast, jak dotychczas, cytatu z ulubionego wodza – ulubiony cytat z Wyspiańskiego. Szykuje się dobry materiał dla terapeutów i szyderców.

Najboleśniej przeżywam, że nie wiem, jak to się skończyło. Na sobotę, 2 września wieczorem, zapowiadana była uroczystość z udziałem prezydenta, ale nie wiem, czy on tylko przybył, czy był ostatnim lektorem tekstu. W tej drugiej roli właśnie miałby wielką, by nie powiedzieć proroczą szansę. „Nic nie słyszę, nic nie słyszę, ino granie, ino granie, jakieś ich chyciło spanie...?!”, mówi Jasiek u Wyspiańskiego. Prezydent mógłby wreszcie przerwać ten najnowszy chocholi taniec Polaków, a choćby tylko uciszyć grajka. Wiele dobrego można by sobie obiecywać po zakończeniu „Wesela” z udziałem człowieka, który co prawda nie ma tyle scenicznej śmiałości co Jan Kłata, za to ma najwięcej władzy.

Narodowa telewizja nie przejęła się narodowym czytaniem. Misję TVP 2 będzie w nowej ramówce nakręcać „Koło Fortuny”, nareperowane po latach zaniedbań poprzednich grup trzymających władzę w kasynie. W TVP 1 Polacy będą żyli dramatem Melek i doprawdy nie wiem, dlaczego mój komputer ciągle na czerwono podkreśla to imię! Pani domu odprawia tę biedną służącą, której właśnie zmajstrował dziecko jej synalek, to znaczy syn pani domu, ale on o tym nie wie i zadaje się z inną, kiedy na świat przychodzi Elif. Komputer podkreśla także to imię, ale sam bym to zrobił, bo nie wiem, czy to chłopak, czy dziewczynka. Czy Veysel ją dopadnie, a Melik zabije Aliye?

Gdyby Stanisław Wyspiański nie wypalił, proponuję do narodowego czytania na rok przyszły Jarosława Kaczyńskiego. Chodzi mi o antologię modlitw tego autora wygłoszonych podczas miesięcznic. Prezydent ma prawo do takiego wydawnictwa, bo to pod jego zakładem pracy odbywały się te cykliczne nabożeństwa.



Prezydent mógłby przerwać najnowszy chocholi taniec Polaków, a choćby tylko uciszyć grajka.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BEZPŁATNY

NEWSLETTER



ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Jeśli nie, to można to zrobić na stronie www.tygodnikprzeglad.pl, podając swój adres e-mail lub dzwoniąc do redakcji, tel. 22 635 84 10 wew. 111.

Dostając newsletter, w każdy poniedziałek otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY
W KONTAKCIE!



Rozmawia Dorota Kowalska

Taki twardy facet jak pan to po pracy może albo latać, albo rozrabiać.

– Tak było kiedyś. Teraz jestem starszym panem, jak mówią koledzy. Ale nasze pokolenie jest w lepszej formie niż pokolenie naszych rodziców. Jakkolwiek by patrzeć, oni dostali strasznie w tyłek, są najbardziej przegrani. Chociaż z nami też nie jest lepiej.

Dlaczego jesteście przegranym pokoleniem?

– Byłem pracownikiem wywiadu PRL, ale niektórzy mówią, że nie było wywiadu w PRL, tylko ekspozytura wywiadu sowieckiego. Zredukowano nam emerytury, uznając, że są one przywilejem, odbierając nam możliwość normalnego funkcjonowania. Szczególnie ci ludzie, których jest łatwo rozpoznać, którzy pełnili jakieś funkcje, mają kłopoty z tym, żeby pracować. Ciągłe jesteśmy piętnowani. Ciągłe się mówi, że jesteśmy

chodziła. Któregoś pięknego dnia, już nie pamiętam, czym podpadłem, ale ojciec za karę zgolił mi włosy. I powiedział: „Od dzisiaj koniec ze sportami, za karę będziesz latał”. Ojciec był wtedy kierownikiem aeroklubu poznańskiego. Zabrał mnie, miałem wtedy 14 lat, na lotnisko. Tyle że latać można było dopiero od lat 16. Więc ojciec załatwił mi zgodę, żebym mógł się szkolić; nie zdawał sobie sprawy, że to mnie wciągnie. (...)

Gdzie się pan szkolił?

– W nowo otwartym ośrodku w Gnieźnie, to była filia aeroklubu poznańskiego. Właśnie tam nauczyłem się latać. Na początku szło mi średnio. Uczyliśmy się na czapli, lataliśmy za wyciągarką. To było takie wojskowe szkolenie. Kilka miesięcy temu opowiedziałem ministrowi Macierewiczowi, jak ten system szkole-



GEN. GROMOSŁAW CZEMPIŃSKI

NORMALNIE BYM POLECIAŁ

Kiedy dopadał mnie stres, brałem samolot czy szybowiec i leciałem, żeby zapomnieć o tym, co jest na dole

tymi złymi, którzy spowodowali, że tak, a nie inaczej żyło się w tamtych czasach. Nikt się nie zastanawia nad tym, że po 1970 r. cały kraj uwierzył w to, że będzie inaczej. Wstąpiłem do wymarzonego wywiadu właśnie z tego powodu.

Skąd w pana życiu wzięły się służby specjalne?

– Przypadek. Moją pasją było i jest lotnictwo. Mój ojciec miał kolegów, którzy służyli w wywiadzie. I miałem to szczęście, że jako młody chłopak słuchałem często ich opowieści. Zamykali się w pokoju i opowiadali różne historie, a ja podsłuchiwałem. (...) Właściwie pierwszy mój pomysł na życie był taki, żeby zostać żołnierzem. (...) Poza tym należałem do harcerstwa, lubiłem się bawić w podchody. Mówiono, że mam do tego smykałkę. (...)

Już wtedy myślał pan o wywiadzie?

– Wtedy jeszcze nie. Drugą moją pasją był sport. (...) Do nauki przykładałem się średnio, ale łatwo mi przy-

nia kiedyś wyglądał, bo wtedy było lotnicze przysposobienie wojskowe I, II i III stopnia. W I stopniu masowo uczono młodzież latania na szybowcach. To była bardzo dobra procedura, bo nauczyliśmy się latać bez silnika. II stopień to były już samoloty. W tamtych czasach często się zdarzało, że w samolotach zawodził silnik, ale jeśli ktoś potrafił latać na szybowcach, to się tym za bardzo nie przejmował, bo i tak dał radę wylądować – taki był zamysł tego programu. III stopień to już było zaawansowane szkolenie przed wojskiem. Przeszedłem tylko I stopień i to też zaważyło na mojej dalszej decyzji. Do drugiego etapu nie zostałem zakwalifikowany. Musiałem dorosnąć. Mieć 17 lat.

Ale pan w końcu dorósł, to co się stało, że pan się dalej nie szkolił?

– Nie mieściłem się w limicie wzrostu. Limit wynosił 1,85 m, a ja miałem 1,87 m, a za chwilę 1,90 m. Pierwszy rok szkolenia to była nauka samodzielnego latania oraz loty ter-

miczne. Zrobiłem srebrną odznakę w wieku 15 lat. (...)

Co pan czuje, jak pan lata?

– Zachwyca mnie tym, że panuję nad maszyną, która leci, unosi się w powietrzu. Mogę z nią robić, co zechcę, ale zarazem muszę walczyć o to, aby przetrwać w górze. Ciągłe muszę dbać o wysokość, kalkulować, gdzie polecieć, zastanawiać się, jakie

Moją pasją było i jest lotnictwo.

wybierać chmury po trasie. Dlatego ważne, aby cały czas uczyć się taktyk i meteorologii. Oczywiście był moment załamania czy raczej strachu. Wzięli mnie swego czasu na pierwszy samodzielny lot za samolotem. Kiedy lataliśmy z instruktorem, mieliśmy dobre warunki, ale kiedy poleciałem pierwszy raz na termikę na muszce, myślałem, że to mój koniec. Tak rzuciło szybowcem, nie mogłem go opanować. Spociłem się i mówię:

„Boże, przecież to piekło”. Okazało się, że to była kwestia wprawy. Żle reagowałem. (...)

Po pewnym czasie nauczyłem się, co należy robić, żeby sobie radzić. Latanie za samolotem było fajną sprawą, to było nowe, ciekawe wyzwanie. Spodobało mi się, pasjonowało mnie szukanie kominów, wznoszeń. Teoretycznie trzeba było lecieć do 300 m nad ziemię, a potem

nie dawali pieniędzy. W każdym razie, żeby skrócić tę opowieść, ZMS poradził, żeby założyć koło.

No to je założyliśmy! I dostawaliśmy pieniądze. Przesunęliśmy się na drugie, trzecie miejsce w krajowych rankingach. Żyliśmy lataniem. (...) Ojciec, który był kierownikiem aeroklubu, stwarzał nam odpowiednie warunki. Był dumny z tego, że raptem aeroklub poszedł tak do góry. (...)

Latałem niebezpiecznie. Uznałem, że się zabiję.

z definicji szukać i wybierać pole do lądowania, wreszcie lądować. Sztuką było, żeby wiedzieć, w którym miejscu utworzy się komin, którym pójdzie się do góry. Na zawodach chodzi o to, żeby nie spaść, wylądować, a zarazem by przelecieć wyznaczoną trasę w najkrótszym czasie lub osiągnąć największą odległość. (...)

A robił pan uprawnienia na samoloty silnikowe?

– Tak, kolejnym etapem były oczywiście silniki, ale przez samoloty przestałem latać.

Dlaczego?

– Bo latałem niebezpiecznie. Uznałem, że się zabiję. Sam doszedłem do wniosku, że to nie dla mnie. W każdym razie...

Ale niech pan o tym opowie!

– Najpierw dokończę z tymi szybowcami. Powoli wciągałem się w tzw. latanie wyczynowe, czyli wyścigi. Po chwili byłem już jednym z najlepszych młodych szybowców. Zacząłem organizować obozy wyczynowe. Nie mogłem się pogodzić z tym, że Poznań jest średnim aeroklubem, jeśli chodzi o szybowce. Na czele była Warszawa, Wrocław, te dwa miejsca się właściwie liczyły. (...) Zacząłem organizować obozy, zarazem pasją latania młodych adeptów. Stałem się ich nieformalnym liderem. Z czasem zaczęliśmy tworzyć stajnię wyścigową i latać wyczynowo.

Skąd mieliście na to pieniądze?

– Na obozy sportowe dostawaliśmy od Związku Młodzieży Socjalistycznej. Jego działacze mówili do mnie: „Tak, ale wie pan, nie macie organizacji. Komu mamy te pieniądze przelać?”. „A od kogo jeszcze mogę dostać pieniądze?”, pytałem. „Może od Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej”, słyszałem w odpowiedzi. Ale tam na takie rzeczy

Pan to wszystko trzymał w kupie?

– Tak. Atmosfera na lotnisku była świetna. W każdym razie podczas trzeciego roku latania zdobyłem dwa diamenty. Najwyższe odznaczenie w lotnictwie to są trzy diamenty. Ale żeby zdobyć diament, trzeba wcześniej zrobić srebrną odznakę, zrobiłem ją w pierwszym roku latania. Srebrna odznaka to przelot 50 km, pięć godzin w powietrzu i 1000 m przewyższenia. Od momentu wyczepienia trzeba nabrać 1000 m wysokości. I trzeci warunek, trzeba się utrzymać w powietrzu pięć godzin. To było najtrudniejsze.

Pierwszego roku zdobyłem srebrną odznakę. Drugi krok to złota odznaka. Na nią trzeba przelecieć 300 km, plus 3000 m przewyższenia. Zdobylem złotą odznakę. Nie tylko, zdobyłem od razu dwa diamenty. Zrobiłem przelot zamknięty – docel, powrót – 500 km.

Przeleciał pan na szybowcu 500 km?

– Tak. Dzisiaj to żaden wyczyn, ale wtedy to było coś! Mogę powiedzieć tylko jedno: mogłem to zrobić podczas drugiego roku po przeszkoleniu, ale zabrakło mi 30 km. Zlekceważyłem ostatnie noszenie, które miałem pod Hajnówką. Jakbym się utrzymał w tym noszeniu, tobym te 30 km doleciał. Nie byłem pewny, czy przeleciałem już te 500 km, czy nie. Wyszedł ten mój charakter – zabrakło cierpliwości.

Pan to wszystko pamięta?

– Tak! To były przeżycia. Pierwszy przelot na taką odległość. Zabrakło mi może 25, może 30 km. Nie udało mi się. Ale w kolejnym roku zrobiłem przelot po trasie zamkniętej powyżej 300, przelot 500, to jest diament. I brakowało mi przewyższenia 3000 i 5000 na trzeci diament. W drugim roku miałem srebrną odznakę z dwoma

diamentami. Brakowało mi trzeciego diamentu. Zrobiłem też trzeci. 5000 m to nieproste przewyższenie. Ale zmierzam do tego, że zrobiłem, w tamtym czasie to był trudny przelot, 500 km po trasie zamkniętej, czyli dwa diamenty w jednym locie (miałem wrócić do miejsca startu po przelecieciu przynajmniej 300 km). (...)

Dlaczego było wiadomo, że do lotnictwa pan nie pójdzie?

– Bo byłem za wysoki. Nie zakwalifikowano mnie. Szkoliłem się poza lotniczym przysposobieniem wojskowym. Na samolocie CSS13. Kiedy nauczyłem się na nim latać, to po prostu, jak by to powiedzieć, odbiło mi. Zacząłem szaleć na tym samolocie. Wyczyniać cuda.

Ale jakie cuda?

– Latałem bardzo nisko – między drzewami, z ostrymi przechyłami samolotu. Szaleństwo jakieś.

Lubił pan szpanować?

– Nikt mnie nie podziwiał. Przecież jak leciałem niziutko nad polem, to kto to widział? Nikt. To było coś innego – po prostu roznosiło mnie w powietrzu. Jak się lata nisko, to czuć tę prędkość. CSS13 wyciągał jakieś 140 km na godzinę, niby żadna prędkość, ale zawsze coś. Miałem

Po prostu roznosiło mnie w powietrzu. Jak się lata nisko, to czuć tę prędkość.

takiego kolegę, przyjaciela świętej pamięci, który wielokrotnie mnie prosił, żebym poleciał z nim do jego dziewczyny albo mamy. I żeby jego mamie zaimponować, robiąc odpowiedni zakręt, musiałem skrzydło włożyć w bramę i wlecieć między otwarte drzwi zagrody. Szkoda słów, co wyczyniałem! Głupi byłem i nieodpowiedzialny.

Takie rzeczy pan wyprawiał?

– Tak. Czułem, że umiem latać. Ale przyszedł taki moment, refleksja, dwie historie – otrzeźwiałem. Pierwszy raz leciałem do swojej dziewczyny.

Jakie romantyczne, samolotem do dziewczyny!

– Prawda? To było miejsce, gdzie właściwie nie wolno było latać. Więc co mogłem zrobić? Lecieć bardzo nisko, żeby mnie radary nie wychwyciły. Leciałem przytulony do ziemi, ale co pewien czas trzeba było przeskoczyć nad drzewami i drutami. W pewnym momencie podnoszę się ▶

► nad drzewami przy drodze i od razu nurkuję w dół. I w tym samym momencie nie wiem, co się dzieje – setki ptaków wokół. Wyrwam przerażony do góry. Okazało się, że wleciałem w fermę kur. Skrzydła, nogi, wszystko na pałkach powieszane... Poleciałem zaraz na lotnisko, bo nie wiedziałem, co się stało. Wylądowałem, nic nie powiedziałem. „Kto leciał

wałem, ciągnę do góry – samolot nie słucha. Ciągnę z całej siły, nie słucha. Mówię: „Koniec”. Skurczyłem się, czekając na ten koniec, na uderzenie. W ciągu ułamka sekundy całe moje życie przeleciało mi przed oczyma, wszystko. I na koniec: „Idiot, przecież ci mówiłem, nie wsiadaj więcej do samolotu”. Otwieram oczy. „Tak się idzie do nieba”, pomyślałem.

Gen. Gromosław Czempirski w latach 1999–2012 był prezesem Aeroklubu Warszawskiego, a od 2005 r. do 2010 r. – prezesem Aeroklubu Polskiego.



Szkoda słów, co wyczyniałem. Czułem, że umiem latać.

tym samolotem?”, słyszę za chwilę. Wszyscy milczą, cisza. „Gadać, kto leciał!”. Zapisane było, że ja. „Jakie miałeś zadanie?”, pyta mnie szef techniczny. Mówię, że robiłem taką a taką trasę. „Na jakiej wysokości leciałeś?”. „Na 400 m”. „Na 400 m? A skąd te ogony, łapki, pióropusze?”. „Wpadłem w stado wron”. Na 400 m? Śmigło uszkodzone, płat uszkodzony, coś tam uszkodzone. Zawieszony na tydzień. Do egzaminu. Myślę: „Boże. Nieodpowiedzialny jestem”.

Druga historia była taka, że kiedy pewnego razu leciałem szybowcem, nie doleciałem do celu i wylądowałem w Pobiedziskach. Niedaleko sióstr zakonnych. Nie pamiętam, jak te siostry zakonne się nazywały, ale podjęły mnie wyjątkowo gościnnie. Wspaniale się wśród nich czułem. Poczestowały mnie niesamowitą kawą, którą potem próbowaliśmy robić u siebie w aeroklubie. Postanowiłem się odwzajemnić za gościnę i kiedy nadarzyła się okazja, żeby polecieć do siostrzyczek, natychmiast z niej skorzystałem.

Wyznaczyli mnie na pilota bezpieczeństwa dla kolegi, który robił ślepakę, czyli lot bez widoczności. Miał zastąpioną kabinę, a ja leciałem z przodu jako pilot bezpieczeństwa. Lecimy, znikamy z lotniska. On odsłania kabinę i mówi: „Pokaż, jak lataasz, bo wszyscy opowiadają legendy na ten temat”. No to poleciliśmy do sióstr. Ten klasztor tak był zbudowany, że miał podwórko, z jednej strony stał tam wysoki budynek, a na drugim końcu dwie wieże. Postanowiłem zmieścić się między wieżami, zejść w dół nad podwórkiem i wyciągnąć w górę tuż przed tym dużym budynkiem. Jak postanowiłem, tak zrobiłem. Przechyliłem na dużej prędkości samolot, poszedłem w dół, wyprosto-

Byłem pewien, że nie żyję. Raptem czuję uderzenie po plecach, odwracam się do tyłu – kolega klepie mnie po plecach z zachwytem. Do dzisiaj nie wiem, co się stało. Cud i tyle. (...)

Do tej pory pan nie lata?

– Dziś latam głównie na samolotach. Ale wtedy postanowiłem przerwać latanie i poświęcić się tylko szybowcom. (...)

Kiedy pan wrócił do samolotów?

– Dopiero w roku 1994. Latałem cały czas na szybowcach, oczywiście zrobiłem trzeci dyament w 1964 r., byłem wtedy najmłodszym posiadaczem trzech dyamentów w Europie i chyba 350. na świecie. Bo Polacy przodowali w lataniu na szybowcach. W pewnym czasie zacząłem latać do Leszna, to była kolebka polskiego szybownictwa. Raz poleciało nas tam pięciu, najlepszych z Poznania. Chcieliśmy się trochę posprawdzać z tamtymi chłopakami. A wtedy było zgrupowanie polskiej kadry w Lesznie. Ku mojemu miłemu zaskoczeniu, bo nie byłem członkiem kadry, ale Józef Dankowski, legenda polskiego szybownictwa, trener kadry narodowej, mówi: „Masz na dzisiaj zefira”. To było wyróżnienie, bo tylko kadra

35 km przed Leszmem, na dolocie. Ciesza zapadła w radiu. Wszyscy zamilkli. Lecę, lecę, dolatuję, patrzę, a moi koledzy na taśmie skaczą z radości. Co się okazało? Drugi zefir wylądował 45 minut po mnie. To jest niewyobrażalna różnica. Następną foką – godzinę piętnaście.

Był pan lepszy od kadrowiczów?

– Tak, to było niesamowite. No to postanowiono mi odebrać tego zefira (śmiech). (...)

Starał się pan o pracę w wywiadzie?

– Tak. Ale pozostałmy jeszcze przy lataniu, przeżyłem w zwią-

Zaproponowano, żebym pokazał Amerykanom polską szkołę latania. Ale FBI na to nie pozwoliło. W górze tracili nade mną kontrolę.

latała na zefirach. Dostaliśmy zadanie – trójkąt kilometrów: Leszno – Poznań – Zielona Góra – Leszno. Dwa zefiry. Członkowie kadry i ja. Reszta na 15 fokach. Moi koledzy pozostali na taśmie, w miejscu, skąd się startuje, im nie pozwolono lecieć, tylko mnie. Zaraz po starcie nasze drogi się rozeszły. Leciłem cały czas sam, a kadrowicze grupą, słyszałem, jak współpracują ze sobą. Ja milczałem. Wreszcie mówię, że zefir taki i taki,

ku z nim masę przygód. Pewnego dnia wylądowałem pod Hajnówką, to było w 1961 r. Sensacja – szybowiec wylądował we wsi. Przyszli do mnie chłopcy. Już nie pamiętam, chyba 16 lat miałem wtedy. Mówią do mnie: „Zaprowadzimy pana do gospodarza”. To był najbogatszy człowiek, u niego pracowali wszyscy, odrabiali tak jakby pańszczyznę. Zaprowadzili mnie do niego, a on od progu: „To którego chcesz koguta?”.



„Jak to, którego koguta?“, dopytuję. „No, wybierz sobie na kolację“, mówi. W tamtych czasach normą był chlebek, ledwo margaryna, czasem szynka na święta – szkoda słów. Siedzieliśmy przy jednym stole. Byłem gościem specjalnym, opowiadaniom nie było końca. Drugi szok – spałem z nimi w jednym łóżku.

Co?

– No tak. Gospodarz spał po jednej stronie, żona pośrodku, ja po drugiej stronie. To był dla mnie szok.

Ale co, łóżek w domu więcej nie było? Czy jak?

– Pewnie były. Nie wiem, czemu musiałem spać z nimi. W każdym razie nie spisałem się (śmiech). Skrępowany byłem straszliwie całą sytuacją. Na drugi dzień rano przychodzi do śniadania, a gospodarz pyta: „Mendel jaj wystarczy?“. „Znaczą...“, nie wiedziałem, o co mu chodzi. „Chłopie, to dlatego tak wyglądasz“, westchnął tylko, że niby taki chudy jestem. (...)

A jak się pan w ogóle pod tą Hajnowką znalazł?

– Miałem zrobić 500 km, ale nie dałem rady. (...) Ale wracając do tematu – zakwalifikowałem się na mistrzostwa Polski, ale byłem już w wy-

wiadzie. Nie miałem jak trenować, nie latałem. W maju były mistrzostwa, a myśmy mieli jakieś ćwiczenie w wywiadzie. Zapytałem w szkole, czy mogę pojechać na mistrzostwa Polski. A oni, że tak, ale zadanie muszę wykonać. (...) Bez treningu zająłem w pierwszej konkurencji drugie miejsce. Następnego dnia – trzecie miejsce. Wyniki były podawane w prasie. Czwartego dnia było szóste miejsce. Dobrze mi szło. Ale potem była przerwa, musiałem zrealizować zadanie w Inowrocławiu. Dostałem nazwisko faceta i trzeba było ustalić wszystko na jego temat, nie posługując się żadnymi dokumentami. Opuściłem dwie konkurencje. W kolejnej poleciałem źle, byłem rozkojarzony i straciłem jakoś motywację do dalszego latania. **Nie bał się pan kłopotów w wywiadzie?**

– Bałem się. Napisali o mnie w gazetach, wiedziałem, że będę miał kłopoty. Bo najważniejsze, żeby ukryć tożsamość własną. I jak wróciłem, usłyszałem: „Wie pan, jeśli ludzie dojdą do wniosku, że to pan, to stracił pan tożsamość, będzie się pan musiał z nami pożegnać. Latanie albo wywiad“. To był mój ostatni lot, już nie latałem na szybowcach. Prze-

rwa w lataniu trwała tyle, ile praca w wywiadzie.

Mogę opowiedzieć jeszcze jedną ciekawą historię. Poleciałem do Chicago. Przez rok byłem tam wicekonsulem. Zdradził mnie kolega, nas, cały rocznik zdradził, uciekł za granicę. W związku z tym zostałem odwołany. W Chicago ludzie wiedzieli, że jestem pilotem, wiedzieli, że to moja pasja. Chcieli mi zrobić przyjemność, więc wzięli na lotnisko. Z instruktorem amerykańskim wsiadłem do szybowca. Polataliśmy razem, zobaczył, co umiem, i mówi: „Niech pan sobie leci sam“. Przy okazji spytał mnie, który jestem w Polsce, odpowiedziałem, że może 20., może 30. Na co on: „Jak pan jest 20. czy 30., to ja się nie dziwię, że wy jesteście tak wysoko w szybownictwie. Nikt w naszym klubie nie potrafiłby panu dorównać“. Taką mieliśmy szkołę latania. Lataliśmy szybko, z wyczuciem. Instruktor był zachwycony. W każdym razie na tym lotnisku zaproponowano mi, żebym od czasu do czasu polatał z amerykańskimi pilotami, pokazał im polską szkołę latania, za co będę mógł latać za darmo. Ale już mi na to FBI nie pozwoliło. Jak byłem w górze, tracili nade mną kontrolę (śmiech). W każdym razie przestałem latać. (...)

Panie generale, a nie jest też trochę tak, że latanie to ucieczka od problemów?

– Pewnie, że tak. Pamiętam, jak byłem w Genewie – dostawałem pocztą instrukcje, zadania do wykonania. Czasami tak strasznie mnie wkurzało to, co przeczytałem, że wsiadałem w samochód, jechałem w górę, krzychałem, jeździłem jak szalony, by odreagować te głupoty w instrukcjach. Normalnie bym poleciał. Często tak było. Kiedy dopadał mnie stres, jechałem na lotnisko, brałem samolot czy szybowiec i leciałem w górę, żeby zapomnieć o tym, co jest na dole. Tyle rzeczy mnie bolało i wkurzało. (...)

Warszawa, 29 września 2016 r.

Tytuł, skróty i ilustracje pochodzą od redakcji.

Fragmenty rozmowy z książki Doroty Kowalskiej *Pasjonaci. Rozmowy o tym, co w życiu ważne*, Wydawnictwo Melanż, Warszawa 2017

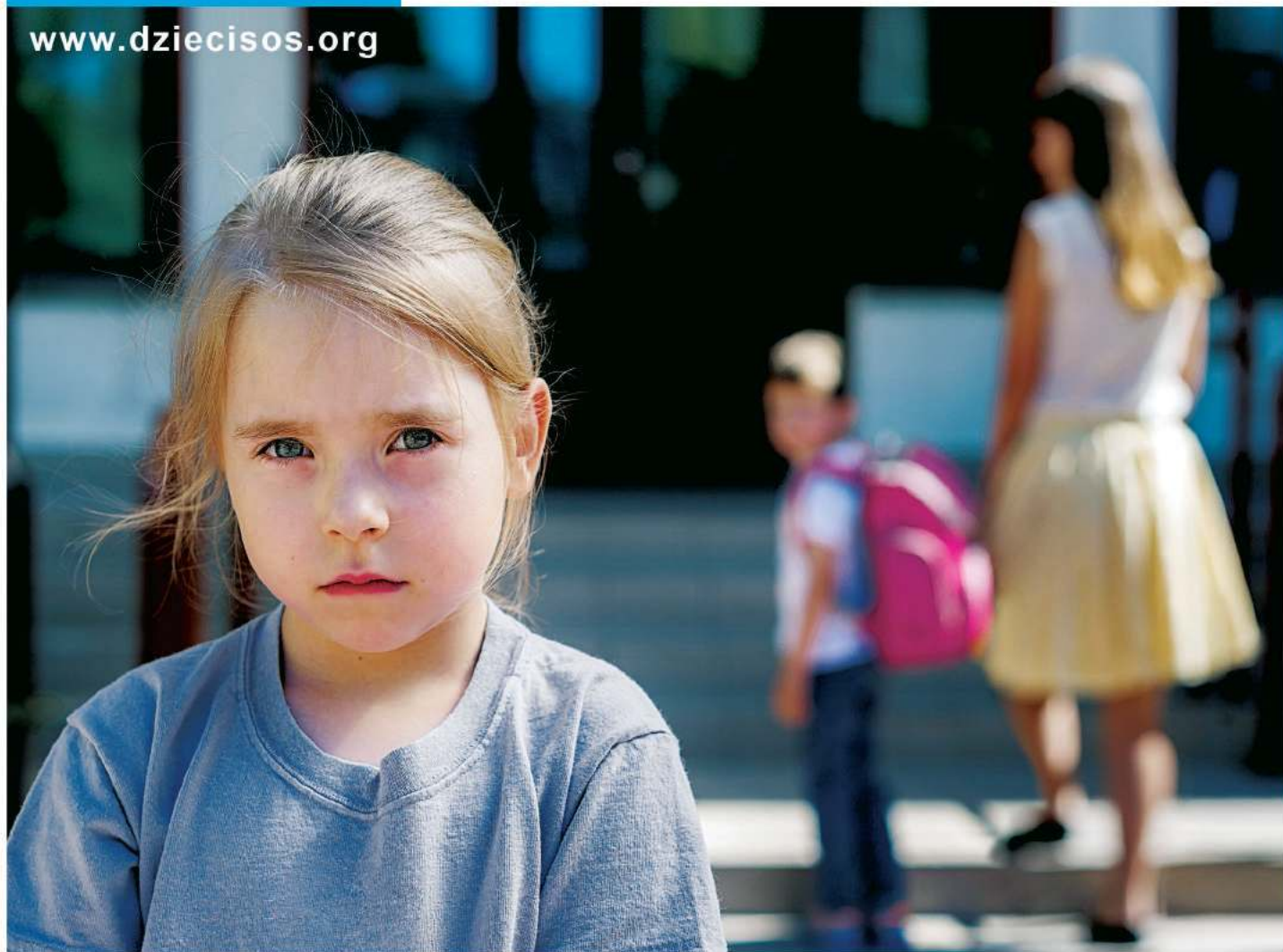


Tak trudno iść do szkoły bez mamy...



SOS WIOSKI
DZIECIĘCE

www.dziecisos.org



Brak rodziców to tęsknota za miłością i bezpiecznym domem. **Tysiące dzieci w Polsce rozpoczyna rok szkolny bez mamy i taty. Porzuconym i osieroconym maluchom bardzo trudno myśleć o nauce.** Pomóż nam otoczyć dzieci miłością w zastępczych rodzinach SOS i wyrównać ich szanse edukacyjne.

Prosimy, przełącz darowiznę na konto 07 1240 6247 1111 0000 4975 0683
lub pomóż na www.dziecisos.org

Patronat medialny:



Sherry Brandy



Ludwik Stomma

KREWNI I PRZYJACIELE

Jeżeli o Rosji carskiej mówiono, że jest kolosem na glinianych nogach, to rząd Kiereńskiego opierał się na wątych słupkach. Nie wiadomo było tylko, skąd przyjdzie cios. Po upadku puczu Kornitowa-Krymowa jasne już było, że władzę obejmą bolszewicy. Stwarzało to śmiertelne zagrożenie dla przebywających w Carskim Siole Mikołaja II i jego rodziny. Zresztą pertraktacje w sprawie pozbycia się (ratowania?) cara prowadził Kiereński już wcześniej. Mikołaj II był bliskim kuzynem króla Anglii Jerzego V i cesarza Wilhelma II, jak i duńskiej rodziny panującej. Wydawałoby się więc, że rzecz będzie stosunkowo prosta. Nic z tego. 30 marca 1917 r. Jerzy V, przynaglany w tej sprawie, pisze za pośrednictwem osobistego sekretarza lorda Stamfordhama do ministra spraw zagranicznych Arthura Balfoura: „Król głęboko przemyślał propozycję rządową przyjęcia cara i jego rodziny na terytorium angielskim. Jego Wysokość nie może się pozbyć wątpliwości, czy – abstrahując od niebezpieczeństw podróży – byłoby pożądane osiedlenie się rodziny carskiej w naszym kraju. Jego Wysokość byłby szczęśliwy, gdyby treść tego listu została skonsultowana z premierem”.

6 kwietnia dostaje Balfour dwa kolejne listy. W pierwszym czytamy: „Jak pan wie, Jego Wysokość uznał, że pobyt w Anglii rodziny carskiej, a w szczególności carycy (była ona germanofilką – LS), spowodowałby trudności i mógłby być żenujący dla naszej rodziny królewskiej, tak blisko spokrewnionej z carem i carycą”. W drugim: „Jego Wysokość nakazał mi raz jeszcze napisać w sprawie poruszanej tego ranka. Chce z naciskiem zasygnalizować panu premierowi, że podług wiadomości, jakimi dysponuje, i stanowiska prasy, pobyt cara i carycy w tym kraju szokowałby wielce opinię publiczną i budził plotki dotyczące króla i królowej”. Przy takim naleganiu królewskiego władcy ministrowie nie chcąc urazić Jerzego V, zdecydowali się na kapitulację i – jak pisze Marina Grey – definitywne *non recevoir* na wszelkie interwencje w tej sprawie.

Król Danii Chrystian X, uznając swoją personalną pozycję za zbyt słabą, zwraca się z prośbą o reakcję do Wilhelma II, skądinąd przeciwnika cara w wojnie światowej. Odpowiedź Wilhelma jest pokrętna, ale w sednie jednoznaczna. „Informacje i przestrogi przekazane mu przez króla Christiana bardzo go poruszyły. Pomimo wszelkich zniewag, jakie jego naród i on sam musieli znieść ze strony tych, którzy tak długo byli jego przyjaciółmi, ich los nie jest mu obojętny i nie może powstrzymać się przed humanitarnymi uczucia-

mi w stosunku do swojej rosyjskiej rodziny. Gdyby to było w jego mocy, zrobiłby wszystko, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Niestety, aktualna koniunktura polityczna mu na to nie pozwala. Jest bowiem przekonany, że każde wystąpienie, w którym domagałby się polepszenia losu cara, pochodzące od niego lub jego rządu, tylko pogorszy sytuację Mikołaja II, gdyż będzie zinterpretowane przez bolszewików jako próba przywrócenia monarchii”. Wprawdzie ludzie ze sztabu pruskiego przysięgali, że gdyby wydania cara zażądały ich wysokie czynniki wojskowe, to bez względu na brak osobistej interwencji cesarza bolszewicy „natychmiast by się zastosowali”, ale też nikt takich żądań nie wystosowywał.

W kwietniu 1918 r. Wilhelm II „wykonał gest”. Jego ambasador hrabia Wilhelm von Mirbach-Harff oświadczył swojemu odpowiednikowi, bolszewikowi Adolfowi Joffemu, że rząd niemiecki bardzo się troszczy o los i warunki uwięzienia rodziny carskiej, zaznaczając jednak przy tym, aby nie sugerować „restauracji caratu”, że chodzi mu tylko o „księżniczki niemieckie”. Joffe zapewnił go, że Romanowom nie brakuje niczego, i dyplomaci rozeszli się zadowoleni.

Prezydent USA wypowiedział parę miłych słów o Polsce. Wyciągnięto z tego wniosek, że mamy lojalnego przyjaciela. Niektórzy nawet w to uwierzyli.

17 lipca 1918 r. w domu kupca Ipatiewa w Jekaterynburgu zamordowany został car Mikołaj II z rodziną. Wśród kochanej rodziny psy zająca zjadły. Śmierć ostatniego samodzielnego pomimo komunikatu moskiewskiego nie odbiła się głośniejszym echem. Tylko Jerzy V pośpieszył sfalszować dokumenty, tak żeby małostkowość odtrącenia cara padła na Lloyda George’a, a nie na niego, czyli przewrócił historię dokładnie między nogami. Poza tym prasa. Ogólny ton był jeden: „Nikt nie musi teraz łamać sobie głowy jakimiś byłymi władcami, których sama obecność bruździła politykom. Owszem, cara i rodzinę można było uratować, ale polityka to jest polityka”.

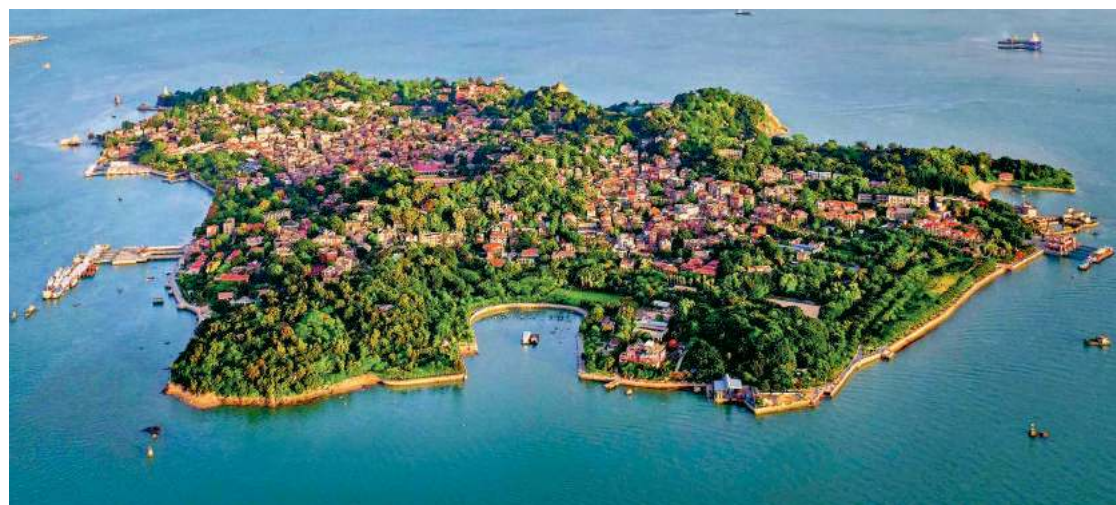
Niedawno na placu Krasińskich w Warszawie stał prezydent Stanów Zjednoczonych i wypowiedział parę miłych słów o Polsce. Wyciągnięto z tego wniosek, że mamy lojalnego, braterskiego przyjaciela. Niektórzy nawet w to uwierzyli. A przyjaźń i rodzina to najważniejsze. Grunt to rodzinka, grunt to rodzinka, grunt to rodzinka, gdy się ma!!!

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



KULANGSU - ZABYTEK GLOBALIZACJI





Przykład „wczesnej globalizacji” – tak UNESCO uzasadniło wpisanie chińskiej wyspy Kulangsu na listę światowego dziedzictwa. Wysepka ma trochę mniej niż 2 km kw. powierzchni i leży w obrębie portowego miasta Xiamen w południowo-wschodnich Chinach. W pierwszej połowie XIX w. stała się dla europejskich państw swoistą bramą handlową Chin kontynentalnych. Przez dekady mieszały się tu religie, architektura, doktryny polityczne i języki z 13 państw, tworząc niezwykle dziedzictwo, z jakim wyspa wchodziła w wiek XX. Teren wciąż pozostaje zamknięty dla ruchu kołowego, co podkreśla specyficzny klimat Kulangsu – miasta sprzed epoki.



FOT. CULTURAL HERITAGE CONSERVATION OF THAD (4), KULANGSU ADMINISTRATIVE COMMITTEE. WIKIPEDIA

DALIŚMY SIĘ ZŁAPAĆ W SIEĆ. INTERNETOWĄ

Skoro telewizja zastępuje mamę i tatę, nie ma co się dziwić, że później internet zastępuje przyjaciół, a gry komputerowe – sport

Ksawery Tyzo

Wiele razy słyszałem od dorosłych, że nowe pokolenie ma możliwości, o których kiedyś tylko się marzyło, że wszystko mamy na wyciągnięcie ręki, o nic nie musimy się starać. Powtarzane jest to na tyle często, że przestajemy to kwestionować. Ja, jako 16-latek i świeżo upieczony licealista, postanowiłem sprawdzić, czy faktycznie moje pokolenie ma tak sielankowe życie i czy dobrobyt idzie w parze ze szczęściem.

Spędziłem długie godziny na rozmowach z przyjaciółmi o tym, o czym raczej się nie mówi. My, dzisiejsze nastolatki, udajemy, że jest dobrze, i siedzimy cicho. Staramy się nie mówić o swoich problemach, wypieramy je. Dlatego cieszę się, że choć kilka osób zgodziło się, żebym spisał ich historie i podzielił się nimi.

DWIE TWARZE

Chcąc zobrazować prawdę o dorastaniu w XXI w., powinniśmy zacząć od portali społecznościowych, na których – jak powiedziała mi tegoroczna absolwentka gimnazjum Dominika – deklarujemy, że mamy wielu znajomych. Ale gdy w prawdziwym życiu potrzeba komuś się zwierzyć, mało kto ma choć jedną osobę, która go wysłucha.

Co gorsza – dodała – wolimy porozumiewać się przez komunikatory, niż spotykać w cztery oczy. Bo pisać jest łatwiej, wygodniej. Gdy nie widzimy przed sobą drugiej osoby, możemy sobie pozwolić na więcej. I dlatego normą wśród moich znajomych są związki zawierane przez internet. Nawet jeśli „para” nigdy nie była na randce, a na żywo zamieniła ze sobą dosłownie kilka słów, na portalach społecznościowych wyznaje sobie miłość. I wierzy, że jest ona prawdziwa.

Większość nastolatków ma dwie twarze – jedną, bliską prawdy, i drugą, wykreowaną na portalach społecznościowych. Wstawiamy na nie zdjęcia, na których wyglądamy na szczuplejszych czy ładniejszych niż w rzeczywistości. W powszechnym użyciu są specjalne filtry do zdjęć, które maskują nasze niedoskonałości czy modyfikują kształty twarzy. W internecie nie ma miejsca na mówienie o niepowodzeniach, monotonii czy smutku – tam każdy ma wiele przygód, pokazuje się jako towarzyski (nawet jeśli ze znajomymi spotyka się zaledwie raz na miesiąc) i bogaty (nawet jeśli w wol-

W internecie nie ma miejsca na mówienie o niepowodzeniach, monotonii czy smutku – tam każdy ma wiele przygód.

nym czasie musi sprzedawać przechodniom tulipany, bo rodzice alkoholicy nie dają mu pieniędzy na jedzenie).

SPORT W KOMPUTERZE

– Przez internet poznałam już wiele osób. Zwykle byli to chłopcy, którzy mimo że w rzeczywistości nigdy mnie nie widzieli, postanowili do mnie napisać na Facebooku – mówi Karolina, która od września chodzi do II klasy liceum. – Z wieloma później zapoznałam się także w realu. Podczas internetowych rozmów ze mną byli szalenie pewni siebie i błyskotliwi, ale na samą myśl o poznaniu się na żywo panikowali. A gdy już się spotykaliśmy, za każdym razem poznawałam nie tego, za kogo się podawał – i z wyglądu (przerobione zdjęcia), i pod względem zainteresowań czy umiejętności, które deklarował na swoim profilu na Facebooku.

Skalę kolejnego problemu uświadomił mi mój wieloletni przyjaciel, który chce zachować anonimowość, nazwę go K. Od najmłodszych lat fascyno-



wała go piłka nożna – to, że mógł się uczyć nowych technik, by później wykorzystać je podczas meczu i okiwać przeciwników.

– Jednak nigdy nie byłem tym najlepszym, którego wszyscy chcieli mieć w drużynie – zwierzył się. – Wręcz przeciwnie. Niski wzrost i brak kondycji sprawiał, że często

wybierano mnie jako ostatniego. Ale nawet to nie było w stanie zahamować mojej pasji. Teraz, gdy jestem w liceum, zupełnie co innego jest problemem. Wciąż odwiedzam pobliski orlik, ale już bardziej z przyzwyczajenia niż dla przyjemności. I z nadzieją, że kogoś wreszcie tam spotkam. Do niedawna władze masowo budowały boiska. Tylko po co, skoro nawet w środku wakacji nikt z nich nie korzysta? Moi rówieśnicy siedzą zamknięci w domach, samotni. Rozmawiają ze sobą, ale na odległość, przez internet. Gdy pytam, czy chcieliby pograć ze mną w piłkę, przeważnie mówią, że nie mają czasu, bo... grają w gry komputerowe.

Dzień po rozmowie z K. poszedłem z nim do jego kolegi, który zgodził się opowiedzieć o swoim uzależnieniu. – Przez siedem ostatnich lat, dzień w dzień, spędzałem pięć-sześć godzin, grając w gry komputerowe, w wakacje dochodziłem nawet do 11 godzin – opowiadał R. – Szkoda, że nikt mnie nie powstrzymał. Straciłem dzieciństwo. Doskonale pamiętam na-



rzekania moich dziadków, że poświęcam im tak mało czasu, ale nigdy się tym nie przejąłem. Gry komputerowe i zabijanie wymagowanych postaci było dla mnie ważniejsze. Byłem całkowicie zaślepiiony. Przejrzałem na oczy, dopiero gdy groziło mi niezdanie do następnej klasy. Wtedy, dzięki wsparciu brata, zacząłem życie na nowo. Teraz dałbym wszystko, by się cofnąć do dawnych chwil, przeprosić dziadków i dać im najcenniejsze, co człowiek może ofiarować drugiemu człowiekowi – swój czas. Przeraża mnie to, że takich jak ja jest wielu – ciągnął. – Tylko w mojej klasie sześciu chłopaków jest w podobnej sytuacji, ale oni jeszcze nie zrozumieli swojego błędu.

TELEWIZOR ZAMIAST HUŚTAWKI

W trakcie rozmowy do pokoju weszła starsza, 18-letnia siostra R. – Wczoraj, kiedy byłam na spacerze z psem, przechodziłam przez jedną z największych dzielnic Gdańska. Tam jest mnóstwo placów zabaw. Wszystkie były puste, a z opowieści naszych dziadków wynikało, że kiedyś tętniły życiem. Kiedyś. Teraz trudno mi to sobie wyobrazić. Rodzice wolą posadzić dziecko przed telewizorem i włączyć mu często tandetną bajkę, niż faktycznie się nim zająć, pójść na karuzelę czy huśtawkę. Skoro dziś telewizja zastępuje mamę i tatę, to nie ma co się dziwić, że później internet zastępuje przyjaciół, a gry komputerowe – sport.

Wnioskami z rozmowy z R. i jego siostrą podzieliłem się na Facebooku z kolegą z klasy Grzegorzem. Opowie-

dział mi historię, którą usłyszał od trenerki prowadzącej młodzieżową sekcję łucznicstwa. Najwięcej problemów ma z najmłodszą grupą, 10-latków. To dzieciaki zazwyczaj siłą odciągnięte sprzed komputera bądź telewizora. – Na pierwszych treningach nikt do nikogo się nie odzywał, dzieciaki były zniesmaczone tym, że muszą cokolwiek robić. Dopiero po kilku zajęciach coś się zmieniło. Zaczęły się ze sobą witać i poznawać. Niedługo później przychodzili już nie dlatego, że rodzice im kazali, ale żeby... ze sobą rozmawiać.

Takie są współczesne realia. Ten sam postęp technologiczny, który ma

nam zapewnić świetlaną przyszłość, odczłowiecza i spłyca nasze życie. Nowe gry komputerowe, które pragniemy mieć, pogłębiają naszą alienację. Tymczasem najbardziej potrzebujemy przyjaciela i szczerą rozmowy. Na żywo, a nie przez komunikatory.

Ale czy to jeszcze w ogóle możliwe? Czy jeszcze potrafimy ze sobą rozmawiać? Patrząc na grupę 10-latków z sekcji łucznicstwa, naiwnie wierzę, że tak. Wierzę, że kiedyś powróci normalność, a młodzież będzie szczęśliwa naprawdę, a nie tylko pod publiczność, na portalach społecznościowych. Jednak kiedy to się stanie i w jaki sposób – to pozostawiam już dorosłym. ■



Możesz pomóc wysyłając SMS o treści POGROM pod numer 74567 i pobierając tapetę (koszt 4,92 z VAT)

Prawdziwe cierpienie mierzy się tym, co nam odebrano - Gregory David Roberts

Pogromowi odebrano niemal wszystko. Zostawiono mu tylko ciężki łańcuch na chudej szyi i stary chleb namoczony w zardzewiałej misce. Chyba tylko po to aby nie umarł. Jeszcze nie dzisiaj. Pogrom ze smutkiem spogląda na ludzi. Nie garnie się do wyciągniętej ręki. Cierpliwie znosi wszystko co się z nim robi. Słaby i pogodzony ze swoim losem. Gdy każdy, łapczywie zjadany kęs moczzonego chleba, może być tym ostatnim, na emocje braknie miejsca. Pogrom, to 8 letni, rasowy owczarek niemiecki. Kiedyś piękny, dziś cień psa budzący wstręt i odrazę u wielu ludzi. Kilka lat temu podobno

przybłąkał się do byłego już właściciela. Ten psa przeginał ale zapomniał już zapewnić mu należytej opieki. Ponieważ Pogrom, w ostatnim czasie, śmierdzał tak, że zaczęło to przeszkadzać sąsiadom, sprawa została zgłoszona do gminy. Ta jednak, mimo obietnic, nie sprawdziła warunków bytowych ani stanu psa. Zdesperowani mieszkańcy zadzwonili do nas. Odebrany w asyście policji, trafił do kliniki gdzie pozostaje. Stan psa jest tragiczny. Pogrom jest wyczerpany, z silną anemią, niewydolnością tarczycy, z zaawansowanym świerzbem skórny, ropiejącymi odleżynami i ogólnym wyniszczeniem. Pies jest tak słaby, że ma problem z ustaniem na własnych nogach.

Prosimy o pomoc dla Pogroma. Przed nim długi pobyt w klinice i wielomiesięczne, kosztowne leczenie.

Jeśli możesz go wesprzeć, prosimy dokonać darowizny z tytułem POGROM na konto:

PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350
Fundacja Centaurus ul. Wałbrzyska 6-8
52-314 Wrocław

ZA KAŻDĄ POMOC, DZIĘKUJEMY!

Więcej informacji na www.psy.centaurus.org.pl lub tel 518 569 487

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław

tel: 518 569 487, tel: 518 569 488

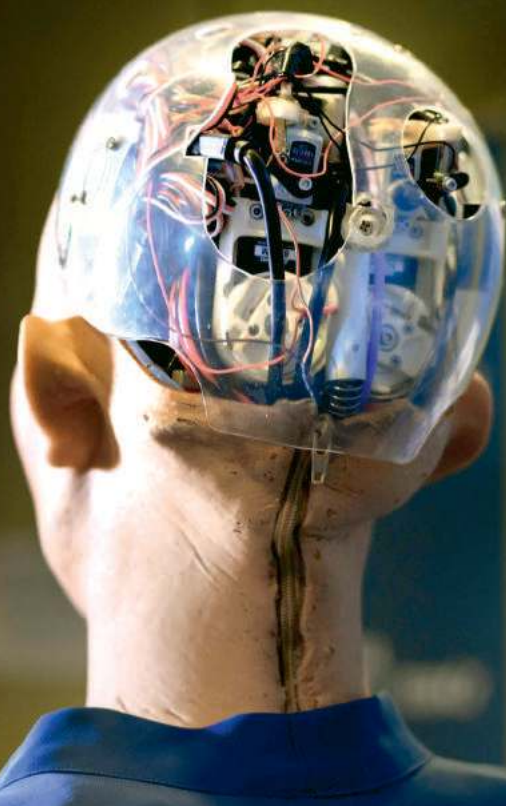
www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona ramach Kampanii Kochaj Mądrze.
Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>

CENTAURUS

ZATRZYMAĆ MORDERCZE ROBOTY

Czy możemy jeszcze wygrać
ze sztuczną inteligencją?



Mateusz Mazzini

Kilkanaście dni temu świat obiegła kolejna deklaracja, jakich z pozoru wiele. Multimiliarder Elon Musk, twórca Tesli, SpaceX i wielu innych przedsiębiorstw wykorzystujących najbardziej zaawansowane technologie, ale przede wszystkim wizjoner rozwoju ludzkiej cywilizacji, z grupą 116 naukowców, biznesmenów i aktywistów opublikował list otwarty do Organizacji Narodów Zjednoczonych, domagając się zakazu używania na polu walki tzw. autonomicznych rodzajów broni. Innymi słowy, Musk chce, by ONZ wprowadziła całkowity zakaz używania robotów morderców. Maszyn, do obsługi których bezpośrednio nie potrzeba ludzkiego działania. Nie potrzeba, bo już w fazie rozwoju zostaną zaprogramowane do eliminowania konkretnych celów, posługując się własną analizą danych i wnioskami formułowanymi przez wewnętrzne systemy sztucznej inteligencji. Mniej zaawansowane formy AI (ang. *artificial intelligence* – sztuczna inteligencja) istnieją od dawna i są w codziennym użyciu w naszym bezpośrednim otoczeniu

(m.in. w słownikach telefonów komórkowych czy w programach głosowego zarządzania sprzętem). Ale wojna robotów, w której ludzie biorą udział jedynie na odległość, wciąż większości wydawała się abstrakcją.

CO CZEKA NA MECIE

List Muska i innych technologicznych liderów (podpisali się pod nim m.in. prof. Toby Walsh z NSW University w Sydney, światowej sławy ekspert ds. etyki technologii, oraz Esben Østergaard, duński specjalista w dziedzinie robotyki i dyrektor do spraw nowych technologii Universal Robotics) ma charakter ostrzeżenia. Większość sygnatariuszy od daw-

pytanie o opatentowanie sztucznej inteligencji już dawno zmieniło się z „czy” na „kiedy”. Jego zdaniem na naszych oczach rozgrywa się morderczy wyścig o to, kto pierwszy zaprezentuje światu tę „pełną” wersję AI, całkowicie niezależną od ludzkich posunięć. Musk chce udowodnić, że skupiając się na dotarciu do mety, zapomnieliśmy, co może się stać, gdy już tam dotrzemy.

A utrata kontroli nad zmilitaryzowanym wcieleniem sztucznej inteligencji może mieć ogromne konsekwencje. Już teraz niemal codziennie słyszymy doniesienia o kolejnych kontrowersjach związanych z użyciem na polu walki bezałogowych samolotów, popularnie (choć często

Ekspersi w dziedzinie technologii chcą zakazu używania robotów na polu walki.

na bowiem zapowiadała nadejście momentu, w którym rozwijana przez człowieka sztuczna inteligencja wyrwie się spod kontroli i zacznie żyć własnym życiem. Jak twierdzi Daniel Franklin, felietonista tygodnika „The Economist” i twórca cyklicznych publikacji przewidujących najważniejsze wydarzenia nadchodzącego roku,

nieprecyzyjnie) nazywanych dronami. Oprócz oczywistych problemów natury etycznej mamy doniesienia mediów o błędach w identyfikacji i naprowadzaniu na cel oraz ofiarach wśród ludności cywilnej. Ale przede wszystkim o braku ustaleń prawnych precyzyjnie regulujących status bezałogowców na wojnie. A przecież

one same nikogo nie zabijają – za każdym tego typu statkiem powietrznym kryje się człowiek, który podejmuje decyzję. Łatwo sobie wyobrazić luki w porządku międzynarodowym i naszym ogólnym myśleniu o wojnie, gdy do zabijania zabiorą się nieludzkie, choć podobnie do ludzi myślące maszyny.

GŁOS AUTORYTETÓW

Oczywiście za rozwojem sztucznej inteligencji stoją nie tylko ogromne talenty i szlachetne idee, ale i wielkie pieniądze. Nic więc dziwnego, że koncerny zbrojeniowe mają tu dużo do powiedzenia. Amerykańscy i europejscy giganci z branży, ale również ich odpowiedniki z Chin czy Rosji, kontrolowane przez państwa dyrektywy, od dawna pracują nad zastosowaniem sztucznej inteligencji na rynku produkcji broni.

Amerykański filozof Jonathan Crary w książce „24/7. Późny kapitalizm i koniec snu” dokładnie opisuje eksperymenty przeprowadzane przez niektóre firmy zbrojeniowe przy współudziale Departamentu Obrony. Mają one na celu określenie tych obszarów, w których ludzie na polu walki najwydajniej zastąpią maszyny. Już wiadomo, że AI testowana jest w samonaprowadzających się rakietach, które dzięki zdolności pobierania i niezależnego analizowania danych o zmieniających się warunkach pola walki nie byłyby zależne od kontroli w punkcie dowodzenia. W ten sposób odłączenie komunikacji przez GPS nie wpłynęłoby na skuteczność ataku. Łatwo też wyobrazić sobie przydatność AI we wspomnianych centrach dowodzenia – gdzie chłodna, pozbawiona emocji kalkulacja maszyny jest dużo bardziej potrzebna niż myślenie człowieka podatne na emocje i nerwy. Prof. Walsh, inicjator projektu i sekretarz Światowej Konferencji na rzecz Sztucznej Inteligencji (International Joint Conference on Artificial Intelligence, IJCAI), zwraca jednak uwagę, że wyjść nie skończy się na wyłonieniu zwycięzcy, właściciela pierwszej „pełnej” AI. Raz zastosowana w konkretnej dziedzinie gospodarki czy nauki, z czasem stanie się podstawą w produkcji. To proces, od którego nie ma odwrotu. Autorzy listu porównali go

wręcz do otwarcia puszką Pandory. Dlatego Walsh, Musk i inni nawołują do uderzenia wyprzedzającego. Chcą całkowitego zakazu używania robotów morderców na polu walki, zanim pojawi się ich pierwsza ofiara.

Wydaje się, że to przełomowy moment w myśleniu o AI. Po raz pierwszy bowiem jednocześnie zgodnie przemówiło tak wiele autorytetów w tej dziedzinie. Wcześniej tylko jedna spośród liczących się w branży firm, kanadyjska spółka Clearpath Robotics, głośno mówiła o wprowadzeniu zakazu. Na szczęście na arenie międzynarodowej kwestia sztucznej inteligencji jest obecna już od jakiegoś czasu.

W grudniu 2016 r. wszystkich 123 członków komisji rewizyjnej ONZ ds. broni konwencjonalnej jednogłośnie wyraziło zgodę na rozpoczęcie negocjacji w sprawie uregulowania użycia AI przez prawo

Jeśli chcemy kolejnego skoku cywilizacyjnego, musimy zastosować sztuczną inteligencję.

międzynarodowe. 19 z tych państw zażądało natychmiastowego zakazu, bez wyjątków. Na razie trudno ocenić szanse na to. Biurokracja ONZ nie należy do najwydajniejszych, a w sprawie zakazu nie wypowiedzieli się jeszcze najważniejsi światowi liderzy. Dodatkowo przy obecnej konfiguracji geopolitycznej na świecie, a zwłaszcza z takim lokatorem Białego Domu jak Donald Trump, otwarcie lobbingujący wszędzie na rzecz interesów amerykańskich firm zbrojeniowych, trudno liczyć na szybkie międzynarodowe porozumienie.

Dlatego tak ważne jest zaangażowanie Muska, postaci niezwykle popularnej na całym świecie. Swoimi pomysłami, od luksusowego, szybkiego auta Tesla do perspektywy załogowej podróży na Marsa w ciągu najbliższych kilku lat, porusza wyobraźnię milionów ludzi z całego globu. Ma też dość solidną pozycję w świecie polityki. Chcąc działać na rzecz rozwoju krajowej gospodarki, początkowo dołączył do grupy doradców Trumpa. Szybko jednak zdezerterował, a za nim poszli kolejni biznesowi liderzy. W efekcie mało kto, poza przywiązany do władzy bankierami z Wall Street, pojawia się na prezydenckich zebraniach.

WSZYSTKIE ŚWIATŁA NA MUSKA

Wielu aktywistów liczy, że zaangażowanie Muska (jego firmy zresztą same pracują nad rozwojem AI) będzie decydującym czynnikiem, który umożliwi wprowadzenie zakazu. Czasu zostało naprawdę mało – wbrew pozorom obecnie technologia nie jest aż tak odległa od stworzenia niezależnej sztucznej inteligencji. Kilka tygodni temu branżowe portale obiegała informacja z jednego z zespołów programistycznych Facebooka, który stracił kontrolę nad własną sztuczną inteligencją. Programiści stworzyli bowiem system, który w pewnym momencie zaczął się komunikować ze swoimi twórcami w języku innym niż jego macierzysty angielski. Następnie rozpoczął komunikację z pozostałymi urządzeniami wpiętymi do tej samej sieci, stopniowo „przekonując je” do porzucenia

komend po angielsku i przejścia na komunikację w nowym języku. Niepewni dalszego rozwoju spraw programiści wyłączyli system, bojąc się całkowitego uniezależnienia AI i przejścia przez nią kontroli nad całą siecią.

Takie historie będą się zdarzać coraz częściej, czy nam się to podoba, czy nie. A to dlatego, że AI jest już wśród nas. Co więcej, wszystko wskazuje, że jeśli ludzkość chce dokonać kolejnego skoku cywilizacyjnego, postawić stopę na innej planecie czy zautomatyzować kolejne procesy codziennego życia, musi zastosować sztuczną inteligencję. Dr Aleksandra Przeglasińska z Massachusetts Institute of Technology, światowej sławy ekspertka zajmująca się sztuczną inteligencją i jej rolą w społeczeństwach, zwraca uwagę, że pora się oswoić z AI. Dowiodła, że niektóre kultury, bardziej przyzwyczajone do personalizacji bytów nieludzkich (np. Japonia), lepiej współżyją z robotami niż np. społeczeństwa europejskie. Podobnie łatwiej nam się komunikować z robotem, który pisze do nas na chacie, niż z takim, który mówi ludzkim głosem. Sztuczna inteligencja będzie zatem przyszłością ludzkości. Od nas jedynie zależy, czy nie stanie się też jej końcem. ■

Adam Rutherford

JURNI I MOBILNI

Jeśli ktoś ma europejskie pochodzenie,
ma też niemal na pewno neandertalskie DNA

Neandertalczycy byli ludźmi zasiedlającymi całą zachodnią Europę, od wysuniętego najbardziej na wschód zakątka Hiszpanii do jaskiń w północnej Walii, góry w środkowej Azji oraz tereny aż do dzisiejszego Izraela na południu. Najstarsze prawdziwe kości neandertalczyków, jakie znaleźliśmy, liczą 300 tys. lat, a nie udało się nam odkryć młodszych niż 30 tys. lat. To niezły okres przeżycia, jak na gatunek człowieka. *Homo erectus*, wcześniejszy gatunek spionizowanej małpy, po emigracji z Afryki, które rozpoczęło się 1,9 mln lat temu, rozprzestrzenił się na cały świat. Jednak neandertalczycy mają na koncie dłuższy okres przeżycia niż ten, który nam samym dotychczas udało się osiągnąć.

My, ludzie anatomicznie współcześni, wyewoluowaliśmy we wschodniej Afryce – jak się powszechnie uważa – ok. 200 tys. lat temu, a wyszliśmy z Afryki w naszej własnej fali migracji w ciągu ostatnich 100 tys. lat. Ta liczba

Ten sam parametr u neandertalczyków mieścił się w zakresie od 1,2 do 1,7 litra. Pojemność mózgowiczaszki nie jest wielkością korelującą konkretnie z możliwościami intelektualnymi, choć u małp, ogólnie rzecz biorąc, większy mózg oznacza większe zaawansowanie jego funkcji.

Różnili się od nas niższym wzrostem i bardziej krępą budową ciała, masywniejszą, beczkowatą klatką piersiową, szerszym nosem i wydłużonymi wałami nadczołowymi. Na pewno to z powodu tych prostych cech budowy fizycznej zyskali dość niepocholebny reputację. W potocznym języku nazwa ich gatunku stała się stygmatyzującym synonimem brutalnych jaskiniowców, pomrukują-

Z powodu skąpej liczby znalezionych szczątków toczono długotrwałe spory w kwestii ewolucyjnego pokrewieństwa między *Homo neanderthalensis* a *Homo sapiens*. W ciągu wielu lat wysunięto całą gamę hipotez; jedni uważali, że neandertalczycy są bezpośrednimi przodkami współczesnych Europejczyków, inni zaś widzą w nich odrębny konar drzewa ewolucyjnego i twierdzą, że neandertalczycy nie pozostawili po sobie odległych potomków. Uważa się, że ostatni wspólny przodek – ich oraz nasz – żył ok. 600 tys. lat temu.

Pierwszy krok w kierunku rozstrzygnięcia tego sporu zrobił Svante Pääbo, przeprowadzając badania próbki kości ramiennej „neandertalczyka numer 1”. Naukowcy z precyzyjnego nacięcia kości pobrali 0,4 g tkanki – to masa solidnej szczypty soli – a z niej wyekstrahowali fragmenty mtDNA. W 1997 r. była to najstarsza z uzyskanych do tego czasu próbek dawnego DNA. Pierwsze badanie przeprowadzono w dużej mierze po to, żeby wykazać, iż takie przedsięwzięcie jest możliwe, a wyekstrahowany DNA nie pochodzi z zanieczyszczeń. (...)

PIERWSZYM WNIOSEM z badania było to, że neandertalski DNA różnił się od mtDNA wszystkich ludzi współczesnych. Sekwencja przeanalizowanych fragmentów DNA odróżniała się na tyle, że można ze sporą dozą pewności stwierdzić, iż ta część genomu neandertalczyków oddzieliła się od linii genetycznych prowadzących do wszystkich ludzi współczesnych znacznie wcześniej, niż przypadał okres życia wspólnego przodka tych ostatnich. DNA zmienia się w miarę upływu czasu w stosunkowo przewidywalny sposób, niczym tykający powoli zegar, zatem przez porównanie dwóch podobnych, ale różnych sekwencji możemy oszacować, jak dawno uległy rozdzieleniu. Ta technika nie działa w idealny sposób, ale – ogólnie rzecz biorąc – ma swoją wartość. W wyniku wspomnianego pierwszego badania

Zanim *Homo sapiens* dotarł do Europy, neandertalczycy już tam byli i zdążyli się zdomowić.

zwiększa się co kilka lat w miarę odkrywania kolejnych szczątków ludzkich. Odkopanie w październiku 2015 r. w jaskini Fuyan, leżącej w powiecie Dao (Daoxian) w południowych Chinach, 47 zębów ludzi współczesnych, liczących co najmniej 80 tys. lat, pozwala wysnuć rozsądne przypuszczenie, że dotarcie tak daleko na wschód od ojczystej krainy musiało zająć właścicielom owych zębów parę dziesiątek tysięcy lat.

Według danych z tradycyjnej paleoantropologii pochodzących z badań kości, zanim *Homo sapiens* dotarł do Europy, prawdopodobnie ok. 60 tys. lat temu, neandertalczycy już tam byli i zdążyli się dobrze zdomowić, choć w niedużych społecznościach. (...)

ANATOMIA NEANDERTALCZYKÓW

wyraźnie wskazuje, że wizualnie różnili się oni od intruzów. Pojemność mózgowiczaszki to jeden z kluczowych mierników w paleoantropologii, a neandertalczycy pod tym względem nas przewyższali; średnia objętość mózgu mężczyzny współczesnego wynosi ok. 1,4 litra, a kobiety nieco mniej.

cych prostaków; „neandertalczykiem” określa się kogoś skłonnego do aktów prymitywnego, głupawego bandytyzmu. (...)

Nic nie wskazuje, że neandertalczycy byli osobnikami tego rodzaju lub znacząco różnili się od współczesnych sobie przedstawicieli gatunku *Homo sapiens*. Polowali, uprawiali i gotowali mięso dużej zwierzęcy. Istnieją pewne dowody świadczące o tym, że przez ostatnie 100 tys. lat szyli i sporządzali odzież oraz ozdoby, a ich narzędzia pochodzą z czasów sprzed przybycia ludzi anatomicznie współczesnych, co znaczy, że neandertalczycy sami opanowali te umiejętności, a nie nauczyli się ich od nowo przybyłych. Naukowcy niedawno stwierdzili, że ręczne malowidła w jaskini nieopodal hiszpańskiego miasta Nerja na kamienistym wybrzeżu Morza Śródziemnego są ich, a nie naszego autorstwa. Inni argumentują, że obecność pyłku kwiatów w grobach w jaskini Szanidar w Iraku, a także na południu Francji to ślady rytualnych pochówków, choć ta teza nadal wzbudza kontrowersje.



neandertalskiego DNA ustalono, że dywergencja pomiędzy nimi a nami dokonała się od 550 tys. do 690 tys. lat temu. Dane te przedstawiały się krzepiąco w kontekście tradycyjnych badań ewolucji człowieka: okazało się, że neandertalczycy nie są nami ani nie byli nami przez okres dość długi i zgodny z tym, co ustalili paleontolodzy oraz archeolodzy (...).

W 2010 r. odczytano pełny neandertalski genom. Zespół Svantego Pääbo radykalnie udoskonalił techniki ekstrahowania DNA ze starożytnych kości. Korzystając z pyłu, okruchów

logicznych: „Czy neandertalczycy posługiwali się mową?”. Prawidłowa odpowiedź, mieszcząca w sobie 3 tys. słów na temat przemawiających za tym dowodów anatomicznych, brzmi: to bardzo prawdopodobne, że neandertalczycy byli zdolni do posługiwania się mową. Budową gardła nie różnili się od nas; zwłaszcza odkryta w 1989 r. w izraelskiej jaskini Kebara kość gnykowa wskazuje, że musieli dysponować zdolnością mowy podobną do naszej. (...)

Ocena z neurologicznego punktu widzenia również nie wniesie zbyt wie-

że małpy, chociaż nie mówią. Zatem, biorąc pod uwagę większe niż u nas rozmiary mózgu neandertalczyków, możemy przyjąć rozsądne założenie, że mieli oni prawidłowo wykształcony ośrodek Broki, jak wszystkie gatunki dużych małp.

Można by pomyśleć, że dzięki nowym zdobyczom genetyki ni stąd, ni zowąd pojawi się odpowiedź. Istnieje pewien gen, przedmiot licznych badań i równie licznych entuzjastycznych doniesień, nierozdzielnie związany z mową. Nosi on nazwę FOXP2. Choć w gruncie rzeczy niewiele wiemy o jego roli w organizmie, widać wyraźnie, że ma on zasadnicze znaczenie dla tego rodzaju werbalnej komunikacji i zręczności, które uważamy za banalnie łatwe w porównaniu z naszymi najbliższymi małpimi krewniakami, a w istocie ze wszystkimi pozostałymi ziemskimi formami życia. Jeden z kluczowych znanych nam sposobów ustalania funkcji genów polega na obserwowaniu tego, co się dzieje, gdy działają wadliwie. Wywołujemy te sytuacje celowo u zwierząt doświadczalnych, zakłócając działanie dokładnie lub losowo wybranych genów, żeby się przekonać, co się stanie. Z oczywistych przyczyn nie robimy tego u ludzi, lecz odpowiednikiem takich działań jest badanie genetycznego podłoża chorób i wad. (...)

Najstarsze znalezione kości neandertalczyków liczą 300 tys. lat.

i wiórów otrzymanych w wyniku borowania skamieniałości, naukowcy zebrali pełną roboczą wersję – choć przybliżoną – kompletnej sekwencji DNA neandertalczyka. (...)

Jacy byli neandertalczycy? To, czym są geny i co nam mówią o ludziach, jest ze sobą ściśle powiązane, lecz niemal we wszystkich przypadkach nie stanowi ostatecznego rozstrzygnięcia. (...) Znajomość sekwencji genomu danej osoby dostarcza dość ograniczonych informacji, o ile nie zawiera on któregoś ze stosunkowo niewielkiego zestawu genów wywierających nader znaczący wpływ. (...)

Oto popularne pytanie egzaminacyjne na studiach paleoantropo-

le nowego. Jak można się spodziewać, na zdolność mówienia składa się duża część naszego mózgu. Choć w funkcji tak skomplikowanej jak mowa bierze udział wiele części mózgu, kluczową strefą jest ośrodek Broki, nazwany tak od nazwiska XIX-wiecznego francuskiego neuroanatora. Broca leczył dwóch pacjentów, którzy stracili mowę po uszkodzeniu tego obszaru mózgu. Taka skala struktur anatomicznych układu nerwowego niezbyt się nam przyda przy poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie o sposób komunikowania się neandertalczyków, bo wspomniany ośrodek to spory obszar mózgu – kawałki mięsa tej wielkości znajdziemy w gulaszu. Mają go również inne du-

► Zasadnicza odpowiedź na egzaminacyjne pytanie: „Czy neandertalczyki posługiwali się mową?” nie zmieniła się od czasów, kiedy sam na nie odpowiadałem w 1995 r. (...) To bardzo prawdopodobne, że neandertalczyki byli zdolni do posługiwania się mową. Dopóki jednak autentycznie nie znajdziemy sposobu na podróżowanie w czasie, nie zdołamy tego udowodnić. (...)

WSZYSTKIE SEKWENCJE neandertalskiego DNA są udostępnione w internetowych bazach danych, a najnowsze dzisiejsze techniki skanowania oznaczają, że każdy może przeskanować i przeanalizować swój genom (choć to nie jest tożsame z pełnym sekwencjonowaniem) pod kątem wielu rozmaitych rzeczy. Jedną z takich firm jest 23andMe i właśnie tam przeprowadziłem analizę swojego genomu. Na podstawie takich osobistych badań genomicznych można m.in. stwierdzić, jak

zbyttnie nie grzeszyli urodą. Jednak piękno to kwestia nader subiektywna i sam fakt, że nie przypadają nam do gustu, nie oznacza, że nie podobali się naszym przodkom. Ci bowiem zdecydowanie uprawiali z nimi seks.

Jestem nosicielem neandertalskiego DNA. Wobec tego wśród moich przodków byli też neandertalczyki. Jeśli ktoś ma ich DNA, byli oni i jego przodkami. Jeśli jest się osobą, ogólnie rzecz biorąc, europejskiego pochodzenia, posiadanie neandertalskiego DNA to niemal pewnik. Nazywa się to introgresją – wprowadzeniem domieszki DNA odrębnej grupy wskutek wielokrotnego powinowactwa. To forma zespalandia się pewnych fragmentów DNA oddzielnych populacji. Od czasu odkrycia neandertalczyków określa się ich mianem kuzynów bądź bliskich krewnych. Dzięki mojej sojusznicy – genetyce – dostrzegam wyraźnie, że neandertalczyki zdecydowanie byli również naszymi przodkami. To

raz. Kiedy tylko doszło do spotkania, zaczęliśmy się krzyżować. Badanie kości odkrytych w Rumunii wykazało, że taki epizod zdarzył się ponownie ok. 40 tys. lat temu. Zaczyna wyglądać na to, że kiedykolwiek nasi przodkowie napotykali przedstawicieli gatunku *Homo neanderthalensis*, nawiązywali z nimi bliskie stosunki.

W 2014 r. do genomowego klubu wstąpiła neandertalka, która zmarła 50 tys. lat temu w syberyjskich górach Altaj; jej palec stopy stał się źródłem najdokładniej zachowanego DNA tego gatunku człowieka, jaki kiedykolwiek udało się uzyskać. Jednak dwa lata później, w lutym 2016 r., skrupulatniejsza analiza jej genomu ponownie wyrzuciła do góry nogami to, co uznawaliśmy za prawdę. Wykazała bowiem, że kobieta miała pewną domieszkę DNA ludzi współczesnych, a porównanie go z innymi odczytami umożliwia nam określenie daty dokonania się tej introgresji. Zdarzyło się to u jednego z jej przodków ok. 50 tys. lat przed jej narodzinami. Nie wiemy, od kogo pochodziła domieszka, lecz kimkolwiek byli tamci ludzie, byli podobni do nas, a od diaspory afrykańskich przedstawicieli gatunku *Homo sapiens* dzielił ich duży dystans w czasie i przestrzeni (w stosunku do tych danych, które uważaliśmy za prawdziwe). Być może ci ludzie reprezentowali pierwszą falę emigrantów z Afryki, zapewne kogoś w rodzaju grupy zwiadowców przecierających szlaki wiodące na wschód całe dziesiątki tysięcy lat przed uznanym przez nas okresem, w którym ktokolwiek z ludzi współczesnych opuścił ojczystą krainę.

„Hipoteza wyjścia z Afryki” zasadniczo pozostaje całkowicie nienaruszona, lecz głębokie zmiany dotyczą dat i ogólnego przebiegu wydarzeń, za czym przemawiają dowody dostarczone przez pradawny DNA. Kiedy tylko obie społeczności się spotykały, dochodziło do przepływu genów.

Fragmenty książki
Adama Rutherforda
*Krótką historią
wszystkich ludzi,
którzy kiedykolwiek
żyli*, przekład Adam
Tuz, Prószyński i S-ka,
Warszawa 2017



Średnia objętość mózgu współczesnego mężczyzny to ok. 1,4 litra, u neandertalczyków od 1,2 do 1,7 litra.

duży odsetek neandertalskiego DNA ma dana osoba. W moim przypadku od tamtych ludzi pochodzi solidne 2,7% ogółu DNA (co jest wynikiem dość nieciekawym, gdyż według danych tej pracowni dokładnie tyle wynosi średnia u większości Europejczyków, choć akademickie badania sugerują, że to zawyżona wartość i omawiany odsetek u mieszkańców Europy jest niższy).

Mój genom składa się z 3 mld liter kodu DNA, zatem na podstawie danych otrzymanych z firmy 23andMe ok. 81 mln liter pochodzi od neandertalczyków; są one rozrzucone w postaci fragmentów we wszystkich 23 parach moich chromosomów. Mniej DNA zawiera sześć całych ludzkich chromosomów, w tym chromosom Y nadający mi płeć męską. Co prawda, ten wkład nie występuje wcale w jednym kawałku, a jego wpływu nie odczuwa się w jakiś pojedynczy sposób. Niemniej istnieje we mnie.

Przez całe stulecie neandertalczyków obciążał wizerunek zgarbionych, prymitywnych, pochrząkujących jaskiniowców. Rekonstrukcja rysów twarzy na podstawie ich czaszek pokazuje, że nie wyglądali dokładnie tak jak my ani

jedną z kluczowych koncepcji dotyczących pochodzenia naszego DNA, wprowadzającą zamęt we wszystkich ładnych i schludnych hipotetycznych gałęziach drzewa genealogicznego. Nazywa się to domieszką, mieszaniną się genów odrębnych uprzednio populacji.

Jesteśmy nosicielami ich DNA. Nie występuje on u wszystkich ludzkich populacji: większość Afrykanów ma go bardzo niewiele, a niektórzy mieszkańcy wschodniej Azji – więcej niż Europejczycy. Używając dłuższego określenia, powiemy, że domieszka powstaje w wyniku „epizodów przepływu genów”. Powiedzmy sobie jednak obrazowo i brutalnie: mówimy o seksie. W okresie naszej historii ludzie anatomicznie współcześni wielokrotnie uprawiali seks z ludźmi o neandertalskich cechach anatomicznych.

NA PODSTAWIE BADAŃ znalezionych w Chorwacji neandertalskich kości dowiedzieliśmy się, że krzyżowaliśmy się ze sobą ok. 60 tys. lat temu, czyli wtedy, gdy zgodnie z naszym przypuszczeniem gatunek *Homo sapiens* po raz pierwszy dotarł do Eu-

Honorowy obywatel i panna

Pisaliśmy już parokrotnie o tym, jak rozsypała się polityka zagraniczna PiS. Że w Europie jesteśmy na marginesie, w oślej ławce, a konstrukcje, które minister Waszczykowski buduje, typu Wyszehrad czy Międzymorze, to zamki na piasku.

Dorzućmy do tej wyliczanki jeszcze jeden element – wielkiego (i jedyne)go sojusznika PiS Viktora Orbána.

Coraz więcej znaków na niebie i ziemi wskazuje, że ten sojusz to iluzja. Że, owszem, gdy Kaczyński kopie się z Unią, to Orbán mu przyklaskuje (ale nic więcej), ale w innych sprawach bywa różnie.

Zwłaszcza w kontaktach z Rosją.

Oto bowiem przez kilka dni przebywał na Węgrzech Władimir Putin. Oficjalnie jako honorowy prezes Międzynarodowej Federacji Judo oglądał mistrzostwa świata w tej dyscyplinie, które odbywały się w Budapeszcie. Ale przecież oddawał się nie tylko kibicowaniu.

Przed wszystkim odbyły się rozmowy Putin-Orbán. Nie pierwsze – jak przypominały media, było to już ich ósme spotkanie, z czego czwarte w ciągu ostatnich dwóch lat. Poprzednie odbyło się w lutym tego roku. Jak więc widać, obydwaj politycy mają sobie wiele do powiedzenia.

Rozmowy, jak lakonicznie podano, dotyczyły spraw politycznych i gospodarczych. Jeśli chodzi o gospodarkę, to rzecz jest jasna – Rosja rozbudowuje elektrownię atomową w Paks i sfinansuje to przedsięwzięcie na sumę 10 mld euro. Elektrownia działa od lat 80., jest oparta na radzieckiej technologii, tworzą ją cztery bloki. Rosjanie mają wybudować dodatkowe dwa, które będą dwukrotnie silniejsze od starszej części, po czym, za ok.

20 lat, stare bloki zostaną wyłączone. Prace mają się rozpocząć w roku 2018.

A polityka? Możemy się tylko domyślać, że rozmowy dotyczyły Unii Europejskiej, embarga nałożonego przez Zachód na Rosję, sytuacji na Bliskim Wschodzie (uchodźcy), no i przede wszystkim sytuacji na Ukrainie. Tak oto Węgry, krok po kroku, zbliżają się do Rosji.

A temu zbliżeniu towarzyszą też inne, serdeczniejsze działania. Władimir Putin został bowiem zaproszony na uniwersytet w Debreczynie, na wschodzie Węgier. Tam otrzymał honorowy tytuł *Civis Honoris Causa*. W uzasadnieniu przyznania prezydentowi Rosji tytułu honorowego obywatela podkreślono, że „zarówno węgierski rząd, jak i Federacja Rosyjska przyznały uniwersytetowi w Debreczynie istotną rolę w inwestycji (rozbudowy elektrowni atomowej) Paks 2”.

A chodzi o to, że uczelnia zawarła w czerwcu porozumienie o współpracy z głównym wykonawcą inwestycji, rosyjskim koncernem Rosatom, w którym zapisano, że uniwersytet w Debreczynie będzie kształcił specjalistów na potrzeby tego przedsięwzięcia.

Tak oto Rosja wraca na Węgry – i politycznie, i gospodarczo. Węgry zaś zgrabnie lawirują między Moskwą, Berlinem, Brukselą i (oddajmy się przyjemnej megalomanii) – Warszawą. A Polska PiS?

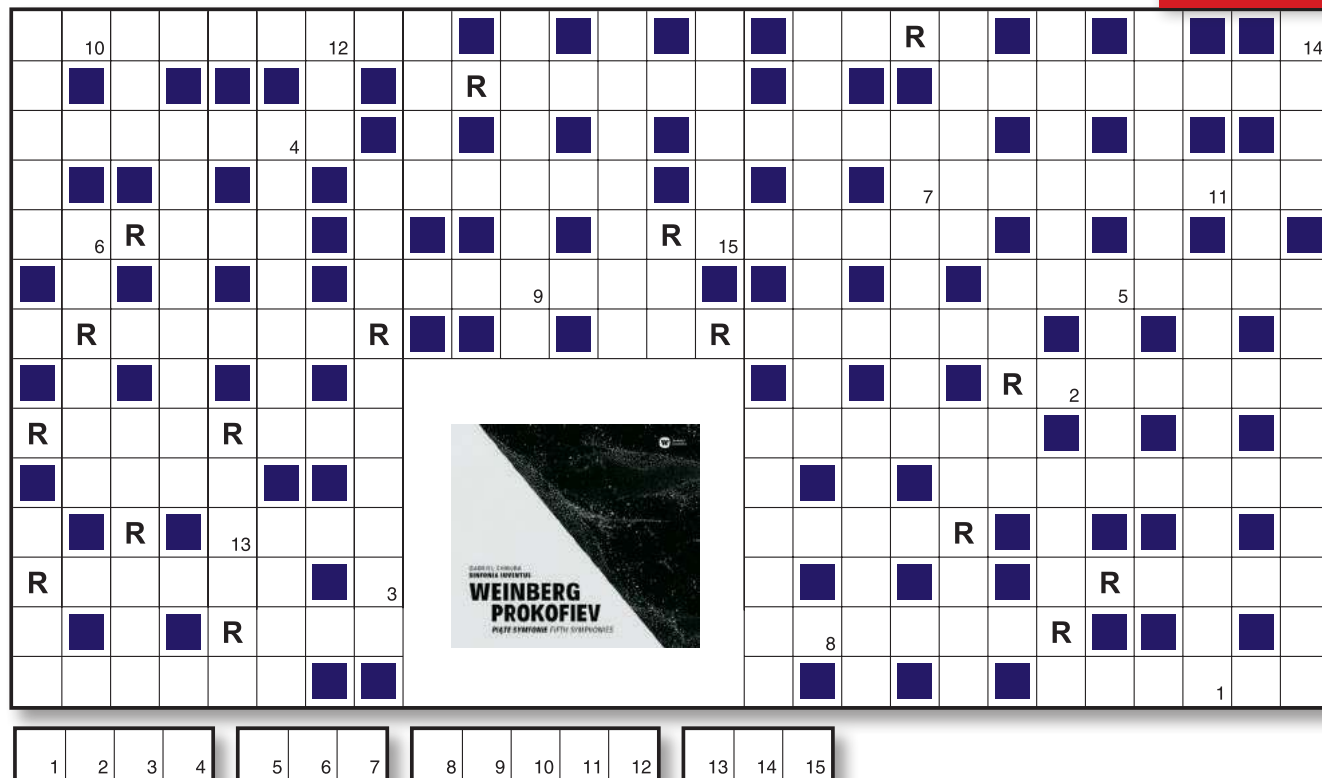
Władysław Bartoszewski mówił, że jeśli panna nie jest piękna i posażna, to powinna być choć sympatyczna, a nie nabzdyczona. Więc dziś ta panna ma taką sobie urodę i posag, a charakter Jarosława Kaczyńskiego...

Attaché



Czapki z pawich piór po hindusku – artyści na festiwalu folklorystycznym Janapada Jatara w Hajdarabadzie.

FOT. AFP/EAST NEWS



Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odpagadnienia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15 utworzą końcowe hasło.

- odbiorczyni przesyłki
- taśmowa, reprivatyzacyjna lub Amber Gold
- powód, zachęta do zrobienia czegoś
- stały element zdobniczy stroju premier Szydło
- dźwięk przelewanej lub gotowanej wody

- coś pięknego, istne...
- bigotka, nabożniasia
- kaźń, stracenie
- zapal, uniesienie
- iżejszy od cekaemu
- grecki matematyk, autor „Elementów”
- polska biało-czerwona
- reżyser „Amadeusza”
- pochodzenie, rodowód

- niżej od regionów w podziale administracyjnym Anglii
- gatunek wierzby
- kraj Netanjahu i Szaron
- wróżbita
- waluta Japonii
- chwyt, śmiełek
- cmentarz żydowski
- barwa
- błyskowa lub Alladyna
- o bieganiu po sklepach lub uganianiu się
- duży, luksusowy samochód
- i na loterii, i koleje życia
- zasilają ją Weltawa i Elstera
- bachantka

- pierwiastek jak fundator nagrody
- słodki krem do smarowania pieczywa
- całkowite przeciwieństwo
- „... Mateusz”
- mydło i ono, gdy w sklepie wszystkiego po trochu
- kompozytor współpracujący z Kieślowskim
- wyborczy też do przekroczenia
- odkryty przez Skłodowską i jej męża
- egipska rola Jerzego Zelnika
- przedstawia sprawę szerszemu gronu
- ciekły srebrzysty metal
- podobna do mowy
- ...Smętnego Oblicza
- bóstwo egipskie, imię biblijne i część meczu

- radziecki małoobrazkowy aparat fotograficzny
- osoba lub firma finansująca imprezę
- naciek wapienny na dnie jaskini
- potocznie energia, pęd do działania
- zmiana na przodku
- wśród funkcji trygonometrycznych
- belka do burzenia murów i bram
- sportowiec z rakieta
- z obumarłej roślinności bagiennej
- pierzchną na mrozie
- typowa operacja w bankomacie
- wysokość człowieka
- ulubione zajęcie dziecka
- zapędy, próby zdobycia czegoś
- np. Madej
- trafił na czyjąś zgubę

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-822”. Do rozlosowania CD „Weinberg Prokofiev. Pięć symfoni” ufundowane przez Warner Classics. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.822.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 10 września 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-819” z 20 sierpnia: Co nowe, to lepsze.
Nagrody otrzymują: Jan Bucior z Zagródek, Jonasz Drożdżiok z Warszawy, Zbigniew Szalek z Warszawy.

PENETRACJE

POLSKA

GRZEGORZ MIECUGOW,
DZIENNIKARZ

Średnio mnie interesuje, co kto o nas myśli. Mam życiową przyjemność z tego, że najczęstszą reakcją na zobaczenie mnie podczas przypadkowego spotkania – czy to w sklepie, na lotnisku, czy w jakimkolwiek innym publicznym miejscu – jest uśmiech. Generalnie myślę, że jesteśmy odbierani w taki sposób, na jaki zasługujemy.

MONDE
diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Antykomunizm ma konkretną barwę – zawsze jest brunatny. Intencje polityczne antykomunizmu dobrze widać w uporczywym stawianiu znaku równości między komunizmem a faszyzmem. Ten pozbawiony jakiegokolwiek uzasadnienia historycznego zabieg ma tylko jedną funkcję. Jest nią rehabilitacja faszyzmu. Porównanie komunizmu do faszyzmu dyskredytuje ten pierwszy, podczas gdy porównanie faszyzmu do komunizmu rehabilituje go. Stąd już krok do normalizacji faszyzmu w imię narodowego konsensu antykomunistycznego.

TYGODNIK
ANGORA

PODINSPEKTOR
ANDRZEJ SZARY,
NSZZ POLICJANTÓW

Jeżeli ktoś był pozytywnie zwerifikowany przez specjalną komisję działającą w imieniu już niepodległego państwa polskiego, to nikt nie ma prawa pozbawiać go uprawnień emerytalno-rentowych. Ta ustawa jest nie tylko niekonstytucyjna, ale i represyjna. Cała nadzieja w sędziach, że staną na wysokości zadania i będą wydawać sprawiedliwe wyroki.

VIVA!

RADOSŁAW PIWOWARSKI,
REŻYSER

Może jestem naiwny, bo dopiero teraz zauważyłem, że dla wielu ludzi Ania Przybylska jest marką, na której można zarobić, a nie fantastycznym człowiekiem, jakim jest dla mnie. Jestem rozdarty między wieloma oczekiwaniami. Chcę zrobić film o tym, jak dziecko z marynarsko-wojskowej dzielnicy, kosmitka, zostaje gwiazdą, mieszka w Ritzu, wszyscy ją podziwiają i kochają. I to nadzieja dla każdego, że można żyć uczciwie, nie robić kariery przez łóżko, nie kraść i zdobyć ludzką miłość. Trzeba mieć tylko talent i urodę.

Aby język giętki...

STANISŁAW TYM

O JANUSZU GŁOWACKIM

Był to facet ogromnie dowcipny, choć dowcip miewał gorzki jak piołun.

PROF. JAN ZIMMERMANN
O ANDRZEJU DUDZIE

Odwrocił się ode mnie. Nie odbiera telefonów ani mejli. Wspólnym znajomym powiedział, że nie chce o mnie słyszeć.

ROBERT GÓRSKI

O KACZYŃSKIM Z „UCHA PREZESA”

Strasznie go denerwuje, że rzeczywistość stawia taki silny opór i że nie ma on takiej siły jak Gomułka, który jak coś powiedział, to się zmieniało w rzeczywistość.

JAKUB ŻULCZYK O OBCIACHU

Jak patrzysz na takiego gościa jak minister Szyszko, to widzisz, że facet jest przygłupem. To jest przypałowce, tak samo jak Beata Szydło. To nie są osoby, które pociągają 18-latków.

JERZY BACZYŃSKI O TVP

Udało się jej wykreować całkowicie alternatywną rzeczywistość, w której słowa zmieniają znaczenie i pojawiają się zdarzenia nieistotne.

JANUSZ ŚNIADEK O LECHU WAŁĘSIE

Uczniowie w szkołach powinni się uczyć z książek, że Wałęsa był „Bolkciem”.

MARCIN KAĆKI O PATRIOTYZMIE

Wolę sprzątnąć kupę po swoim psie i zapłacić podatek, niż piłować mordę pod flagą biało-czerwoną.

MAGDALENA MIELCARZ
O ZNAJOMYCH

Kocham dziwolagi. Inspirują mnie osobliwości. Chciałabym być największą.

KRZYSZTOF HOŁOWCZYK O RAJDACH

Kiedy zakładam kask, zamieniam się w drapieżnika, którego nie rozumiem nawet bliscy.

MAJKA JEŻOWSKA O POŻĄDANYCH
CECHACH MĘŻCZYN

Nie udaję *macho*, umiem rozmawiać o emocjach i nie wstydzą się ich okazywać.

PIOTR BUKARTYK O KACZYŹMIE

Mówią, że kaczyzm rośnie w siłę, a ja myślę, że to naszyzm. Najgorsza odmiana lepszyzmu.



FOT. APPEAST NEWS

Nic dziwnego, że nazwano go dziwido olbrzymie. *Titan aurum*, którego kwiat może sięgać 3 m, rozciąga woń padliny. Zakwita jedynie na dwa-trzy dni, w hodowli bardzo rzadko. Ten jest atrakcją waszyngtońskiego ogrodu botanicznego.



Podatek na metro

Burmistrz Nowego Jorku Bill de Blasio znalazł sposób na sfinansowanie remontu miejskiego metra (368 km długości). Pieniądze miałyby pochodzić z podatku w wysokości 1% dochodów nałożonego na najbogatszych nowojorczyków, którzy raczej metrem nie jeżdżą. Oblicza się, że dodatkowy podatek przyniosłoby miastu prawie 800 mln dol. rocznie. I nie byłaby to danina jednorazowa.

Dzień Baracka

Stan Illinois ustanowił nowe święto. Od 2018 r. 4 sierpnia, w dniu urodzin byłego prezydenta USA, będzie tam obchodzony Dzień Baracka Obamy. W latach 2005-2008 Obama był senatorem z tego stanu. Oby Polska nie poszła w ślady Illinois.

Czyste niebo nad Kalifornią?

Z kolei parlament stanowy Kalifornii przegłosował ustawę ograniczającą emisję gazów cieplarnianych o kolejne 40% do 2030 r. Ustawa nie zakazuje rozwoju uciążliwego przemysłu, ale wprowadza mechanizm handlu emisjami, który nakłada na firmy obowiązek wykupu pozwoleń na emisję gazów.

A w Teksasie biją dzieci

W Teksasie w trzech szkołach wchodzących w skład Three Rivers School District, w których uczą się dzieci



w wieku od 4 do 18 lat, wprowadzono możliwość stosowania kar cielesnych. W przypadku nieposłuszeństwa ucznia lub złamania regulaminu szkoły dyrektor oraz wybrani pracownicy będą mogli wymierzyć mu karę drewnianą łąpatką. Jednak na stosowanie takiej kary muszą wcześniej wyrazić zgodę rodzice dziecka.

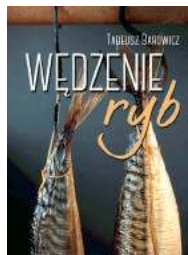
Monako się rozrasta

W gdyńskiej stoczni Crist został zbudowany dok dla Księstwa Monako, który zostanie wykorzystany do budowy osiedla apartamentów na wodach zatoki. Dok, który nazwano Marco Polo, posłuży do produkcji kesonów żelbetonowych podczas realizacji projektu powiększenia powierzchni księstwa o 6 ha (obecnie Monako rozciąga się na 202 ha). To już drugie powiększenie tego państwa-miasta. W latach 70. rozrosło się o 20 ha, na których zbudowano dzielnicę przemysłową.

Wolność nade wszystko

Po koncercie w miejscowości Thernar, na którym bawiło się ok. 6 tys. neonazistów, premier Turynii Bodo Ramelow (Die Linke) chce ograniczenia prawa do zgromadzeń. Neonazistowska widownia wyposażona była w emblematy organizacji faszystowskich i nielegalną broń, była agresywna, a podczas koncertu wiele

ZE SMAKIEM



Placki z cukinii ze śmietaną, łososiem i koperkiem

PROF. TADEUSZA BAROWICZA

Składniki: 200 dag wędzonego łososa, 600 dag cukinii, jajko, 2 cebule, 14 dag mąki pszennej, 100 ml oleju, pieprz, sól, 2-3 szklanki kwaśnej śmietany (30%), łyżka posiekanego koperku.

Obraną cukinię ścieramy na tarce o grubych oczkach, odciskamy nadmiar soku. Przekładamy do miski. Dodajemy mąkę, jajko, drobno posiekaną cebulę oraz sól i pieprz. Dokładnie mieszamy, łyżką formujemy placki, które smażymy na mocno rozgrzanym oleju. Z nadmiaru tłuszczu osączamy placki na papierowym ręczniku. Podajemy z kwaśną śmietaną, wędzonym łososiem i świeżo posiekanym koperkiem.

Przepis z książki prof. Tadeusza Barowicza *Wędzenie ryb*, Wydawnictwo REA-SJ, Warszawa 2017.





ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Kacper Leśniewicz, Mariola Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodok,
Jan Ordyński, Wojciech Osiniński (Berlin), Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodryt: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Kult Diany – ołtarzyki i wierni w 20. rocznicę jej śmierci, przed pałacem Kensington w Londynie. W 1981 r. pałac stał się oficjalną rezydencją świeżo poślubionych Karola i Diany.

osób unosiło ramiona w hitlerowskim pozdrowieniu. Władze landu odwoływały się do sądu w sprawie zakazania organizacji koncertu, ale sąd powoływał się na zapisaną w konstytucji wolność zgromadzeń i wypowiedzi.

Nowozelandczycy doganiają Polaków

Nowozelandzkie Towarzystwo Medyczne zaapelowało, by zaprzestać sprzedaży alkoholu w supermarketach, gdzie stoi on na półkach obok żywności, co sugeruje nieszkodliwość trunków. Lekarze uważają, że łatwy

dostęp do alkoholu osłabia z nim i prowadzi do jego nadużywania. Statystycznie Nowozelandczyk wypija 10 litrów czystego alkoholu rocznie (Polak 10,3 litra).

Zarobić na uchodźcach

Nowojorska firma odzieżowa UCINYC wstawiła do tegorocznej oferty „sukienkę uchodźcy” za 119 dol. Po fali krytyki, jaka na nią spadła, zmienił on nazwę na „sukienka oksfordzka”. Firma tłumaczyła, że projekt sukienki i jej nazwa miały zwrócić uwagę na kryzys związany z napływem uchodźców na Zachód.



Ucieleśnienie

patronat Przeglądu

polecamy!



Ucieleśnienie Pawła Koraba Kowalskiego to projekt fotograficzno-malarsko-filmowy. Cykl składa się z 26 prac – każda przedstawia inną kobietę/modelkę. Podczas malowania każdej modelki artysta rejestrował proces powstawania obrazów i stworzył 20 filmów w technice poklatkowej. Twórca zaprasza na towarzyszący wystawie performance **MALOWANIE CIAŁEM**, który odbędzie się 23 września o godz. 19.30. Na ciele modelki powstanie obraz, ale i sam malarz stanie się ciałem, które maluje. Artysta odstąpi przed widzami kulisy, pokaże swój warsztat i swoje narzędzia, dekonstruując świat, który powoła do życia.

Ney Gallery&Prints
Warszawa, ul. Spokojna 5
Wystawa trwa od 12 do 25 września,
wernisaż 11 września o godz. 19.00



ŻYRARDÓW



Festiwal Sztuk {!!!!}
od 9 do 16 września 2017
w Żyrardowie

odbywa się pod Honorowym Patronatem
Prezydenta Miasta Żyrardowa
WOJCIECHA
JASIŃSKIEGO

EDUKACYJNY
FESTIWAL SZTUKI
artnoble.pl



M*{i}*ASTO/a
Gwiazd

InterdySCYPlinarny
FESTiwal
SzTuk 2017



www.miastrgwiazd.pl

TVP 2

TVP
KULTURA

TVP 3

WARSZAWA

TVP
abc

CZWÓRKA
POLSKIE RADIO

RZECZPOSPOLITA

Życie
regionów
RZECZPOSPOLITA

gdzie
Informator kulturalny



ŻYRARDÓW

Projekt współfinansowany
ze środków Miasta Żyrardowa

DO
RZECZY

Perspektywy

Przegląd

republika

SwiatObrazu.pl

artluka

FASHION
ANDRÉ

wolnabobota.pl

m

Qiturski.pl

czosdziedzi.pl

www.miastrgwiazd.pl



Życie w
ŻYRARDÓW

GŁOS
ŻYRARDÓW I OKOLIC

Victoria fm

FAMA

RADIO ŻYRARDÓW

radio i s.
sochaczew

Żyrardów.pl



Marszałek
Województwa Mazowieckiego

Mazowsze.
serce Polski

Projekt współfinansowany
ze środków Samorządu
Województwa Mazowieckiego

WŁADZA, PIENIĄDZE I INNE PROBLEMY

GRZEGORZ
MAŁECKI

KATARZYNA
GLINKA

MICHAŁ
MIŁOWICZ

PIOTR
POLK

NA UKŁADY NIE MA RADY

KINO ŚWIAT PREZENTOWA PRODUKCJE COMBAT FILMS WYDAŁ GRZEGORZ MAŁECKI
KATARZYNA GLINKA PIOTR POLK JAN WIECZORKOWSKI ORAZ MICHAŁ MIŁOWICZ
Z GŁÓWNYMI ROLAMI KAMIL BUCZEK PIOTR CZAJA JAROSŁAW ZAMBIŁA POC
SCENARIUSZ KATARZYNA BUCZEK KRYSTYNA ELA RADKE MONTAŻ MARCIN KOT BASTKOWSKI PPM
MUSZYLA MAREK VAN KISIELINSKI PRODUKENT DOBOSŁAW JÓD
REŻYSERIA CHRISTOPH RUKKA

COMBAT KINO ŚWIAT KINO ŚWIAT ALL



VOX
W RYTMIE HITÓW

Tele
Tydzień

W KINACH OD 8 WRZEŚNIA

eprasa.pl/66b0221b0e

P
Przeład

onet